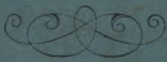


LISTY
o
LITERATURZE I SZTUCE.



POZNAŃ.

1880.

Adamowi Piłgowskiemu

*jaako drobnym wyrazem afektownej
i podległego uwielbienia
się pragnę do ofiarowania*

autor

LISTY

LITERATURZE I SZTUCE.

ODBITKA Z „KURYERA POZNANSKIEGO”.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
01-003 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 20-62-63
POZNAŃ.

NAKŁADEM REDAKCYI „KURYERA POZNAŃSKIEGO.”

Czcionkami Jarosława Leitgebra.

1879.

<http://rcin.org.pl>



I.

Kraków, 28 czerwca.

(Stosunek literatury do sztuki. Ich wzajemna zależność i równoległy rozwój. Literatura i sztuka w starożytnej Grecji. Plastyczność pierwszej, poezja drugiej. Poezja trubadurów i sztuka gotycka. Punkta wspólne jednej i drugiej mimo sprzeczności składających je czynników. Czasy odrodzenia. Zależność sztuki renesansowej od prądu humanistycznego i poezji współczesnej. Równoczesny upadek sztuki i literatury. Styli Roccoco w jednej i drugiej. Kolejna przewaga literatury nad sztuką i sztuki nad literaturą w różnych narodach i prowincjach. Charakterystyczne cechy umysłowego i estetycznego kierunku prowincji polskich. Wielkopolska. Litwa i Ruś. Małopolska i Kraków. Artystyczny rozwój Krakowa. Wpływ książąt i biskupów. Odczyt ks. Kalinki. Wit Stwoszc, jego poprzednicy i następcy. Mistrze obcy w Krakowie. Krakowianie za granicą. Krakowska „Bauhütte“ i jej stanowisko w wiekach średnich. Artysty czasów odrodzenia. Współczesny rozkwit sztuk pięknych w Krakowie. Konserwowanie i restauracja dawnych zabytków i arcydzieł sztuki. Wawel. Katedra. Groby dawniej i teraz. Tad. Czacki. Konserwator prof. Łepkowski i jego działalność przy restauracji grobów i katedry. Sprawa W. Ołtarza. Dar dla krypty S. Leonarda od ks. Prymasa. Restauracja kaplicy Stefana Batorego. Ks. Ignacy Polkowski i archiwum kapitulne. Panteon na Skałce. Restauracje kościołów XX. Dominikanów i Franciszkanów. Stalle i chór u Franciszkanów. W. Ołtarz u Dominikanów i wewnętrzne urządzenie kościoła. Jego plany. Restauracja presbiterium kościoła P. Maryi. Sukiennice jako muzeum architektoniczne. Znaczenie indyka i koguta na narożnikach. Wskrzeszenie średniowiecznej tradycji.)

Jedną z niezaprzeczenie ujemnych cech naszego wieku jest jego tendencja do rozdzielania i specjalizowania pojedynczych gałęzi wiedzy ludzkiej, z zupełnym nieraz pominięciem łączą-

cych je pomiędzy sobą węzłów, oraz ich całości. Skoro filozofia przestała zestawiać i jednoczyć owoce różnych nauk, których była skoncentrowaniem i niejako kwintesencją, każda z tych nauk stała się odrębną i skończoną całością, wystarczającą sobie i łączącą się z innymi jedynie dla względów praktycznych. W ten sposób pojęcie jedności wiedzy zaczęło się coraz bardziej zatracać, zaczęto zapominać, że praca ducha ludzkiego na rozmaitych polach musi być zawsze ta sama, że rezultaty myśli jego i badań nie zawsze idą obok siebie, ale zawsze iść muszą w logicznej od siebie zależności i do wspólnego celu zdążać. Ztąd pochodzi jednostronny kierunek dzisiejszej nauki i — obok jej bardzo wielkiego postępu w niektórych gałęziach — pewne skrzywienie ogólnego poglądu na całokształt pracy umysłowej człowieka.

Ten rozdział i oddalenie się od siebie pokrewnych gałęzi wiedzy uderza nas szczególnie w stosunku literatury do sztuki. Uważane obecnie jako całkiem odrębne objawy intelektualnego i estetycznego rozwoju człowieka, są one przecie z natury swój tak ściśle z sobą związane, że niepodobna prawie odłączyć ich od siebie. Jedna i druga są pierwszym objawem budzącej się iskry Bożej w duchu ludzkim i dla rozwoju tego ostatniego są — jedna i druga — zarówno niezbędne. Bez wielu nauk mogły się obywać społeczeństwa, stojące z kądem inąd na dość wysokim szczeblu kultury; niektóre z nauk przyrodniczych dopiero naszym czasom zawdzięczają swe powstanie — ale bez pewnego choćby zarodku literatury i sztuki nie możemy sobie wyobrazić społeczeństwa. Najzupełniej pierwotny człowiek stara się jeszcze uczynić zadość wrodzonemu artystycznemu poczuciu, śpiewając piosnkę lub rzeźbiąc niekształtne figurki z drzewa i kamienne bałwany. To początek każdej poezji i każdej sztuki.

W rozwoju dziejowym narodów poezya poprzedza sztukę. Homer idzie tak samo przed Apellesem i Fidjaszem, jak Dant przed Michałem Aniołem i Rafaelem, a u nas w Polsce epoka romantyzmu przed współczesnym rozkwitem sztuk plastycznych. A jeśli heksametr lliady jest podstawą, na której się opierają późniejsze arcydzieła sztuki greckiej, to z drugiej strony o tych ostatnich powiedzieć można, że są jakby z marmuru wykutym heksametrem. Ta sama doskonałość i artystyczne wykończenie form, ta sama miękkość i harmonia linii i rysów, ta sama niezrównana plastyczność. I gdy w Homerze czytelnik potrzebuje tylko zamknąć oczy, żeby sobie uzmysłowić wszystkie postacie poematu, występujące z takim życiem i prawdą, że malarz lub rzeźbiarz nie miałby w nich najmniejszego szczegółu do zmiany, — to tak samo patrząc na arcydzieła sztuki plastycznej w starożytnej Grecyi łatwo wyobraźnią odtworzyć tło i otoczenie każdej postaci, która w nadanym jej przez artystę wyrazie i układzie ma bardzo dokładnie wypisaną całą swą historję. Gdyby zaś kto chciał tłómaczyć ten związek poezyi i sztuki ogólną harmonią, cechującą wszystkie objawy greckiego ducha, oraz łącznością panującą między życiem powszedniem Grecyi a życiem jej idealnem, umysłowem i artystycznym, — takiemu odpowiedź daćby mogły wieki średnie. W nich już trudno mówić o łączności, harmonii i zgodzie różnych objawów życia duchownego i fizycznego. W stosunkach społeczno-politycznych walka nieustanna na wszystkich polach, walka Kościoła z państwem, państwa z feudalnym możnowładztwem, możnowładztwa ze szlachtą i z miastami; — walka o byt silniejszego ze słabszym, walka dla wyższej idei rycerzy na krzyżowych wyprawach, walka dla walki samej błędnych awanturników i książąt — kondotierów. W świecie ducha ścieranie się nie-

ustanne najsprzeczniejszych idei systematów, z trudnością i częstokroć pozornie tylko kierowanych i jednoczonych powagą Kościoła. Walka abstrakcyjnego mistycyzmu św. Bernarda z Abelardowską scholastyką; walka nominalizmu Roscellina z realizmem Wilhelma de Champeaux; walka uczniów Alberta Wielkiego i Doktora anielskiego ze zwolennikami subtelnego Duns Scot'a; — walka poezyi trubadurów południowych z władzą Kościoła, przeszkadzającą szerzonej — przez nich herezyi.

A na tém tle tak fantastycznie ponsow: nóm w najróżnorodniejszych kierunkach, zaćmionóm gwałtownemi burzami i wichrami, zaczynają wychodzić z długiego uspienia i rozwijać się, acz w zupełnie przeciwnym niż dotąd kierunku, literatura i sztuka. Składają się na nie czynniki całkiem różnorodne, po części stojące ze sobą w otwartej sprzeczności. Począwszy od Nibelungów i Pieśni Rolandowej poezya wychodzi z łona świeckiego gminu lub rycerstwa, nosi też na sobie całkiem świecki charakter: w romansach i tenzonach dźwięczy gorąca, niekrępowana niczém namiętność; — w sirwentach daje się raz poraz słyszeć gwałtowny okrzyk nienawiści i zemsty przeciwko Rzymowi, — zaś bardziej prozaiczne fabliaux mieszczkańskich truwerów północy są zwykle gryzącą satyrą zarówno na panów jak i na duchowieństwo. Sztuka przeciwnie, ukryta w czasie barbarzyńskich najazdów w klasztorńém zaciszu, osłonięta opieką wiary, która ją przeznaczyła na chwałę Bożą, zwróciła się wyłącznie na pole religijne, zrosła się niejako z chrześcijańskim dogmatem, z ewangelią i martyrologią, i jeżeli strzeliła tak wysoko w górę szczytami wieżyc gotyckich, to dla tego tylko, żeby wraz z modlitwą przebić chmury i zbliżyć się do nieba. Poważna, asceetyczna, mająca za zadanie podnosić do góry ducha,

rozplywającego się w mistycznej ekstazie — zda-
wała się zupełną antytezą lekkiej, romansowej
lub satyrycznej poezji średniowiecznej. A jednak
były to objawy jednego i tego samego ducha,
nie mogącego się w jednych ramach pomieścić
i szukającego sobie różnych dróg wyjścia —
łatwo też między nimi znaleźć spójnię. A na-
przód pamiętać należy, że jeśli nam wolno do tej
odległej przeszłości stosować nowoczesne pojęcia
— walka średniowiecznego liberalizmu z władzą
Kościoła była zawsze tylko buntem chwilowym —
nie była nigdy negacją. I jak większa część
trubadurów łączyła z nader wolnymi wybrykami
szczerą pobożność; jak niejeden z najwybitniej-
szych adeptów „wesołej nauki“, taki n. p.
Wilhelm z Akwitanii lub Bernard z Ventadour
po wielu burzach i licznych zwycięstwach na są-
dach miłości, znajdowali w końcu spokojną
przystań w klasztorze, ba nawet przywdziewali
biskupią infułę, jak Fulkon z Marsylii — tak
też i ich poezya, z tym brakiem konsekwencji,
cechującym wieki średnie, robi często w tym
samym wierszu przeskok gwałtowny od najwyu-
zdańszej polemiki do pobożnego zachwytu i go-
rącej modlitwy. Z drugiej strony duch średnio-
wieczny szorstki i gwałtowny, z trudnością utrzy-
mywany w korbach przez poważną a religijną
sztukę gotycką, puszcza sobie wodze w fantasty-
cznej ornamentacyi, przepelnionej wszystkimi
dziwadłami, jakie tylko mogła wytworzyć rozigrana
wyobraźnia. Te djabełki i potworki, czepiające
się na zewnętrznych gzymsach starych tumów
— te postacie na pół ludzkie, może karykatury
współcześnie żyjących osób, zakończone rybiemi
pletwami lub smoczym ogonem — to gruby
żart truvera, wykuty z kamienia, to cały ten
świat zmysłowy, ziemski, nie mogący wejść do
środku Bogu poświęconej świątyni, a jednoczący
się z nią przeciw tém wszystkim, co ta świątynia

miała w sobie ziemskiego. Wkrótce miał on się do niej wdrzeć pod postacią misteryów, okrywając osłoną religijnego tematu całą treść świecką dramatycznego dialogu, będącego często powtórzeniem pod inną formą poezyi trubadurów i satyry truverów.

Jeżeli jednak, pomimo tak licznych punktów wspólnych pomiędzy literaturą a sztuką wieków średnich panuje pewien rozdźwięk; choćby więcej pozorny niż rzeczywisty, to ostatnie jego ślady znikają w epoce odrodzenia. Gdy z wskrzeszeniem humanizmu nastąpił zwrot ku klasycznej starożytności, sztuka pospieszyła niezwłocznie za literaturą, przejęła się tym samym duchem, zaczęła naśladować arcydzieła plastyczne, zostawione przez dawnych mistrzów, tak samo, jak współcześni literaci naśladowali autorów starożytnych. Artyści XVI w. dokonali dzieła, rozpoczęte przez uczonych o sto lat wcześniej. Dant, Petrarca, Ariost i Tasso, Eneas Sylwiusz i Erazm z Rotterdamu mają się tak do wielkich mistrzów pędzla i pióra z epoki odrodzenia, jak przyczyna do skutku. A gdy niezmiernie bujny i wspaniały rozkwit intelektualny i artystyczny tej wielkiej epoki kończył się dość prędkim przekwitaniem, literatura i sztuka chyląc się do upadku mają całkiem podobne upadku tego znamiona. W jednej i drugiej bogactwo ozdób, zepsucie smaku, zatracenie poczucia piękna i klasycznego ideału zacierają pierwotną czystość linii, szlachetną harmonią kształtów i wyższą myśl artysty czy poety. Sztuka przeciążona ornamentacją rococo umiera pod wieńcami sztucznych kwiatów i pozłacanych festonów; literaturę pseudo-klasyczną przygniatają podobnie bogate wieńce retoryki i panegyryku, ciasne reguły i martwe formułki. Gdy wreszcie przeżytemu i zmateryalizowanemu społeczeństwu drugiej połowy XVIII wieku przy-

chodzi chorobliwa fantazyza bawienia się w niewinnych pasterzy na fermentującym wulkanie, — Gessner spieszy pisać swe sielanki a Delille idylle, równocześnie zaś Watteau poświęca cały swój talent malowaniu takich konwencyonalnych margrabin-pasterek, architekci budują dla nich chatki i mleczarnie, a porcelanowe figurki stają się w pojęciach wykształconego ogółu najwyższym szczytem smaku artystycznego i najpiękniejszym wyrazem artystycznej twórczości. Literatura XVIII w. jest tak samo rococo, jak pomniki architektoniczne tego czasu są kamieniami figurami retorycznymi, a pastelle, i miniatury i porcelanowe laleczki — buduarową idyllą.

W tym związku jednak literatury i sztuki i tej ich wzajemnej od siebie zależności nie należy upatrywać niewolniczego zespolenia, które położyłoby tamę oryginalnemu rozwojowi i jednej i drugiej. Owszem, największy rozkwit literatury rzadko bywa równoczesny z rozkwitem sztuki. Następują zwykle prędko jeden po drugim w rozwoju dziejowym społeczeństw i narodów, ale za ciasno im byłoby wystąpić obok siebie. Z drugiej strony, jakkolwiek błędnem zdaje nam się mniemanie, że są narody zupełnie niezdolne do artystycznej lub poetyckiej produkcji, nie da się znowu zaprzeczyć pewne między niemi pod tym względem stopniowanie, jako też stanowcza przewaga u niektórych narodów jednego kierunku nad drugim. W Anglii n. p. ze wszystkich gałęzi malarstwa jedna tylko akwarela zdobyła sobie prawo obywatelstwa i europejski rozgłos; — w Rosyi, w części zapewne, w skutek względów rytualistycznych, rzeźba miejscowa prawie nie istnieje. To samo da się powiedzieć o składowych częściach każdego kraju i narodu, o oddzielnych prowincjach i plemionach. Zeby daleko nie szukać przykładów,

u nas w Polsce daje się dostrzedz podobny podział różnych gałęzi wiedzy ludzkiej, pomiędzy odrębne prowincye i miasta. Wielkopolska na przykład przez cały ciąg naszych dziejów aż do czasów najnowszych koncentruje w sobie cały niemal rozwój nauk ścisłych, filozofii i prawa. Wojciech z Brudzewa, Kopernik, Ostroróg, Paweł Władymirowic, Leszczyński, Sniadeccy, Gołuchowski, Libelt, Trentowski, Cieszkowski, żeby tylko największych wymienić — wszystko to Wielkopolanie, podczas gdy inne prowincye mogą w tym zakresie wiedzy ludzkiej tylko drugorzędne i uieliczone imiona wykazać. Literatura znowu, zwłaszcza wieku ostatniego, acz nie tak wyłącznie, ale niewątpliwie najświetniej i naliczniej reprezentowaną jest we wschodniej części Polski, na Litwie i Rusi. Sztuki piękne wreszcie obrały sobie od początku za główne siedlisko Małopolskę, a w niej Kraków, i tu się rozwinęły z największym życiem i siłą. Ta artystyczna cecha Krakowa — wywołana oczywiście w znacznej części przynajmniej przebywaniem tu królewskiego dworu i możnowładztwa, uderza nas już w czasach bardzo odległych. Wit Stwosz, urodzony na Spiżu a wykształcony w zawodzie artystycznym w Krakowie, był niezaprzeczenie największym z artystów krakowskich, ale nie mógł być ani jedynym, ani nawet najpierwszym. Sama jego wielkość służy niezbitym dowodem, że jego poprzednicy i nauczyciele musieli być wysoko ukształceni w swej sztuce, skoro ich uczeń mógł stać się takim mistrzem. Już w XIII wieku książęta, władający dzielnicą krakowską, a więc jeszcze krakowscy Biskupi zaczęli ozdabiać miasto wspaniałemi pomnikami sztuki, z którymi żadne inne w kraju całym nie mogły wytrzymać porównania. Dając w swym akademickim odczycie piękny obraz działalności

takich Biskupów-cywilizatorów z epoki Piastowskiej, jak bis. Prandota lub Iwo Odrowąż, — ks. Waleryan Kalinka nie położył, zdaniem naszym, dostatecznego nacisku na wykazanie ich wpływu w dziedzinie sztuki, wpływu zarówno dobroczynnego a sięgającego daleko, jak równoległe działanie na polu społeczno-państwowem i moralno-religijnem. Od tego czasu Kraków zajmuje bardzo poważne stanowisko w ruchu artystycznym całej Europy. Architektura, przodująca w wiekach średnich innym gałęziom sztuki i pochłaniająca je niejako w sobie, — wyzwoliwszy się, jeżeli nie z religijnego kierunku, to przynajmniej z pod duchownego kierownictwa, — ma jedną z najświetniejszych „Bau-Hütten“ w polskiej stolicy. Architekci i rzeźbiarze krakowscy rozchodzą się po świecie całym, roznosząc daleko sławę rodzinnego miasta i kraju. Taki np. Piotr Arler buduje katedralny kościół w Pradze czeskiej i należy przeważnie do wznieszenia słynnej katedry medyolańskiej. Obcy czeładnicy i mistrzowie ściągają do Krakowa dla nauki i udoskonalenia w swęj sztuce; inni, już mający ustaloną sławę — dla wykonania zamówionych robót na zamku i po kościołach. Wkrótce po drugim wyjeździe Wita Stwosza do Norymbergii zostawiają tu swoje dzieła Piotr Vischer, Hans Suës von Kulmbach, a z czasów odrodzenia Santi-Gucci, Poderini, Padovano, artyści florency, budujący kaplicę Zygmuntofską, wreszcie Dolabella i Palladiusz; — w nielicznem zaś gronie polskich artystów. wstępujących w ich ślady, na czele stoją znów krakowskie imiona Lexyckiego i Czechowicza.

Gdy wreszcie po nieudanych próbach Stanisława Augusta, żeby Warszawę zrobić wielkiem ogniskiem sztuk pięknych, tak jak już była ogniskiem nauki i literatury, — nastąpiła stagnacya artystyczna w epoce rozkwitu poezyi romanty-

cznej — Kraków dzielił los ogólny, tylko, że mu żadna harfa poety nie zastępowała miejsca mistrzów pędzla i dłuta. Ale skoro ostatnie dźwięki poezji romantycznej przebrzmiały i ucichły, zagłuszone bolesnemi wstrząśnieniami politycznemi; gdy w społeczeństwie zmęczonem walką i przymuszonem do milczenia dała się uczuć potrzeba zwrotu z dotychczasowej drogi i szukania dróg nowych po za obrębem poezji, z Krakowa wtedy strzelił pierwszy promień artystycznej Jutrzenki, która, dzięki Matejce i jego naśladowcom, miała wkrótce tak świetnym blaskiem otoczyć sztukę polską. I jeżeli w ostatnich latach dawna stolica polityczna Polski stała się jej stolicą naukową, to do tego szczytnego tytułu słusznie dołączyłoby można nazwę głównego centrum artystycznego, na którą ze wszech miar Kraków zasługuje.

Nie dość jednak nowe dzieła sztuki tworzyć. trzeba stare szanować i ochraniać — i to właśnie jest największą zasługą Krakowa, a przynajmniej tych, którzy w Krakowie zajmują się podtrzymywaniem i restauracją pomników sztuki i zabytków przeszłości. Od gromadki pielgrzymów wielkopolskich, wspólnie z galicyjskimi zwiedzających katedrę na Wawelu, słyszeliśmy wyrazy uwielbienia i podziwu nad wspaniałością i porządnem utrzymaniem kościoła i grobów. „A toć to tu tak pięknie, jakby tu jeszcze królowie mieszkali!“ Królów już nie ma a gdyby byli, możeby Kraków wyglądał jeszcze piękniej i lepiej; nie można zaprzeczyć jednak, że i obecny stan utrzymania katedry odpowiada najzupełniej wszystkim wymaganiom, jakie mieć może serce polskie, przywykłe niemal od urodzenia kochać to sanctum-sanctorum naszego narodu. A cóż dopiero gdy sobie przypomnimy, jaki był stan katedry w końcu zeszłego wieku, gdy po zrabowaniu zamku przez wojska pruskie sprofanowano

groby, rozrzucono popioły królów lub z kilku trumien, na pół pomieszane z gruzem, przesypany do jecej, a Tadeusz Czacki, acz może w najlepszej myśli, nie wahał się wyjmować z nich klejnotów, przetwarzając je z żywego znaczenia, jakie w grobach tych miały, w wartość pamiątkowego zabytku. Uważał on to za ocalenie narodowych relikwii od zupełnej zagłady i rzeczywiście wówczas trudno było przewidzieć, że z czasem zajdzie tak korzystna zmiana. Podziemia, do których Ambroży Grabowski i malarz Stachowicz musieli zlaźić po drabinie i przebijać się wśród kupy gruzów i śmiecia, żeby pospisywać napisy i przerysować ocalałe od zniszczenia trumny — są dziś z największym kosztem i staraniem przerobione na wspaniałe krypty grobowe w romańskim stylu, połączone korytarzami wykutymi w skale, ozdobione pyszną mozaikową posadzką z terra-cotty i odpowiednim stylowi kaplicy ołtarzem. Bez hałasu, bez składek i nawoływań po dziennikach do ofiarności publicznej, niemal bez wiedzy ogółu, dokonała się ta pomnikowa praca, dzięki niez mordowanej a umiejętnej gorliwości jednego tylko człowieka, którego też będzie niezaprzeczenie najpiękniejszą zasługą. Z imieniem jego tak się zrosło to wszystko, co Kraków mieści w sobie pamiątek przeszłości, i co się robi około ich zachowania dla następnych pokoleń, że niepodobna o nim nie wspomnieć, zwłaszcza mówiąc o tych grobach królewskich na Wawelu, z którymi czcigodny ich restaurator i obecny konserwator niejako zrosł się i całą duszą zespolił, poświęciwszy im najpiękniejsze lata swego życia i najgorętsze uczucia swego serca.

Groby królewskie na Wawelu otrzymały świeżo bardzo piękny dar, tém piękniejszy i droższy, że się z nim łączy rzewne wspomnienie. Po uwięzieniu ks. Prymasa Ledóchowskiego ksiądz

Prałat Jan Koźmian powziął myśl połączenia więzienia ostrowskiego z Wawelem jakąś trwałą pamiątką dla przeniesienia w odległe czasy pamięci — nie tyle o więźniu samym, którego imię nie obawia się zapomnienia, jak raczej o ciężkich dniach walk i prób, z których najcięższą może było ostrowskie więzienie. Myśl była piękną, jak wszystkie, które wychodziły z wzniosłego umysłu i szlachetnego serca księdza Jana. On sam wprawdzie nie doczekał jój spełnienia; nastąpiło ono teraz dopiero. Dostojny więzień ostrowski nadeszłał z Rzymu na ręce konserwatora grobów królewskich, p. prof. Łepkowskiego, wspaniały *crux processionalis* z przeznaczeniem, żeby go niesiono przed celebrującym kapłanem, ilekroć w grobach odprawiać się będzie msza pamiątkowa. Krzyż w stylu romańskim X wieku, odpowiadający stylowi krypty św. Leonarda, z ciężkich blach srebrnych, grubo pozłacanych, osadzony na wysokiej lasce hebanowej, będzie stanowił jedną z najpiękniejszych ozdób katedralnego skarbcza. Na jednej jego stronie jest wyobrażenie Chrystusa Pana, na drugiej w narożnikach czterech Ewangelistów a w środku symboliczny Baranek. Na około napis krótki a bardzo wymowny: *Miecislaus Ledochowski S. R. E. Cardinalis Archiep. Gnesn. et Posnan. sacello huic, quod exul. videre non potuit, cruce hanc dicavit A. D. 1878.* — Oprócz tego podwójnie cennego daru ks. Kardynała Ledochowskiego, krypta św. Leonarda spodziewa się otrzymać wkrótce inny jeszcze. Jedna z fabryk w Tryeście zajęta jest obecnie przygotowaniem dla tej kaplicy wspaniałego okna kolorowego (witrażu) z kartonu, zrobionego przez Matejkę na zaproszenie hr. Adamowej Potockiej. W téjże samej fabryce zamówione zostały przez hr. Augustową Potocką z Wilanowa wielkie witraże do

kaplicy Setfana Batorego, która obecnie restauruje się. Od wiejskich pielgrzymów ze wschodniej Galicyi, przybyłych tu najuboleusz św. Stanisława pod przewodnictwem monsignora Stojalowskiego, otrzymała katedra chorągiew z czerwonego jedwabiu, ozdobioną pięknie religijnemi i narodowemi emblematami, — a trochę wczesniej hr. Tadeusz Grocholski, z rosyjskiego Podola, ofiarował przepyszny dywan z herbami wszystkich województw Polski, Litwy i Rusi, wyszyty z artystycznem wykończeniem i archeologiczną ścisłością staraniem jego matki, s. p. hr. Ksawery G... z współudziałem grona innych pań polskich. Te inne dary, jakie w ostatnich czasach otrzymała katedra, nie mniej jak i ciągle roboty około restauracyi pojedynczych kaplic, odnawiania zabielenych malowań ściennych i t. d. wszystko to dowodzi interesowania się i miłości ogółu dla jej matki polskich kościołów, jako téż czujnej i rozumnej nad nią opieki. Wobec tego jednak, gdy chodząc po Wawelu na każdym kroku spotyka się jakąś robotę już zaczęta lub zamierzona przez konserwatora, nie mile bije w oczy zapierzenie deskami części prezbiteryum, gdy za tym parawanem kryje się spór o wielki ołtarz. Sprawa ta, acz nader prosta, dziwnie przecież się spletała, gdy tym co wierzą, że nowy ołtarz zaprojektowany a podobno już zaczęty, byłby istotnem dziełem sztuki — chce się znieść dawny, choć przed nim dwa wieki przeprowadziły koronacje, chrzty i pogrzeby królów, łącząc ich tradycyą tak z terażniejszością, jak i z nadziejami przyszłości. Jedna i druga strona upornie stoi przy swoim, a ołtarz potrzebniejszy kościołowi od polemiki. Konserwator tego staro burzyć nie pozwala dla jego pamiątkowej wartości, a wiedeńska komisya konserwatorska sprzeciwia się stawianiu nowego, znajdując go brzydkim. Rzecz chodzi po apellacyach, ogół zaś,

do którego należy Matejko, Potocey i w i., pośpieszył tymczasem ze składkami na utrzymanie dawnego ołtarza, łącząc się w ten sposób ze zdaniem konserwatora. Być może, że zakończenie tej niemiłej sprawy byłoby łatwiejsze, gdyby nie główna kwestya, zahaczająca rzecz o pytanie, czyli kompetencya takiego urzędnika jak urzędnik od zachowania zabytków przeszłości, może ograniczać czynności władzy duchownej, bezsprzecznie w katedrze rządzącej. Bądź co bądź, o ile wiemy, czas niedaleki spór w tę lub owę stronę rozstrzygnąć musi. Jest zresztą pre-judycat choćby w tym fakcie, że gdy ks. Łopacki, proboszcz - Infulat kościoła Panny Maryi, wiedziony własnym smakiem artystycznym, postanowił zburzyć arcydzieło Wita Stwosza, wielki ołtarz Maryacki — toć przecie nic złego się nie stało, że go świeccy zachowali, a na chwałę narodu dla odległej przyszłości wyrestaurowali. Tu wprawdzie nie chodzi o tak pierwszorzędnny zabytek, gdy ołtarz katedralny jest pomnikiem, późnego już renesansu, ale co mu brak na artyzmie, to wynagradza dwuwiekowa tradycya, którą się przez dynastję Wazów i tylu królów elekcyjnych z narodem połączył.

Do nowin z Wawelu, po którym w ostatnich dniach przeszło tyle tysięcy pobożnych pielgrzymów, biorąc zeń wiarę i gorące uczucie miłości ojczyzny — trudno nie dodać, że się tam porządkuje słynne archiwum kapituły krakowskiej, nad którym od niedawna objął opiekę znany w świecie naukowym ks. Ignacy Polkowski, członek Akademii, obecnie notaryusz kapitulny. Sam wybór uczonego Prałata na to stanowisko, jest najlepszą rękojmią, że zadanie spełnionem zostanie sumiennie i umiejętnie, i że nauka odniesie z tego jak najlepsze owoce.

Powiedziawszy tyle o Wawelu, trudno choć słówkiem nie wspomnieć o Skałce. Przez dwa

tygodnie trwania jubileuszowego odpustu św. Stanisława pobożni tworzyli nieustannie żywy łańcuch pomiędzy temi dwoma kościołami, dzielącymi między siebie relikwie św. Patrona Polski i nabożeństwo do Niego. Związek tych dwóch świątyń stanie się wkrótce tém ściślejszym, że w skutek robót ostatniemi czasy, dokonanych przez konserwatora na Skałce, będzie ona w przyszłości niejako uzupełnieniem Wawelu. Nie mieliśmy dotąd, jak inne narody miejsca, w którémby spocząć mogły popioły wszystkich mężów, zasłużonych krajowi na rozmaitych polach. Prawda: na Wawelu obok kości królów polskich spoczęły zwłoki dwóch bohaterów, z których jeden wyszedł z łona ludu, drugi zaś zajął pierwsze miejsce w szeregu trumien królewskich nie dla krwi, płynącej w jego żyłach, ale pomimo niej. Jeżeli jednak przy złożeniu ich trumien pomiędzy trumny królewskie kryła się jaka myśl głębsza, niż dotychczas trwające uwielbienie dla najulubieńszych bohaterów narodowych, — to z pewnością nie było nią założenie na Wawelu panteonu zasłużonych mężów. Prędzej może cheiano w nich uczcić ludzi, którzy, stając na czele narodu dla obrony przeciw wrogowi, stali się niejako reprezentantami władzy najwyższej, zastępcami nieistniejącego monarchy, i jako tacy zyskali sobie prawo spoczywania w grobach królewskich. Ten odrębny, polityczny, że tak się wyrażę, charakter krypty grobowej na Wawelu, sprzeciwia się stanowczo wprowadzaniu do niej wszelkich nowych, choćby najzasłużeńszych popiołów; projekta zaś urządzenia tam panteonu dowodzą zupełnego niepoznania czy niezrozumienia tego charakteru, i musiałyby upaść przed siłą zdrowej logiki wtedy nawet, gdyby nieprzepartej przeszkody do ich wykonania nie stanowiła szczupłość miejsca, wystarczającego zaledwie dla stojących już tam trumien.

Wobec jednak rozproszenia, w jakiem obecnie znajdują się kości tych wszystkich, którzy talentem i zasługą wstawili się w naszym narodzie, dawała się czuć konieczna potrzeba obrania jakiegoś miejsca wspólnego dla nich spoczynku, miejsca, w któremby mogły stanąć wszystkie trumny, zamykające w sobie chwałę narodu, za życia może nieraz nie dość uczczone a mające przynajmniej po śmierci nagrodę w pamięci i czci następnych pokoleń. W tej myśli p. konserwator prof. Łepkowski po śmierci ś. p. Lucyana Siemieńskiego podał plan odpowiedniego urządzenia krypty grobowej na Skałce. „Może znajdą się tacy“, pisał w liście ogłoszonym w Czasie z 30 listopada 1877 roku, „którzy podeprą myśl moją, aby z wielkiej katakumby, w której spoczywa Długosz, będącej pod całym kościołem na Skałce, zrobić grób zasłużonych, mieszcząc tam ich trumny w sarkofagach. Sądzę, że każdy co widział tę piękną katakumbę, której restauracją rozpocząłem, zgodziłby się z projektem moim.“ Katakumba, której restauracja w roku 1877 była dopiero rozpoczęta, obecnie jest już zupełnie skończoną i stanowi ogromną kaplicę grobową albo raczej kościół podziemny, bardzo dobrze odpowiadający przeznaczeniu, jakie mu nadał konserwator. Rzędem obok siebie przy obu ścianach bocznych będą stawały sarkofagi w miarę przybywania zwłok znakomitych ludzi; najpierw złożone zostaną zwłoki Długosza na dniu jego czterowiekowej rocznicy w ukończonym już sarkofagu; następnie pójdą trumny Lucyana Siemieńskiego i Wincen- tego Pola, tymczasowo tylko złączone na cmentarzu. W głębi krypty na wysokiem podwyższeniu stanie w miejscu tymczasowego przygotowujący się ołtarz w romańskim stylu. Wrażenie, jakie sprawia katakumba, dzięki swemu ogromowi i podwyższeniu ołtarza, jest rzeczywiście impo-

nujące; należy też jej przyznać niezaprzeczoną wyższość pod tym względem nad kryptą św. Leonarda na Wawelu, *jakkolwiek* ta ostatnia w wewnętrzném urządzeniu i ozdobach wspanialsza, więcej też przemawia do serca swą pamiątkową wartością, jakiej oczywiście dotąd jeszcze nie posiada katakumba na Skalce. Przyszły nasz narodowy panteon, teraz jeszcze pusty i ubogi, czekać musi i na trumny i na odpowiedzie do ich wartości ozdobienie. Brak mu na teraz zwłaszcza lamp, któreby jego tylną część koło ołtarza rozjaśniły i pozwoliły całość katakumby wzrokiem ogarnąć. Wszystko to jednak jest tylko kwestyą czasu, mało znaczącą wobec wielkości dokończonego już odnowienia.

Jeżeli ze Skalki wrócimy do środka miasta, uderzą nas przedewszystkiém stojące naprzeciw siebie a odnawiające się po pożarze 1848 roku kościoły Franciszkanów i Dominikanów. Powstanie z gruzów tych olbrzymich guachów z groszowej składki wiejskiego i miejskiego ludu jest piękną kartą z dziejów naszego miasta i opiekujących się temi kościołami zgromadzeń. Wskrzeszając średniowieczne tradycye zakonne, XX. Dominianie i Franciszkanie sami się zajmowali planami i robotą, z pomiędzy braci zakonnych wybierali architektów, malarzy i snycerzy, jednych wysyłali na naukę do Włoch, innych z tamtąd sprowadzali. W ten sposób ukończoną została główna część roboty — budowa obu kościołów — którym brakuje tylko wież i wewnętrznych ozdób. Przy kościele franciszkańkim stanie wysoka wieża w stylu romańskim przed małym dziedzińcem naprzeciw wielkiego ołtarza. Plany kościoła Dominikańskiego daleko wspanialsze. będą potrzebowały dla urzeczywistnienia długich lat czasu i niezmiernych funduszków. Oprócz dziś istniejącej wieżyczki, która zostanie

znacznie powiększoną, na przodzie kościoła. mają się wzniesć dwie olbrzymie wieże gotyckie, przewyższające rozmiarami większą wieżę maryacką, całe przezroczyste (azurowe) i okryte najdelikatniejszą kamienną koronką. Czy plan ten tak olbrzymi, że przed sześciu wiekami potrzebował, by może setką lat na wykonanie, może się urzeczywistnić w naszych czasach? Niewiem: wiara nie jeden już cud podobny. zrobiła, — i to, co ludzkim siłom i dla świeckich celów byłoby niewątpliwie zupełnie niemożliwym, może się spełnić na chwałę Bożą. W każdym razie jest to kwestya interesująca, cały nasz kraj i wszystkie jego dzielnice, jeżeli bowiem już dziś żaden w Polsce kościół nie przewyższa wspaniałością i ogromem świątyni Dominikanów krakowskich, to po całkowitem ukończeniu będzie ona niewątpliwie najpiękniejszym pomnikiem sztuki w kraju naszym. — Szkoda wielka, że w obydwóch kościołach niektóre mniejsze szczegóły nie zawsze odpowiadają surowym wymaganiom estetycznym i nie wszystkie potrafią wytrzymać ścisłej artystycznej krytyki. — Świeżo ustawiona część stalli w kościele franciszkańskim (wiadomo, że dawne, będące jednym z najpiękniejszych dzieł sztuki snycerskiej w Polsce, zostały zupełnie zniszczone pożarem) przy bardzo pracowitej robocie i artystycznym wykończeniu najdrobniejszych szczegółów, uderza dziwną nieznanomością stylów i pomieszaniem ich między sobą. Korynckie kapitele, romańskie kolumny i podłupia łączą się z gotyckimi rozetkami i ozdobami renesansowymi, trącającemi częstokroć barokiem.

Ogół traci przez to harmonią, będącą niezbędnym warunkiem każdego prawdziwego dzieła sztuki i nie wywiera estetycznego wrażenia. Lepiej daleko udał się nie wielki, lekki i piękny chórek na organy w stylu ostrołukowym, wykonany przez miejscowych rzeźbiarzy, braci Trem-

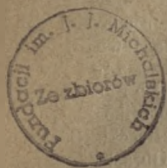
beckich, niemniej jak drugi, mniejszy z drzewa w bocznej kaplicy N. P. Maryi. — W wewnętrznem urządzeniu kościoła dominikańskiego robią znowu zarzuty nie dawno ukończonemu malowaniu chóru kapłańskiego (presbyterium), które dziś zbyt jaskrawemi barwami (szafirowe ze złotemi gwiazdami i takąż ornamentacją) przy ogólnem szarém tle kościoła i białych oknach jest rzeczywiście rażące, ale niewątpliwie lepiej się będzie wydawał, kiedy kościół zostanie oświetlony oknami kolorowemi, niezbędnymi w stylu ostrołukowym, a potrzebującymi bardzo jaskrawych barw w wewnętrznej ornamentacyi. W podobnyż sposób ozdobionym zostanie Wielki Ołtarz, cały z białego kamienia, z wpuszczanemi pasami czarnego marmuru po bokach a żółtego egipskiego u góry. Będzie on zajmował całą tylną ścianę kościoła, szczyt i dół jego okryją (już w znacznej części gotowe) piękne rzeźby drewniane w ostrołukowym stylu, w trzech niżach w środku i po bokach staną ogromne posągi, a na około cały ołtarz pokryty zostanie złoceniami i polichromicznem malowaniem na kamieniu. Jakkolwiek wykonano już główną część tej roboty, której koszt obliczone są na 50—60.000 złr., zupełne wykończenie jednak będzie potrzebowało lat kilku jeszcze. Obok przygotowujących się oddzielnych części bogato rzeźbionej ornamentacyi Wielkiego Ołtarza, widzieliśmy już na ukończeniu będący mniejszy drewniany w dość czystym ostrołukowym stylu, przeznaczony do jednej z kaplic. Robią się także odpowiednie do ogólnego stylu ławki i cztery olbrzymie konfesjonały drewniane, prawdziwe arcydzieła sztuki snycerskiej, podobniejsze raczej do kaplic gotyckich i mające zająć miejsce w kościele obok dwóch, będących już dziś jego prawdziwą ozdobą. Byłoby bardzo do życzenia, żeby komitet, mający się zająć odnowieniem presbiterium kościoła N.

P. Maryi, który cały jest w niedającym się opisać stanie nieporządku i zniszczenia a oprócz tego ma wewnątrz zeszepecone mnóstwem niesmacznych ozdób baroko, wziął się również gorliwie do dzieła, którego dawno domaga się interes sztuki i wzgląd na tysiące wiernych, odwiedzających codziennie tę świątynią. Dowiadujemy się, że komitet przedstawione mu plany już przeglądał i ocenił, a jeszcze bieżącego lata przystąpi do rozpoczęcia robót.

Na zakończenie tego przeglądu restauracji, dokonanych ostatniemi czasy na pomnikach krakowskich, trzeba choć słówkiem wspomnieć o zbliżającym się do końca odnowieniu Sukiennic, w których dnia 30 września b. r. ma się odbyć główna część uroczystego obchodu jubileuszu Kraszewskiego. Złośliwi utrzymują wprawdzie, że, zestawiając w odnowionym gmachu wszystkie style i kierunki architektoniczne, kierujący robotami budowniczy chciał do istniejących już w Krakowie muzeów dołączyć jeszcze jedno, mające być wykutym z kamienia przeglądem stopniowego rozwoju sztuki od czasów najdawniejszych aż do najnowszych. I rzeczywiście przykładną jest zgoda, z jaką w Sukiennicach pomieściły się obok siebie kolumny greckie wszystkich trzech porządków, podslupia romańskie, iglice gotyckie z XIII i inne XV wieku, ozdoby cinque-cento i renessansowe a dalej motywa baroko i rococo. Ale nie chcielibyśmy psuć żadnym dyssonansem ogólnego zadowolenia z restauracji gmachu, który dotąd jak widmo straszyl przyjeżdżających do Krakowa swą brzydota i zniszczeniem psuł ogólny widok Rynku. Wolimy owszém wziąć p. Prylińskiego w obronę przeciw licznym zarzutom, spotykającym umieszczenie sławnego indyka i koguta na dwóch narożnikach Sukiennic. Był to jeden z ogólnie przyjętych zwyczajów w wiekach średnich, które

obok najwznioślejszych motywów architektonicznych lubiły umieszczać takie żarciki kamienne, jak komiczne intermezja Szekspirowskich dramatów. I dziś jeszcze mularze, kończący jakąś robotę, ubierają wieńcami kwiatów i zieleni swoje rusztowanie na znak radości z dokonanego dzieła. Mistrz średniowieczny, kończący wspinały ratusz lub katedrę, czy też nawet prywatną kamienicę bogatego mieszczanina, zwykł był zostawiać trwalszą i dowcipniejszą pamiątkę ukończonej pracy. Jak przy odlewaniu wielkich dzwonów wymyślano zawsze i puszczano w świat jakąś poetyczną a fantastyczną o nich legendę, uważając to za dobrą dla dzwonu wróżbę, jeśli się legenda jak najszerzej po świecie rozejdzie i jak najwięcej ludzi w nią uwierzy, tak też i mistrz mularski wykuwał w kamieniu na najwidoczniejszym miejscu gmachu jakiś figlik, wyglądający na symbol, dający szerokie pole do ciekawości widzów, do badań i domysłów. Takie Städtewahrzeichen, jak je podówczas zwano, były w wiekach średnich ogólnie rozpowszechnione i do dziś dnia widzieć się dają na wielu starych gmachach, zwłaszcza niemieckich. W wiślickiej katedrze n. p. architekt wyrzeźbił sam siebie, powieszono go za nogi głową na dół; w jednem z miast niemieckich znowu okno starej gotyckiej kamienicy zajmuje wyglądająca z niego końska głowa; gdzie indziej jeszcze wykute z kamienia grube dowcipy, odpowiadające niewybrednemu smakowi epoki. Wyobraźnia architekta wysilała się na wymyślanie coraz to nowych conceptów i rebusów, a wyobraźnia ludowa, nieznosząca żadnych nierozwiązanych pytań, nie poznawała się na ciągle powtarzanym podstępnie i pytanie rozwiązywała jakąś wymyśloną legendą; a ta legenda roznosiła daleko sławę budynku, który bez niej może pozostałby nieznanym. Restaurując gmach średniowieczny

jakiemi są Sukiennice, p. Pryliński stosował się tylko do zwyczaju tych wieków przy umieszczeniu wcale dowcipnych figlików na narożnikach. Zdaniem naszym, zrobił dobrze, bo przy coraz bardziej zacierającem się przywiązaniu do przeszłości i zrozumieniu jej ducha, przy coraz szerszej przepaści, oddzielającej nas z dniem każdym od tych wieków średnich, które przecie miały tyle stron pięknych i poetycznych, a godnych jeśli już nie naśladownictwa, to przynajmniej wspomnienia, dobrze jest przypominać je sobie i innym choć drobnemi szczegółami, jeśli do większych rzeczy nie jesteśmy już zdolni. Architekt Sukiennic dopiął zresztą swego celu, tak samo jak jego średniowieczni poprzednicy, dowód, jak mało zmienia się natura ludzka w najdalszych od siebie epokach. Sława indyka i koguta na Sukiennicach rozniosła się szeroko po świecie i przedarła się do takich nawet zakątków, gdzie nigdy nie powstała wieść o istnieniu Sukiennic, a tém bardziej o ich restauracyi.



II.

(Zdanie o polskiej sztuce przed dwudziestu laty. Przeszłość naszej sztuki. Jej charakterystyczne cechy. Wieki średnie. Epoka odrodzenia. Jej wpływ. Niemcy i Włochy. Dynastye Jagiellonów i Wazów. Wiek XVI i kaplica Zygmuntowska. Wiek XVII i uiszczenie zabytków sztuki średniowiecznej. Oryginalne pierwiastki polskiego odrodzenia. Oryentalizm. Kierunek religijny w przeciwieństwie do pogańskiego klasycyzmu na Zachodzie. Reakcyja katolicka. Brak świeckiej sztuki. Skoncentrowanie ruchu artystycznego około kościoła. Franciszek Leśniewski. Czasy Stanisławowskie. Sztuka pod opieką króla. Stagnacyja artystyczna po rozbiórce kraju. Zniżenie sztuki do rzemiosła. Brak dobrego religijnego malarstwa. Usiłowania wskrzeszenia sztuki religijnej w Niemczech i Francyi. Overbeck, Cornelius i Ary-Scheffer. Wackernagel, Reichensperger, Rio i Kreutzer. Stowarzyszenia dla historyi sztuki w Niemczech. Towarzystwo św. Łukasza w Krakowie. Jego cele i czynności. Rozszerzanie dobrych obrazów religijnych. Podniesienie sztuki religijnej niezależnej od religijnych obrazów. Chrystus w paryskim salonie. Chrystus Maxa. Realizm i szarlataneryja. Potrzeba wyższego duchowego nastroju w religijnym obrazie. Obraz p. Jabłońskiego na wystawie krakowskiej. Początki jego zawodu. Trzy Marye. N. Panna z Lourdes. Chusta św. Weroniki. Porównanie z Guido-Renim. Sw. Cecylia p. Krudowskiego. Portret namiestnika Galicyi i zestawienie jego z innymi portretami Matejki. Kopernik p. Gersona. Kopernik we współczesnym polskim dramacie, poezyi, sztukach pięknych i naukach ścisłych. Obrazy Matejki i Lessera. Wyższosc pomysłu p. Gersona. Zestawienie wieków średnich z epoką odrodzenia. Wobec dwóch dróg do wyboru — bezstronność prowadząca do bierności. Błędy obrazu. Brak harmonii między pomysłem a wykonaniem. Sw. Jadwiga. Przeciwności, będące charakterystyczną cechą wieków średnich. Mazurki prowadzące Pomorzana. Politycy p. Eljasza. Realistyczny kierunek

na wystawie krakowskiej. Dzień targowy p. Szerera i Płukanie jarzyn p. Lipińskiego. P. Malczewski i jego Zniwiarka. Brak równowagi między ideałem a naturą. Niespodziewani p. Kozakiewicz. Pan Pruszyński. Odpoczynek przed karczmą p. Koniuszki. Krajobraz p. Maleckiego. Obrazek jesienny p. Benedyktowicza. Panna Andrzejkowicz. P. Wojnarowska. P. Birkowska. P. Mirecki. Dysputa polityczna p. Szwojnickiego. Obrazki z pana Tadeusza. P. Bieszczad i p. Łosik. P. Gryglewski i jego perspektywy. Pod Smoleńskiem p. Koszaka. Pan Ajdukiewicz. Zaręczyny Halszki z Ostroga prof. Łuszczkiewicza. Rzeźba. Samson p. Blotnickiego. P. Kurzawa. Ruch artystyczny w Krakowie. Przygotowujące się obrazy. Szkoła sztuk pięknych. Katedra historii sztuki. „Meisterschule.“ Maurycy Gottlieb. Wydawnictwo muzeum techniczno-przemysłowego: Kaplica Zygmuntońska. Letnie prace w Akademii. Pan Łuszczkiewicz. P. Kirkor. P. Godfred Ossowski i jego poszukiwania w okolicach Krakowa. Kraków latem. Przejazd gości. Okolice Krakowa).

Stało się dziś medą w każdym niemal artystycznym przeglądzie zaczepiać znane zdanie Klaczki o sztuce polskiej. Zdaniu temu niezwłocznie prawie po jego wypowiedzeniu zaprzeczyły wypadki w tak dobitny sposób, że książka znakomitego krytyka zyskała rozgłos czysto ujemnej natury i przeszła do potemności jako sofizmat i nierozsądny wybryk jednostronnego umysłu, mimo mnóstwa uwag trafnych i głębokich, między które ocenę naszej krytyki artystycznej dziś jeszcze możnaby bez zmiany powtórzyć. Przy współczesnym rozkwicie polskiej sztuki spoglądamy z lekceważącą wyższością na tych, którzy narodowi naszemu inną całkiem przepowiadali przyszłość i na inną drogę chcieli skierować pracę jego ducha. Jak bogatemu dorobkiewiczowi usłudźni przyjaciele wynajdują znakomitych przodków i świetne drzewo genealogiczne, tak téż i my dzisiaj w pomnikach i imionach lat ubiegłych szukamy czynników, które poprzedziły i przygotowały

obecny stan sztuki, będąc niejako jego podstawą. Wówczas jednak, gdy nie nie zapowiadało świetnej przyszłości polskiej sztuki, łatwo było w tę przyszłość zapatrywać się z pesymizmem Klaczki, a zestawiając niudolne nasze usiłowania z tém, co robiono gdzieindziej, porównywając nasze nie-liczne pomniki i mniej licznych jeszcze artystów z arcydziełami i mistrzami Włoch i Niemiec, łatwo było sztuce naszej odmówić prawa obywatelstwa w przeszłości także. Z dwóch nawet błędów, popełnionych przez Klaczkę, za mniejszy uważalibyśmy ten, który się odnosi do przeszłości naszej sztuki; — jeśli bowiem nie możemy przeszłości tę; zupełnie się wyrzec, to przecie trzeba przyznać, że aż do Szopena i Matejki sztuka polska jest zawsze prawie tylko egzotyczną rośliną, przeniesioną do nas z zachodu i zawdzięczającą swe istnienie kaprysowi królów i panów, cieplarnianej atmosferze i pielęgnowaniu obcych ogrodników.

Gdyby można było artystyczną produkcją całego narodu w ciągu jego dziejowego rozwoju zredukować do jednego mianownika, nazwalibyśmy bez wahania Polskę krajem spóźnionego renesansu. Z dwóch wielkich epok, w których sztuka na Zachodzie dochodziła swego kulminacyjnego punktu — jedna tylko wywarła rzeczywisty wpływ na Polskę i odbiła się na całej jej następnej twórczości artystycznej, wyciskając na nią trwałe i wyraźne piętno. Kiedy w w. XIII średniowieczny romantyzm w swym najpotężniejszym rozwoju napełniał całą Europę środkową kamiennymi problematami, w których wieki następne starają się odczytać dzieje i ducha epoki, co je stworzyła. — Polska podzielona i bezsilna przebywała ciężką walkę o byt, niepozwalającą jej myśleć o wyższych, duchowych interesach narodu, gdy samo jego istnienie było zagrożone co chwila. Potężne rzeczypo-
spolite kupieckie

północnych Niemiec i Niderlandów, stojąc u szczytu potęgi i dobrobytu, dawały jego wyraz w olbrzymich ratuszach, pokrytych kamienną koronką i kosztownymi rzeźbami, mających świadczyć w późne wieki o tych, co je wzniesli; gdzieindziej, we Francyi i nad Renem, duch religijny wznosił świątynie bezprzykładnego dotąd ogromu, będące świadectwem zwycięstwa ducha nad materją, kościoła nad światem. U nas jeden Kraków tylko mógł iść w zawody ze swymi zachodnimi sąsiadami i w nim też przeważnie, obok Duninowskich kościołów i kilku innych starych tumów na prowincjach, dochowały się pomniki sztuki średniowiecznej. Inaczej się stało z epoką odrodzenia. Powrót do klasycznych tradycji zastał Polskę w najświetniejszej chwili jej dziejów. Wprawdzie coraz bardziej uwydatniający się rozdział pomiędzy monarchją obcego pochodzenia i narodem, oraz coraz częściej i silniej występujące na jaw żywioły anarchiczne tworzyły czarną chmurę, z której w niedalekiej przyszłości miały powstać zgubne dla Polski burze; — zwykle jednak rozwój sztuki najpotężniejszym jest u narodów, które już przeszły południe swoich dziejów i zaczynają zbliżać się ku zachodowi. Już w w. XV widzimy Kraków, zajmujący wybitne stanowisko w świecie sztuki. Ciągłe jego stosunki z hanzeatyckimi miastami i ze stowarzyszeniami mularskimi środkowej Europy nadają przeważnie niemiecki charakter ówczesnej sztuce polskiej i niemieckimi nazwiskami artystów łączą jej zabytki z Zachodem. Wpływ ten jednak trwa krótko, ograniczając się na sam niemal Kraków i już w wieku następnym punkt ciężenia polskiej sztuki przenosi się na Południe. Jak prawie dla całej środkowej Europy, tak i dla Polski Włochy w początkach odrodzenia stają się gwiazdą przewodnią w literaturze i sztuce.

Jak niedawno do uniwersytetów niemieckich, tak teraz do Padwy i Bolonii dąży ucząca się młodzież i z Padwy też, z Florencyi i Rzymu przybywają do Polski artyści, których prace miały tak trwałe i liczne ślady w kraju naszym zostawić. Dwór królewski, napełniony Włochami, otaczającymi królową, staje się środkowym punktem, z którego na kraj cały zaczynają się rozchodzić promienie artystycznej kultury. Wysoki zmysł estetyczny ostatnich Jagiellonów podnosi ich grobową kaplicę na Wawelu do wyżyn pierwszego arcydzieła sztuki w Polsce. Wyższe duchowieństwo i magnaci, idąc za przykładem króla i współzawodnicząc między sobą, napełniają kraj mnóstwem kościołów i zamków. Wreszcie dynastia Wazów, rozmiłowana w budownictwie, acz w zepsutym już smaku XVII w., nadaje ostatecznie krajowi naszemu tę cechę spóźnionego odrodzenia, jaką z małemi bardzo wyjątkami nosi do dzisiejszego dnia jeszcze. Wiek XVII niezadawalniając się wznoszeniem tysiąca nowych gmachów, przerabia zarazem i niszczy to wszystko, co zostawiły wieki ubiegłe w odmiennym, a jak wówczas zwano, barbarzyńskim stylu. Ztąd nieliczne zabytki architektury ostrołukowej są tak zmienione ornamentacją i dodatkami baroko, że nieraz trudno w nich epokę powstania i styl pierwotny odnaleść.

Nie można jednak powiedzieć, żeby renesansowy charakter polskiej sztuki niewolniczo naśladował Włochy i pozbawiony był wszelkiej samodzielności. Przeciwnie. W zabytkach zarówno tej epoki jak i lat następnych uderzają nas ciągle dwa pierwiastki, jakich po za naszym krajem nie spotyka się wcale, lub spotyka się w mniejszym niż u nas stopniu. Pierwszym jest żywioł wschodni. Częste zetknięcie się z Turkami i Tatarami od dawnych już czasów zapoznało nas z wyrobami i gustem Wschodu, a wrodzone na-

rodom mniej wykształconym upodobanie w ja-skrawych barwach i bogatych ozdobach stało się magnesem, który nas silnie do tureczyny po-ciągnął. Odtąd przez cały ciąg naszych dziejów widzimy wpływ ten na każdym kroku w naszych obyczajach, życiu domowém i zabytkach sztuki. W każdym bogatszym dworze sprzęty okryte są tureckimi makatami i perskimi dywanami, na ścianach turecka broń zajmuje honorowe miejsce, w ubraniu, w klejnotach, w sprzętach krój i gust wschodni jest widocznym. Nawet w architekture reminiscencye Wschodu stają się około wieku XVII nader częste. Zwłaszcza w okolicach wysuniętych ku południowo-wschodniej granicy rze-czypospolitėj, w miastach, które jak Kamieniec zostawały czas jakiś pod panowaniem, lub jak Lwów przez Ormian ściśle łączyły się ze Wscho-dem — charakterystyczne eechy Wschodu dają się do dziś dnia wyraźnie dostrzegać, odbierając gmachom i pomnikom ogólnoeuropejski cha-rakter i wyciskając na nich swoje wybitne piętno.

Drugim pierwiastkiem oryginalnym, jaki po-siada sztuka polska czasów odrodzenia, jest jój wybitnie religijny nastrój i kierunek. Na zacho-dzie odrodzenie było reakcją pogańskiego klasy-cyzmu przeciw abstrakcyjnemu romantyzmowi średniowiecznej romantyki, reakcją świeckiego żywiołu przeciw wyłącznej przewadze kościelnego kierunku w sztuce. Jeżeli w dziełach sztuki wieków średnich chodziło tylko o symboliczne przedstawienie wyższych idei lub prawd dogmatycznych; o ucie-leśnienie nadziemskiego ideału, — to sztuka epoki odrodzenia dąży przeciwnie do nadania wszystkich cech i piękności ideału czysto ziem-skim rzeczom. Katedra ostrołukowa była z ka-mienia wykutym symbolem wiary chrześcijańskiej, a obrazy przedrafaelowskich malarzy uwydatniały w świętych tej wiary wyłącznie ten ich idealny,

nadziemski charakter, nie troszcząc się o wierne odtworzenie ich ciała i otaczającego świata; czasy odrodzenia przeciwnie za cel sztuki stawiają zupełną równowagę ciała z duchem, który w pojęciach estetycznych w. XVI nie powinien był jak dawniej kryć się w symbolach i wyrwać ku niebu, ale przeciwnie miał ożywiać i podnosić piękność materji. Ztąd we Francji i Włoszech panowanie klasycznego odrodzenia zostawiło swe ślady przeważnie w dziełach świeckiej sztuki. Jeżeli zaś wśród mnóstwa zamków i pałaców znajdzie się tu i owdzie kościół chrześcijański, wygląda on zwykle na pogańską świątynię albo na muzeum artystyczne. Jeżeli obok bogów i bogiń spotkamy świętego lub anioła, jeden będzie niezawodnie przypominał jakiegoś Jowisza lub Apollina, drugi Amorka lub też geniusza.

W Polsce epoka odrodzenia zastała uczucia religijne zachwiane wprawdzie na chwilę przez reformacyą, ale zaraz potem krystalizujące się w silne i trwałe przekonanie, nie wiele różne od tej wiary wieków średnich, która tak wspaniałe pomniki zostawiła po sobie na Zachodzie. Z drugiej strony nizki poziom artystycznego wykształcenia u ogółu i większa niż na Zachodzie prostota obyczajów w wysokich nawet sferach przeszkadzały rozwojowi sztuki świeckiej. Ozdabianie mieszkań prywatnych dziełami sztuki uważało się za zbytek, dla najwyższych tylko dozwolony — ogólnym zaś był zwyczaj poświęcania Bogu tego wszystkiego, co pięknoscią i ceną wznosiło się po nad zwykły poziom. Sprzyjała temu silna katolicka reakcyja, wzrost i rozwój zakonnych zgromadzeń, które jedne przed drugimi starały się wznosić wielkie gmachy klasztorne i wspaniałe świątynie. Jeżeli zaś architektura ma przeważnie religijny kierunek, to o malarstwie powiedzieć można, że kierunek ten panuje w niem

wyłącznie. Bądź, że dla świeckiej sztuki brakło w Polsce mecenasów, bądź też z naturalnego w czasach gorącej wiary pociągu do łączenia sztuki z Bogiem i niebem, — malarze polscy aż do Stanisława Augusta są wszyscy malarzami religijnymi. Nie mówiąc już o innych artystach obcych i krajowych, którzy dzieła swe zostawili w samych tylko kościołach polskich — dość przypomnieć pełne sympatycznego uroku imię Franciszka Lexyckiego. W środku pogańskiego klasycyzmu epoki odrodzenia życie polskiego artysty-zakonnika zdaje się splatać w jakąś średniowieczną legendę, a postać jego, opromieniona podwójnym nimbem świętości i artyzmu, godna jest stanąć obok Giotta i Fra-Angelica.

Czasy Stanisławowskie nie sprzyjały rozwojowi religijnego kierunku w sztuce, choć w jego miejscu nie potrafiły żadnego innego utrwalić. Wprawdzie pozujący wiecznie król chorował często na Ludwika XIV i zapominając o przestrzeni dzielącej Łazienki od Wersalu, próbował stworzyć złoty wiek Stanisława Augusta. Usiłowania te jednak — na polu artystycznej produkcji przynajmniej — nie wywołały nic nad kilka sporadycznych objawów i naśladownictwa, niewznoszącego się nigdy ponad elegancką nierośnię. Kilkoletni ruch artystyczny drugiej połowy zeszłego stulecia, był tylko ruchem maszyny nakręconej i kierowanej z góry. Sztuka rozkwitła pod skrzydłami króla, nie wyszła za obręb jego pałaców i obok Bacciarellego i Norblina nie wytworzyła żadnego polskiego artysty. Po jej upadku, idącym równolegle z upadkiem króla i kraju, wraca na długie lata dawny zastój i uśpienie, a słaba produkcja artystyczna kilku malarzy, rozsypanych najwięcej za granicą, ogranicza się przeważnie na zaspokajaniu potrzeb kultu i ozdabianiu religijnymi obrazami kościołów. Jak mało było religijnego ducha w tej

rzemieślniczej robocie, do której artystów zmuszał brak pokupu na wszelkie inne obrazy — na świadectwo tego może posłużyć, że przy późniejszym rozkwicie sztuki polskiej najpóźniej i najmniej licznie zajętem zostało pole — religijnego malarstwa. Zapewne: w wieku bez wiary i bez religijnego ideału trudno się temu dziwić, zwłaszcza, że równocześnie wytrwałe i umiejętne usiłowania podjęte w tym samym celu na Zachodzie, wydały nader małe owoce i sztuka religijna mimo Corneliusa, Owerbecka i Ary-Scheffera, nie zdobyła sobie pierwszorzędnego stanowiska. W każdym razie jednak usiłowania te nie pozostały bez korzyści. Jeżeli około artystycznych przewodników nie zebrało się zbyt liczne grono uczniów, wstępujących w ich ślady, jeżeli niejeden z nich talentu swego nie wyżył dostatecznie i skrzywił go, wpadając w niewolnicze naśladownictwo przedrafaelowskiej szkoły z jej rysunkowemi i anatomicznemi błędami — tém niemniej ruch religijno-artystyczny zyskał sobie rozgłos i rozszedł się zarówno wśród warstw najwykształceńszych jak i najniższych, ludowych. Uczzone prace Wackernagla, Kreutzera, Reichen-spergera, Rio, broniły go w kołach uczonych archeologów, estetyków i artystów; liczne stowarzyszenia popularyzowały smak, znajomość i zamiłowanie sztuki religijnej wśród mass. Śmiało powiedzieć można, że stowarzyszeniom tym Niemcy katolickie w znacznej części zawdzięczają swe religijne odrodzenie i wysoką artystyczną kulturę, która u nich tworzy dzieła sztuki ze wszystkich ozdób służących na potrzeby ołtarza.

Dotychczas nie mieliśmy w Polsce tego rodzaju stowarzyszenia i może temu przypisać trzeba, że w ostatniem stuleciu sztuka religijna tak nieudolnie była u nas reprezentowana. Brakowi temu postanowiono obecnie zaradzić, zakładając w Krakowie na wzór stowarzyszeń niemie-

ckich, a zwłaszcza kolońskiego — towarzystwo św. Łukasza, celem podtrzymywania sztuki religijnej, rozszerzania dobrych obrazów po kościołach i wspierania artystów poświęcających się religijnemu malarstwu. Towarzystwo zaprojektowane przed rokiem przez kilku ludzi dobrej woli, między którymi gorliwością odznaczał się ks. dr. Siemiński, uzyskało od Namiestnictwa w początku bieżącego roku zatwierdzenie swych statutów i rozpoczęło już obecnie swe czynności. Wydział liczy sześciu członków stałych i tyluż obieranych; do pierwszych należą konserwator zabytków i pomników sztuki, delegaci Akademii Umiejętności i Szkoły Sztuk Pięknych, profesorewii historii sztuki przy Uniwersytecie i Szkole Sztuk Pięknych, oraz reprezentant władzy duchownej,znaczony przez miejscowego Biskupa; pomiędzy drugimi znajduje się prezes towarzystwa p. Paweł Popiel, zastępca hr. Antoni Potocki, sekretarz p. Stanisław Tomkowicz i kasyer pan Kazimierz Orpiszewski. Zawczasem byłoby dziś wyrokować o przyszłych rezultatach działalności towarzystwa — w każdym razie wpływ jego będzie nadzwyczaj pożytecznym, jeśli się przyczyni do rozszerzenia lepszych obrazów po mniejszych kościołach, jak to robi warszawskie Towarzystwo Opieki nad ubogimi kościołami. Co do podniesienia sztuki religijnej, jak się o to starano na Zachodzie — to oczywiście trudniejsze. Będąc wytworem potrzeb duchowych oświeconego społeczeństwa, sztuka musi koniecznie odpowiadać skali jego pojęć i dążeń. Jej objawy i kierunki wtedy tylko mają rzeczywistą racją bytu i przyszłość przed sobą, jeśli nie pochodzą od odosobnionych jednostek i znajdują oddźwięk u pewnej części inteligentnego ogółu. To też kto wie czy nie słuszną w gruncie była zakrawająca na paradoks uwaga, którą ktoś zrobił przy zakładaniu towarzystwa św. Łukasza — że

chcąc mu nadać szersze znaczenie, trzebaby je poprzedzić towarzystwem Wiary. I rzeczywiście bez wiary artysta zdolny jest tylko wykonać rzemieślniczy obstalunek lub pod godłem świętości będzie przemycał całkiem światowy towar. Przed dwoma czy trzema laty w paryzkim salonie największe wrażenie i ciekawość obudzał obraz religijny. Tłumy roily się przed Chrystusem naturalnej wielkości rozciągniętym na krzyżu z posiniałemi wargami, oczami zaszlęmi bielmem śmierci, muskułami, pokarczonemi konwulsyjnie i ciałem noszącem ślady zgnilizny. Opowiadano, że artysta portretował swój obraz z trupa, przywiązanego w odpowiedniej pozycji i nie opuścił żadnego szczegółu, żeby swoje dzieło zrobić jak najbardziej podobnym do dokładnej fotografii.

Ale zostawmy na stronie francuzkich realistów, którym oczywiście chodzi nie o wyższe cele artystyczne, ale jedynie o powodzenie materialne i poklask tłumu. Szukajmy gdzie indziej. Oto malarz stojący na wręcz przeciwném stanowisku, starający się nadać swym obrazom wysoce idealny kierunek, — tworzy obraz Chrystusa, którego sława rozchodzi się po całym świecie i przenika tam nawet, gdzie niesłyszano nigdy o Rafaelu i Michale Aniele, — a to nie dla rzeczywistych zalet obrazu, ale jedynie dzięki dowcipnej sztuce, umieszczonej przez artystę w oczach Zbawiciela, które stósownie do punktu widzenia, stają się kolejno otwarte i przymknięte. Oczywiście że żaden z dwóch obrazów nie może być nazwany obrazem religijnym. W jednym i drugim artysta wziął za temat postać, którą wiara nasza otacza boską czcią — ale żaden nie umiał zachować harmonii pomysłu z wykonaniem, żaden swemu Chrystusowi nie nadał owiej boskiej cechy, bez której nie wyobraża go sobie chrześcianin. U jednego przedstawienie

Chrystusa jest profanacją, u drugiego szarlata-
neryą; u obudwóch błąd, rozmyślny czy nie, po-
chodzi ztąd, że brak uczucia religijnego nie po-
zwolił artystom osiągnąć wysokości obranego
przedmiotu i postawił ich utwory w tym samym
stósunku do rzeczywistego religijnego malarstwa.
w jakim stoją żywoty Chrystusa Straussa i Re-
nana do tego, który skreśliło pióro Veuillota.
Mówią, że Fra-Angelico malował swe Madonny
klęcząc, a Owerbeck przed zaczęciem każdego
obrazu przygotowywał się do tego postem i mo-
dlitwą; nam się zdaje, że jak dawniej tak i te-
raz artysta religijny musi w myśli przynajmniej
ukłęknać przed świętą postacią, jaką chce przed-
stawić, i duchem przed nią się ukorzyć, dla te-
go, żeby ją potem dobrze odtworzyć, godząc wia-
rę ze sztuką i nadziemski ideał z cielesnemi
formami.

Zapewne takimi uczuciami przeniknięty być
musiał p. Jabłoński, malując swoją Chustę
św. Weroniki, która, zdaniem naszym, jest
zapowiedzią nowego zwrotu w religijnem malar-
stwie polskiem. Artysta musiał wiele obcować
z największymi mistrzami i arcydziełami lat
ubiegłych; musiał też sam przebyć długą i tru-
dną pracę duchową nim mógł stać się zdolnym
do utworu, łączącego w sobie cały idealizm i po-
lot ducha pobożnych malarzy średniowiecznych z
klasycznymi tradycjami i artyzmem mistrzów
odrodzenia. Wyznajemy, że nie oczekiwaliśmy,
czegoś podobnego, choć znany talent i dotych-
czasowy kierunek artystyczny p. Jabłońskiego
upoważniały nas do przypuszczenia, że obraz jego
będzie miał rzeczywistą wartość. Prawie dzie-
ckiem p. Jabłoński naznaczył już drogę, którą
miała iść jego artystyczna twórczość, ozdabiając
ścieniami malowidłami krakowski kościół XX.
Misyonarzy na Stradomiu. Następnie po powro-
cie z podróży na Wschód zwrócił na siebie uwa-

gę obrazem „Trzy Marye,” który był świadectwem gruntownych studyów nad archeologią biblijną, a odznaczał się gorącością kolorytu, siłą pędzla i oryginalnością. Krytyka robiła mu liczne zarzuty — i rzeczywiście zbyt ściśle trzymanie się prawdy archeologicznej z odrzuceniem dotychczasowej tradycyi było może dość rażącym, czuć jednak było w obrazie prawdziwego artystę, który zamiast iść utartymi drogami, wolał nowe przebijać i oryginalne piętno nadawać swym utworom. Najświętsza Panna z Lourdes pozbawiona oryginalności i południowego kolorytu, jakie podziwiano w poprzednim obrazie, nie miała też jego błędów, a swoim idealnym charakterem i podniesionym nastrojem odpowiadała zupełnie warunkom religijnego obrazu. Niezaprzeczenie jednak wielki przeskok dzieli ją od Chusty św. Weroniki. Tu już talent i zwykłe natchnienie religijne nie wystarczyłyby; trzeba było błysku geniuszu, żeby współzawodniczyć ze znanymi światu całemu dziełami wielkich mistrzów i żeby obok nich pozostać tak oryginalnym, choć uczuciem i myślą zbliżonym, jak to uczynił p. Jabłoński.

Na środku białej chusty, fałdującej się z lekka u dołu i otoczonej zbytecznemi zdaniem naszym emblematami męczeństwa — jaśnieje twarz Chrystusa klasycznie piękna, łącząca w sobie majestat Stwórcy z cierpieniem stworzenia. Z pod cierniowej korony spływają na dół rubinowe krople krwi — ciało zwilgłe krwią i potem — oczy spuszczone i na pół przymknięte a jednak pełne nieopisanego wyrazu, — twarz cała znudzona męką nad siły, a zarazem pełna spokoju, słodczy i powagi. Od tych rysów, mających już niedługo pokryć się bladością konania, bije blask większy niż łuna otaczająca głowę Zbawiciela. Czuć Boga, choć się widzi człowieka. Obok mistycznego blasku i nadnaturalnego nastroju,

jaki panuje w obrazie, czuć w nim prawdę; klasyczny idealizm łączy się z niemal realistyczną ścisłością, delikatność pędzla i mistrzowskie cieniowanie ze śmiałością i siłą. Patrząc na tę twarz, będącą niewątpliwie najpiękniejszym wizerunkiem Chrystusa, jaki sztuka polska posiada — nasuwa się mimo woli na myśl *Ecce Homo Guido-Reniego*. Tylko podczas gdy u włoskiego mistrza w oczach Chrystusa podniesionych do góry, maluje się rozpaczliwe i beznadziejne cierpienie, z ust na pół otwartych zdaje się wychodzić okrzyk bólu i cała postać zdaje się uchwyconą w chwili jakiegoś konwulsyjnego wstrząśnienia nadludzką męczarnią; — twarz Chrystusa na obrazie p. Jabłońskiego jest przeciwnie zupełnie spokojną, zbolalą, ale nie zwyciężoną bólem. U Guido-Reniego przemaga stworzenie nad Stwórcą. Jego Chrystus — to człowiek złamany i bezsilny, wołający w rozpacz o litość do Boga czy do ludzi; to Chrystus taki, jakim może był przed ofiarą krzyżową w oliwnym ogrodzie, gdy w chwili boleści, przejęty ludzką słabością i bojaźnią, błagał Ojca przedwiecznego, by oddalił od Niego ten kielich. Chrystus p. Jabłońskiego, skrwawiony i blizki zgonu, nie przestaje być Bogiem, jest takim, jakim musiał być w chwili, gdy ocierającej Mu pot z czoła św. Weronice zostawił na chustce krwawe odbicie swęj twarzy. Nie porównujemy tu oczywiście artystycznej wartości obu obrazów — jako pomysł jednak wyobrażenie Chrystusa u polskiego artysty zdaje się nam piękniejsze i wyższe. Chrystus Guido-Reniego jest tylko arcydziełem sztuki, przeznaczonem na ozdobę artystycznego muzeum; Chrystus p. Jabłońskiego jest wyobrażeniem Boga, do którego zwróci się od razu uczucie i modlitwa chrześciana. Dziwilibyśmy się bardzo, żeby przy niskiej, bo tylko kilkaset złr. wynoszącej cenie obrazu, Chusta św. Weroniki miała opuścić Kraków.

Miejsce jęj w jednym z tutejszych kościołów należy się tém bardzięj, że wielki obraz św. Ludwika, nad którym obecnie pracuje p. Jabłoński, jest zakupiony przez hr. Platera dla jednego z ostatnich kościołów na kresach naszego kraju, w Krasławiu w gub. Witebskięj i zapewne krótko tylko będzie na wystawie krakowskięj.

Obok drugięj jeszcze Chusty św. Weroniki, która mimo pewnych zalet nie może wytrzymać porównania z obrazem p. Jabłońskiego, spotykamy jeszcze tylko jeden obraz religijny na wystawie krakowskięj, a tym jest św. Cecylia p. Krudowskiego. Wyznajemy szczerze, że nas ta liczba tak szczupła nie bardzo smuci; wolimy to, od przepędzenia wystawy miernotami. Jeżeli gdzie, to w sztuce religijnej najgorszym jest niezrozumienie przedmiotu i rzemieślnicze jego traktowanie — lepięj zatem żeby mnięj artystów poświęcało się temu kierunkowi, ale za to żeby ich dzieła odpowiadały wysokiemu ideałowi, przyświecającemu ich artystycznęj działalności. Święta Cecylia p. Krudowskiego ideałowi temu odpowiada zupełnie, nie mnięj od obrazu p. Jabłońskiego. Artysta połączył w nięj idealny wdzięk niewieści z urokiem świętości. Pędzel jego delikatny i miękki przypomina artystów włoskich, nie tracąc samodzielności. Twarz świętęj, choć nie otoczona aureolą, jaśnieje blaskiem natchnienia, zdaje się odbijać jednę z tych chwil, w których ucho patronki muzyki słyszało dźwięki nadziemskich tonów i dusza jęj opuszczała swą cielesną powłokę, żeby wznieść się do góry i na chwilę utonąć w niebie. Pana Krudowskiego czeka świetna przyszłość. Jego obraz okazuje obok talentu tyle wyrobienia i pracy, tak dobrą technikę i tak gruntowne obeznanie z przedmiotem, że możnaby go postawić za wzór naszym młodym artystom. Dla sztuki religijnej jest on cennym nabytkiem i daje nam pewność, że pan

Jabłoński w swój pracy na tak pięknym i pożytecznym polu znajdzie godnego współzawodnika.

Pomiędzy świeckimi obrazami na wystawie uderza przedewszystkiem portret namiestnika Galicyi. Ostatni ten obraz Matejki był przed ukazaniem się jeszcze przedmiotem licznych uwag i komentarzy. Oczekiwano go tém niecierpliwiej, że jak wiadomo, portrety osób żyjących są piętą Achillesową znakomitego artysty i że już kilkakrotnie krytyka znajdowała w nich pewne błędy. Ci, co widzieli obraz w pracowni, utrzymywali, że obraz choć nie wielki rozmiarami, będzie mógł zająć wybitne stanowisko wśród najpierwszych arcydzieł mistrza. I rzeczywiście Matejko dał w nim nowy dowód, że prawdziwy geniusz nie spoczywa nigdy na zdobytych laurach i nie ogranicza się w jednej, choćby najszerszej sferze; charakterystyczną jego cechą jest ciągły postęp i doskonalenie się. Namiestnik Matejki jest nie tylko wiernym odtworzeniem znanego dygnitarza, uosabia on zarazem typ polskiego magnata, nie z rodzaju ks. Karóla Panie kochanku lub hetmana Branickiego, ale raczej z tego niezbytlicznego grona statystów i mężów stanu, z których w drugiej połowie zeszłego stulecia składali się przywódcy stronnictwa reformy. Trzeba było niepospolitej umiejętności, żeby z twarzy, nie mającej wcale polskiej cechy, zrobić postać ściśle narodową, nie naruszając wcale jej podobieństwa do oryginału. Postać ta w czarnym stroju narodowym, którego prostotę podnosi tylko bogata spinka u szyi, z laską marszałkowską w rękę i poważnie wzniesioną do góry głową, zdaje się występować z ram obrazu i przykuwa do siebie mimowoli wzrok patrzącego. Niema w niej ani śladu owej jaskrawości barw i przesady w zbyt energicznym traktowaniu przedmiotu, jakie przejął od Wita Stwosza wykształcony na jego wzorach Matejko, choć Stwoszowskie rzeźby tracą swą jaskrawość

tylko przy różnokolorowych promieniach światła, przyćmionego malowanemi oknami, a przy zwykłym oświetleniu stają się bardzo rażące. Ostatni portret Matejki nie stracił nic z owęj siły pędzla, jaka go odznacza, — ale oprócz może trochę za mocnego kolorytu twarzy i zbyt wyprężonych muszkułów ręki, trzymającej buławę, trudno byłoby w nim odnaleść którykolwiek z błędów, jakie spotykają się gdzieindziej. Porównanie zresztą i krytyczna ocena jest bardzo łatwą, gdyż na wystawie znajdują się stale dwa inne portrety Matejki (pana C. i hrabiny C.), które mimo wszystkich swych zalet nie dadzą się ani na chwilę postawić obok portretu namiestnika. Będzie on niewątpliwie najpiękniejszą ozdobą nowo budującego się gmachu sejmowego, dla którego jest przeznaczony.

Tuż obok portretu namiestnika znajduje się Kopernik, wielkich rozmiarów płótno p. Wojciecha Gersona z Warszawy. Wielka postać, stojąca na rozdrożu wieków średnich i epoki odrodzenia obok Gutenberga, Kolumba i Michała Anioła, dawała wielokrotnie artystom naszym wątek do większych utworów w różnych gałęziach sztuki. Życie Frauenburskiego kanonika, pełne dramatycznego interesu, jak każda walka geniuszu z dawnemi przekonaniem, krępującemi jego polot w górę, — nadawało się wybornie zarówno pod pędzel, pióro i rylce. Jego sława zbyt jasny blask rzucała na naród, który go wydał, żeby jój nie uwiecznić w dziełach sztuki polskiej, zwłaszcza wobec nienzasadnionych roszczeń naszych zachodnich sąsiadów. Spotykamy się też z postacią Kopernika w literaturze, rzeźbie i malarstwie. Kilka dzieł niemałej wartości, jak praca ks. kan. Polkowskiego, lub muzeum Kopernika w Rzymie, łączą współczesną naukę polską z imieniem wielkiego polskiego geniusza; równocześnie imię to spotyka się w kilku dra-

matycznych i poetycznych utworach, między którymi dość wspomnieć dramat p. Szujskiego, rzeźba uwiecznia je w kilku posągach i pomnikach, malarstwo wreszcie w trzech wielkich obrazach przedstawiających trzy główne chwile z życia Kopernika. W jednym z tych obrazów artysta pokazuje nam młodego uczonego w samotnej pracowni na dachu jego domu w chwili, gdy mu po raz pierwszy rozjaśniła się zagadka obrotu ciał niebieskich, i gdy padając na kolana, żeby podziękować Bogu zazesłane mu światło z góry, podnosi z zachwytem oczy w przestwory niebieskie, które już przestały mieć dla niego tajemnice. W drugim widzimy Kopernika w pełni lat i wiedzy, głoszącego wynalezione przez siebie prawdy naukowe wobec największych potęg i najślawniejszych imion jego czasu, wobec Papięza i jego dworu, Leonarda da Vinci i Michała Anioła. W ostatnim wreszcie Kopernik zwyciężony w walce nierównej, zmęczony i bezsilny, straciwszy nadzieję, żeby z powodu intryg jego niemieckich wrogów księga *De revolutionibus orbium coelestium* mogła wyjść z druku i wielkie odkrycie od zapomnienia ocalić, — w ostatniej chwili życia widzi cel swój osiągnięty i żegnając świat, ostatnie spojrzenie zatrzymuje na pierwszym egzemplarzu księgi, która miała nieznaną widnokreśli ludzkości otworzyć. Z trzech tych tematów, choć każdy z nich miał i wartość artystyczną i dramatyczny interes, — najpiękniejszym, najobfitszym w materiał artystyczny i największe pole dającym wyobraźni i talentowi malarza był niewątpliwie drugi. W pierwszym, co prawda, artysta przedstawił chwilę uroczystszą, największą z całego życia Kopernika, ale sam wybór takiej chwili nie pozwalał na danie obrazowi obszernego tła, na otoczenie głównej postaci odpowiednimi akcesoryjami i drugorzędnymi figurami, bez któ-

rych oczywiście przedmiot pozbawiony jest akcyi i ogólniejszego interesu. W ostatnim postacie otaczające Kopernika są tak obojętne i nie mówiące, a cały interes tak się skupia na samym tylko Koperniku, że obraz jest znowuż tylko kartą z życia wielkiego astronoma, a nie kartą z dziejów ludzkości. Przeciwnie Kopernik przed Papieżem, to nie oderwany epizod z życia i literackiej działalności pojedynczego człowieka, to nawet nie walka i obrona jednej naukowej teoryi, — ale wielka w dziejach ducha rewolucya.

Wybierając temat tak podniosły i bogaty, artysta miał dwie drogi do wyboru. Albo, idąc utartą koleją znacznej części historyzofów, mógł przedstawić w Koperniku tryumf epoki odrodzenia nad wiekami średniami, wiedzy wyzwolonej nad nauką Kościoła, rozumu nad wiarą i światła nad ciemnotą, albo też opierając się na znakomitych badaniach kilku wielkich uczonych, którzy w ostatnich czasach tak odmienne światło rzucili na dzieje Papieztwa w początkach odrodzenia, oraz na stosunek wielkich reformatorów tej epoki do nauki Kościoła, pokazać w swym obrazie Kościół dający błogosławieństwo wielkim zdobyczom umysłu ludzkiego i godzący niezaprzeczone prawa rozumu z wiarą w prawdy objawione; Kościół opiekujący się i otoczony tém wszystkiem, co potęgą geniuszu i myśli twórczej wznosiło się po nad ogólny poziom; Kościół torujący drogę wiedzy i sztuce, odszukujący w przeszłości jej zabytków i pomników i patrzący w przyszłość bez małodusznej obawy. W jednym i drugim razie obraz obudziłby zapewne zarzuty i polemikę przeciwnego obozu, ale miałby myśl przewodnią i historyczne znaczenie; gdyby zaś wykończenie odpowiedziało poemysłowi, mógłby stać się dziełem, mającém wielką doniosłość dla całego artystycznie wykształconego świata.

Na nieszczęście p. Gerson nie poszedł w żadnym z dwóch kierunków i zapewne chcąc pozostać bezstronnym nadał swemu obrazowi pewną cechę bierności, która tylko dzięki jego niepospolitemu talentowi nie przeszła w mierność. Jego Papież nie jest ani Aleksandrem Borgia, ani Leonem X, również jak i jego Kopernik w fioletowej sutannie, wykładający na katedrze swoją naukę, przypomina raczej młodego profesora seminarium, niż wielkiego uczonego, który wstrząsnął świat w jego podstawach. Twarz jego, otoczona długimi włosami, ma wiele łagodnego wdzięku i słodczy, ale brak jej bruzdów zostawionych ciężką pracą myśli, brak piętna geniuszu, któryby ją nad ogół podnosił. Z drugiej strony obrazu, odwrócony trochę od mówiącego Kopernika, z twarzą obojętną i bezmyślną. Papież Klemens VI odróżnia się tylko strojem od otaczających go osób. Żadna myśl i uczucie, żaden dodatni ani ujemny pierwiastek nie wydatnia się w tej postaci, mającej przedstawiać największą potęgę duchową świata chrześcijańskiego i będącej obok Kopernika głównym punktem, na którym powinien się koncentrować interes widza. Na około Papieża jego dwór, Kardynałowie, Prałaci, artyści, stary Leonard da Vinci z ołówkiem w ręku, wpatrzony w Kopernika i szkicujący twarz jego, Perugin i Michał Anioł, wszystkie znakomitości artystyczne wielkiego wieku, przysłuchujące się słowom człowieka, który tak samo odkryciem swym pchnął naprzód naukę ścisłą, jak oni równocześnie sztukę. Wszystkie te postacie tak ciekawe i tak niepospolite odróżniają się między sobą tylko podpisanymi u dołu nazwiskami. W żadnej nie czuć tego potężnego ducha epoki, tego gwałtownego ścierania się sprzecznych żywiołów, tej walki uczuć i pojęć, jaka odznacza tę epokę. Każdy z tych osób słucha wykładu teorii Ko-

pernika jak pierwszego lepszego panegiryka lub dyalektycznej dysputy, obojętnie lub ciekawie, stósownie do usposobienia, ale wżadnej teorya ta nie wywołuje owego głębokiego wstrząśnienia, jakie na ludziach podobnej miary wywołać musiała. Nigdzie nie czuć potwierdzenia lub opozycyi, nigdzie przejęcia się i zrozumienia ważności przedmiotu, o którym mówi Kopernik. Ze wszystkich tych historycznych postaci rozrzuconych w malowniczych grupach po obu stronach obrazu, charakterystyczną i odpowiadającą historycznej tradycyi jest jedna tylko postać Cezara Borgia, który swym gorąco rudym zarostem, chytrym a przenikliwym wyrazem oczu i twarzy uderza nas od razu i odpowiada zupełnie wyobrażeniu, jakie mogliśmy sobie o nim wytworzyć. Inni są zwykłemi typami, które się co chwila spotyka na ulicy i których rysy zacierają się, jak tylko stracimy je z oczu. Te słupy ogniste, przyświecające aż dotąd cywilizacyjnemu pochodowi ludzkości są tylko zwykłym tłumem dworaków, słuchających w milczeniu chwilowém jednego z pomiędzy siebie.

Gdyby wielki talent, doskonała technika i gruntowna znajomość sztuki mogły zastąpić zapoznanie ważności i znaczenia historycznego momentu w przedstawiającym go historycznym obrazie, nazwalibyśmy dzieło p. Gersona doskonałem. To wszystko, co wytworny a wprawny pędzel mógł zrobić dla artystycznego wykończenia najdrobniejszych szczegółów i całości, to wszystko znajdujemy w obrazie p. Gersona. Nie zaprzeczając też jego artystycznej wartości, należy tylko mocno żałować, że nie wyzyskał bogatego materiału, jaki mu obrany przedmiot nastrecał i nie podniósł swego obrazu do takiej wyżyny, jakiej przedstawienie Kopernika wobec Papieża było godne.

Więszą daleko harmonią między tematem a jego opracowaniem spotykamy w drugim obrazie p. Gersona, przedstawiającym św. Jadwigę. Obraz znacznie od Kopernika mniejszy, mniej téż opracowany i wykończony, przewyższa go jednak i prawdą historyczną i kolorytem epoche właściwym i sympatycznym urokiem, na którym poprzedniemu zupełnie zbywa. Do sklepionéj izby sądowéj, w którój wobec księcia Henryka Brodatego mają właśnie brać na tortury kilku więźniów, wchodzi św. Jadwiga, żeby błagać męża o uwolnienie nieszczęśliwych. Izba jest prawie zupełnie ciemna, oświecona tylko jaskrawymi błyskami płomienia, przy którym oprawcy rozgrzewają narzędzia tortury, przeciwnie postać księżnéj, schodzącéj z górnych komnat do podziemia, otoczona jest światłem dzienném, wpadającém otwartemi przez nią drzwiami. Biała, powiewna, omglona jasnym promieniem słonecznym ukazuje się więźniom wyciągającym ku niéj ręce jak nadziemskie zjawisko. Ten kontrast Rembrantowskich cieniów i pełnéj strasznéj grozy sceny z owém dzienném światłem z góry, otaczającém białą postać księżnéj, to przeciwstawienie typów wstrętnych i całkiem realistycznie traktowanych pełnéj idealnego wyrazu świętéj jest zarazem i doskonale trafionym efektem artystycznym i bardzo dobrze pomyślaną kartką historyczną z średniowiecznéj przeszłości wyciętą. To połączenie w jednym obrazie światła i cienia, świętości i zbrodni, ideału z realistyczną prozą życia stanowi charakterystyczną cechę wieków średnich i bez zestawienia tych sprzeczności nie podobna ich przedstawić i ocenić. Pan Gerson nie pierwszy raz dotyka tych czarów; zrozumiał je téż daleko lepiej, niż epokę odrodzenia w Koperniku. Obrazowi posiadającemu wszystkie zalety, jakie cechują pędzel warszawskiego artysty, zarzucilibyśmy tylko, że postaci oprawców

i księcia a zwłaszcza tego ostatniego zbyt realistycznie są pojęte i oprócz dramatycznej grozy wzbudzają swą brzydota odrazę. Z drugiej strony, jakkolwiek efekt światła otaczającego św. Jadwigę jest zupełnie naturalny, główna postać jest przez to zbyt zamgloną i niewyraźną, a jej białe, lekko nakreślone kontury przypominają raczej jakieś nadprzyrodzone zjawisko, niż ziemską istotę.

Bardzo sympatycznym jest trzeci obrazek p. Gersona przedstawiający Mazurki prowadzące pojmanego przez nie Pomorzanina. Dzika i szpetna twarz jeńca tworzy żywe przeciwieństwo ze świeżemi twarzami dziewcząt, które zresztą są zwykłemi dziewczynami z jakiejs wioski nad Wisłą, tylko w odmiennym od dzisiejszego kroju. Obrazek odznacza się doskonałą techniką i wykończeniem. — Załujemy, że ostatniej tej zalety nie możemy przyznać Politykom p. Eliasza. Obrazek ten malowany jest widocznie na prędcie z owym *laissez-aller*, odznaczającym bardzo płodnych artystów. To jednak co im brak na wykończeniu, okupują trzój politycy z ulicy św. Anny niezmiernem życiem, dobrze schwyconą charakterystyką i grą fizyognomii. Pan Eliazs umie wybornie odtwarzać takie postacie z niezbyt dalekiej latami a tak już przecie oddalonej od nas przeszłości. Dar spostrzegawczy łączy się u niego z zamiłowaniem tych lat ubiegłych. Chcielibyśmy tylko, żeby dosadna charakterystyka i realizm, jaki odznacza jego utwory, nie przechodziły w niegodną prawdy żywego dzieła sztuki karykaturę, jak to ze smutkiem widzieliśmy nie dawno w bardzo niefortunnym *Twardowskim*.

Realizm jest dziś nadto potrzebną modą, żebyśmy się z nim nie mieli spotkać w kilku obrazach na krakowskiej wystawie — spieszymy jednak dodać, że najnowszy kierunek artystyczny

daje się tu widzieć tylko w formie i wykonaniu, nie, jak to ma miejsce za granicą, w tendencji obrazów. Spotykamy się z nim zresztą przeważnie w obrazkach mniejszych, rodzajowych; z małemi wyjątkami bliższym on jest szkoły flamandzkiej, niż współczesnego realizmu francuskiego. Do takich należy Płukanie jarzyn p. Lipińskiego, dobrze znanego ze swego Targu na Kleparzu — i Dzień targowy w małym miasteczku p. Szernera. Obydwa te obrazy mają wszystkie zalety realistycznej szkoły: wierne odtworzenie szczegółów, zwłaszcza w martwej naturze, sumienne studia spostrzegawcze i ścisłość fotograficzna prawie. U p. Lipińskiego możemy podziwiać całe bogactwo jarzyn krakowskich, a jeżeli wśród tych stosów kapusty i marchwi próżnobyśmy szukali jakiejś myśli, jakiegoś wyższego artystycznego dążenia, to nie możemy znowuż zaprzeczyć, że każdy listek i każda główka jarzyny jest doskonale wykończoną całością i jako fotografia z natury, obraz sprawia bardzo dobre wrażenie. I u p. Szernera rynek jest żywcem schwycony z jakiegoś galicyjskiego miasteczka; — żałujemy tylko, że artysta nie zrobił lepszego wyboru — rynek jego bowiem jest tak mały, tak zacieśniony domami, że ledwo na przestrzeni kilkunastu kroków muszą tłoczyć się wszystkie postacie obrazu. Zupełny brak drugiego planu i powietrza, koloryt nieba bladawy i smętny w przeciwieństwie z jaskrawością barw jarmarcznych towarów i strojów wieśniaczych — to ujemne cechy płótna p. Szernera. Ale obok tego jakie życie w każdej postaci, jaka prawda w każdej najnieznaczniejszej drobnostce. Ci wieśniacy i mieszczanie w swoich długich kapotach i sukmanach, stojący około wozów i targowych budek, zdają się ruszać i mówić; zwłaszcza uda-

nymi są dwaj górale i wieśniak na prozdie obrazu.

Nie zawsze jednak realizm daje się tak dobrze zastósować u naszych malarzy. Na Zniwiarce p. Jacka Malczewskiego widzimy jego wpływ ujemny, a tém smutniejszy, im mniej spodziewany. Pan Malczewski należy do najbardziej utalentowanych malarzy wśród młodszej generacji artystów krakowskich. Dotychczasowe jego prace nosiły wszystkie nawet w najdrobniejszych szkicach piętno wysokiej oryginalności, cechującą zawsze wyższy umysł i talent. Nie dawno jeszcze w większym jego obrazie Zapóźno z pieśnią podziwialiśmy harmonią tematu z treścią rzewny i pełen głębokiego smutku pomysł łączący się z pięknym wykonaniem. Zdaje się jednak, że tak szczęśliwe dotąd dążenie do oryginalności musiało w końcu zaprowadzić p. Malczewskiego na realistyczne manowce. Sledząc ciągle za współczesnym postępem sztuki na zachodzie, spróbował przenieść do nas jej najskrajniejszy odcień i cały swój talent wysilił na to, żeby w swój Zniwiarce oddać typ bardzo pospolity w niepospolicie realistyczny sposób. Nie żądamy od artysty, żeby się trzymał wyłącznie klasycznego kierunku i naśladował niewolniczo Kaulbacha i Delaroché'a; — wolno nam przypomnieć, że obok znanego przysłówia o dobroci wszystkich rodzajów, oprócz nudnego, istnieje w dziedzinie sztuki inne podobne, pozwalające na wszystkie kierunki wyjąwszy brzydkiego. Jak wrodzony każdemu wykształconemu człowiekowi zmysł estetyczny nie cierpi w koło siebie rzeczy brzydkich i każe mu otaczać się przedmiotami które kształtem i dobarem kolorów pieczą jego oko — tak i w sztuce szukamy nie tego tylko, co się w naturze znajduje, ale tego, co w niej jest pięknym. Nie każdy oczywiście potrzebuje isć wzorem owego

greckiego mistrza, który zbierał najpiękniejsze kobiety swego miasta i od każdej brał to, co twarz jej miała najpiękniejszego dla tego, żeby utworzyć jedną postać bogini idealnej piękności. Owszem — przebywając wyłącznie na tych wyżynach sztuka przestałaby mieć prawdę i podobieństwo do istniejącego świata. Tylko zbliżając się do niego w swych dziełach, sztuka musi ograniczać się pewnymi granicami, nie wpadając w niewolniczą kopia. Artysta powinien swój przedmiot podnosić i nadawać mu wszystkie cechy artystycznej doskonałości, nie odbierając mu podobieństwa do prawdy życia. Jakikolwiek byłby temat jego obrazu, obraz ten wtedy tylko odpowie estetycznym potrzebom widza i słusznym wymaganiom artystycznej krytyki, jeśli zupełnie zaspokoi poczucie piękna i utrzyma równowagę między koniecznym w sztuce ideałem a naturą. Równowagi tej p. Malczewski zupełnie nie umiał zachować. Jego *Zniwiarka* stojąca z sierpem w ręku wśród wysokich i gęstych kłosów zboża — ma śliczne korale, (nawiasem mówiąc trochę dziwnie wyglądające przy robocie w polu) ładną chustkę na głowie, ręce grube i muskularne jak u grenadyera, twarz bezmyślną o grubych, pospolitych rysach. Jej oczy patrzące wprost przed siebie nie mówią nic — ich błękit przypomina raczej porcelanowe laleczki niż przepyszny choć jednotonny koloryt otaczającego ją nieba. Nie wątpimy, że p. Malczewskiemu łatwo przyszłoby nie jedną podobną *Kasę* lub *Jagnę* znaleźć na wsi lub przedmieściu, — zdaje się jednak, że i tam możnaby zobaczyć tysiące postaci daleko innych, które nie idealizowane nawet sprawiłyby na widzu odmienne od *Zniwiarki* wrażenie. Tę ostatnią pojmujemy tylko jako studium — ale w takim razie powinna była pozostać w pracowni artysty. W każdym razie szkoda nam pędzla p. Malcze-

wskiego dla takich przedmiotów i chcielibyśmy szczerze, żeby wielki obraz, nad którym pracuje obecnie, a który ma przedstawiać tak wdzięczny temat, jak Krakowskie wesele, wolnym był od tych usterek, jakie trzeba zarzucić Zniwiarce.

Niespodziewani — takim jest tytuł ostatniego obrazu p. Kozakiewicza, który zdaje się być kartką z Polonii Grottgera, tyle w nim prawdziwego uczucia i głębokiego smutku, tyle widok jego porusza w nas strun blizkich serca i bolesnych a niezapomnianych wspomnień. Do chaty wiejskiej, zapewne gdzieś w leśnym ustroju, schroniło się dwóch powstańców, z których jeden leży ranny na posłaniu. Obok nich dwie kobiety — może odwiedzające i niosące im pomoc panie z sąsiedniego dworu, może też blizkie krwią i sercem towarzyszki niedoli. Znać schronienie nie dość bezpieczne i od nieprzyjaciela zbyt blizkie, bo nieszczęśliwi, przygotowujący się do dalszej drogi, czekają tylko aż chory odpocznie i sił nabierze. W chwili, gdy chłopak otwiera drzwi, żeby wynieść spakowany tłumok uciekających, ukazuje się im postać uzbrojonego żołdata. Niespodziewani goście nadeszli a z nimi dla powstańców i ich towarzyszek kajdany, turma, Sybir, kopalnie, może śmierć niewoli na dalekiej północy. Co teraz z nimi będzie? Co ich czeka? Czy zginą pod bagnietami żołnierzy w rozpaczliwej a nierównej walce, czy powolnym konaniem w Nerczyńskich solnikach? Pytanie to zajmuje nas długo po odejściu od obrazu. Artysta stworzył w nim cały dramat, pełen straszliwej grozy i tém tragiczniejszy, że rozwiązanie jego nie jest zakończeniem ale dopiero początkiem, pierwszą stacją długiego męczeństwa. Pomysłowi odpowiada zupełnie układ i wykonanie. Żadnej postaci zbyt technicznej, żadnego niepotrzebnego szczegółu. Cały sprzęt wiejskiej

chaty i wszystkie akcesorya opracowane starannie i umiejętnie. Nawet dzieci bawiące się na ziemi i króliki ogryzające liście kapusty, dodają naturalności i prawdy obrazowi, który jest niezaprzeczenie najpiękniejszą kreacją pana Kozakiewicza.

Sympatycznym, choć z lekka tylko naszkicowanym i niewykończonym jest obrazek p. Pruszkowskiego, przedstawiający wiejską parę, siedzącą na płocie późnym wieczorem w jakimś lasku czy ogrodzie. I ciemne tło otaczającej gęstwiny, i szafirowy koloryt nieba, i obydwie postacie — wszystko bardzo naturalne a wdzięczne i poetyczne. Podobną zaletę przyznać trzeba Odpočzynkowi przed karczmą p. Koniuszki. Młody ten artysta, uczeń szkoły sztuk pięknych w Krakowie, zwrócił na siebie powszechną uwagę jednem z pierwszych swoich płócien Nocą na Kazimierzu, w której tłumy Żydów odprawiających jakby misterya wśród starych domów, ożywionych gdzie niegdzie światełkami, pociągały jakąś tajemniczością, niemniej jak doskonałą charakterystyką. Na terażniejszym obrazku śnieżno i dymno i smutno trochę. Wśród drogi prowadzącej przez wieś zgromadził się ludek wiejski przed karczmą. Widać zajście, ruch, gwar rozmów. Z okien przebija światełko — znac większa część zebranych zaszła do wnętrza karczmy, żeby przy kuflu piwa pogwarzyć o wspólnych biedach i kłopotach. Jakiś podróżny odjeżdża, inni przychodzą z wioski. Cały obrazek żywcem pochwycony z natury.

Pomiędzy kilku krajobrazami bezwarunkowe pierwszeństwo przyznać trzeba p. Maleckiemu. Jego *Plansee* w Tyrolu jest śliczny ze swym bladawym kolorytem i lekką mgłą otaczającą góry i drzewa. Bardzo udatnym jest także obrazek jesienny p. Benedyktowicza. Załujemy, że tego samego nie możemy powtórzyć o obrazku

panny Andrzejkowicz, przedstawiającym dziewczynę w lesie. Po jej Kochanowskim nad zwłokami Urszulki, mającym niezaprzeczoną wartość, mogliśmy oczekiwać czegoś lepszego. Obok pewnego wdzięku i miękkości właściwej kobiecemu pędzlowi — obrazek ma wiele błędów, między którymi razi szczególnie nieznajomość anatomii (w układzie ręki), źle ułożona draperya i chybiony efekt światła na drugim planie. Niewolnym od błędów podobnych jest również i obrazek panny Wojnarowskiej Puszczanie wianków, podczas gdy równocześnie heliominiaturowe tęże samej artystki należą do najpiękniejszych, jakie nam zdarzyło się widzieć. W ładnym obrazku panny Birkowskiej Anioł Stróż widzimy znaczny postęp w figurach, choć pejzaż zostawia jeszcze wiele do życzenia. Z dwóch obrazów p. Mireckiego jeden Zasadzka niewinna jest manierowany i nienaturalny, choć zczegóły są wcale dobrze wykończone; w drugim, przedstawiającym dziedziniec starego domu, więcej prawdy i mimo kilku usterek, wrażenie, jakie obraz sprawia, jest dość korzystne. W dyspucie politycznej pana Szwojnickiego kryje się trafna aluzja polityczna. Dwóch elegantów z XVIII wieku słuca z pewną lekceważącą wyższością kontuszowca, stojącego przy rozpostartej karcie Europy i wskazującego palcem nie wielki obszar ziemi, oznaczony jednym kolorem nad Bałtykiem. Nie lubimy polityki w sztuce — trzeba jednak zrobić wyjątek dla dysputy politycznej, nieprzekraczającej miary, a odznaczającej się starannem i umiejętnem wykonaniem. Niewyczerpany temat pana Tadeusza natchnął dwa ładne obrazki: jeden p. Bieszczada przedstawia Gerwazego i Protazego z wyglądającym z tyłu przez okno Wojskim; w drugim p. Łosik odtworzył Telimenę w świątyni dumania pędzlem miękkim, delikatnym,

trochę wypieszczonym na wzór podobnych francuskich obrazków — tym razem jednak odpowiada to zupełnie przedstawionej przez artystę Cioci z Peterburka. Dziś już śp. Gryglewski dał dwie jak zawsze dobre perspektywy: Wnętrze zakrystyi i chór w Krośnie; p. Koszak — pełen artystycznego wykończenia obrazek Pod Smoleńskiem; p. Ajdukiewicz, najlepszy dziś po Rodakowskim portrecista — wyborny portret pana K.; profesor Łuszczkiewicz wreszcie — wielki obraz historyczny, przedstawiający przymusowe zaręczyny księżniczki Halszki z Ostroga.

Dział rzeźby niezbyt licznie reprezentowany jest na tegorocznój wystawie. Do najlepszych figur należy ogromny Samson p. Błotnickiego, dowodzący gruntownych studyów anatomicznych, imponujący siłą dłuta, energią rysów i majestatycznością całej postawy. Dwa biusty Krakowiaków p. Trepki mają wiele idealnego wdzięku i okazują w młodym rzeźbiarzu talent prawdziwy a bardzo dobrze skierowany P. Kurzawa, którego dawniejsza rzeźba Spętany geniusz uderzała pięknnością rysów twarzy, śmiałością i precyzją wykonania — wystawił obecnie kompozycją Wisła i Wawel. W postaci młodej i pięknej dziewczyny Wisła budzi ze snu starca w zbroi, jakby ostrzegając go przed grożącym niebezpieczeństwem. Alegorya zawarta w pięknym pomysle artysty, budzi w patrzącym wiele myśli przeróżnych i wiele sprzecznych uczuć. Między innymi wesołemi pociesza ta jedna myśl, że przynajmniej pod względem sztuki Wiśle naszój polskiej udało się obudzić z uśpienia Wawel i otaczające go miasto. Jednym z symptomatów tego obudzenia jest coraz liczniej grupujące się około swoich mistrzów i przewodników grono młodych artystów, którzy okazują nie tylko rzetelny talent, ale i rzeczy-

wiecie wyższe dążenia. Rozwijająca się coraz bardziej szkoła sztuk pięknych, której zawdzięczamy już spory zastęp artystów, podniesie się teraz bardziej jeszcze, dzięki katedrze historii sztuki, którą objął zasłużony profesor uniwersytetu dr. Łepkowski. Znajdująca się przy szkole pod osobistym kierunkiem dyrektora Matejki t. z. Meisterschule, liczy kilku młodych artystów, dających wielkie nadzieje i zajmujących na wystawie wybitne miejsce. Jednego z najzdolniejszych śmierć nam zabrała w tych dniach. Był to ten sam Maurycy Gottlieb, którego mowę wypowiedzianą złą polszczyzną, ale gorącym sercem na uczcie wydanęj w Rzymie dla Matejki, powtórzyły niedawno dzienniki ze słowami uznania dla młodego malarza. Pędzel jego lubił przestawać w świecie współwyznawców — dowodem jego Uriel Acosta, Jankiel cymbalista i Shylock; nie przeszkadzało mu to jednak kochać polską sówję Ojczyznę i jednać sobie serca swoich chrześcijańskich kolegów i znajomych, którzy też, z Matejką i innemi znakomitościami świata artystycznego i naukowego na czele, odprowadzili jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku.

Po za obrębem wystawy ruch artystyczny nie przestaje rozwijać się i wzrastać. Słychać ciągle o nowych pracach; — wspominaliśmy już o przygotowujących się obrazach pp. Jabłońskiego i Malczewskiego; dodajemy teraz jeszcze, że, o ile wiemy, p. Benedyktowicz przygotowuje Zbieranie fiołków, p. Lipiński Konika Zwierzynieckiego i kilka mniejszych płócien z dziejów i życia Krakowa, p. Pruszkowski, który świeżo do Monachium wysłał swego Madeja, ma dać wkrótce na wystawę Anhellego. Młody artysta z „Meisterschule“, p. Rosowski, pracuje nad dwoma obrazami, z których jeden ma przedstawiać Porwanie na kibi-

tkę, drugi Grzesznicę pod pręgierzem. Do nowin artystycznych należy wspaniałe wydawnictwo Muzeum techniczno-przemysłowego Kaplica Zygmuntońska. Od czasu Wzorów sztuki średniowiecznej Przeździeckiego pierwszy to raz spotykamy się z dziełem tak niepospolitąj wartości artystycznej. Dyrektor Muzeum dr. Baraniecki dał w nim dowód, że jest nie tylko mężem nauki i wytrwałym a pracowitym zbieraczem, który własnymi siłami i staraniem stworzył tujsze Muzeum, ale że obok tego posiada wysokie ukształcenie i zmysł estetyczny, skoro mu go starczyło na doprowadzenie do skutku tak trudnego a tak pięknego zarazem wydawnictwa. Składające je ogromne fotografie w liczbie dwudziestu zdejmowane były z odlewów gipsowych, umyślnie dla tego robionych, nie też dziwnego, że są czémś w swym rodzaju tak doskonałym i wykończonym, że żadne podobne wydawnictwo za granicą nie da się z tém porównać. Dr. Baraniecki zasłużył sobie tém wydawnictwem na tém większe uznanie, że, jak łatwo przewidzieć, wielki nakład ani w drobnój części nawet mu się nie wróci.

Z nadejściem letowych upałów Kraków staje się coraz bardziej pustym i cichym. Nawet czynna zwykle Akademia przestaje funkcjonować i tylko jak z Arki Noego rozlatują się z niej w różne strony kraju wysłańcy rozmaitych komisji, którzy swemi poszukiwaniami przygotowują materiał do późniejszych wydawnictw akademickich w różnych gałęziach wiedzy. Professor Alth robi w Galicyi poszukiwania geologiczne, prof. Łuszczkiewicz, którego staraniem Akademia wydała niedawno przepyszną monografią opactwa Sulejowskiego, wyjechał do Kongresówki dla szukania zabytków stylu romańskiego; pan Kirkor wraz z p. Kopernickim rozkopują mogiły przedchrześcijańskie w Galicyi wschodniej; p. God-

fryd Ossowski wreszcie, dobrze znany w świecie naukowym z wielkiego mnóstwa odkopanych w Wielkopolsce zabytków, zwłaszcza urn twarżowych, robi w okolicach Krakowa poszukiwania po jaskiniach, które, jak dotąd, dały bardzo ciekawe i cenne rezultaty. Zwłaszcza z epoki kamienia udało się znaleźć p. Ossowskiemu w okolicach Bolechowic bardzo wiele przedmiotów i znaczną ilość kości, między którymi podobno znajdują się szczątki mamuta.

Na miejsce odjeżdżających mieszkańców przybywają co prawda do Krakowa dość często i liczni goście z różnych okolic i różnych warstw społecznych. Podczas karnawału mieliśmy tu prawdziwą wystawę piękności z Wielkopolski, Kongresówki i Rusi; następnie z wiosną miasto nasze napełnili pobożni pielgrzymi ze wszystkich zakątków kraju, przybyli na obchód 800nej rocznicy męczeństwa św. Stanisława; latem wreszcie na zieleniejących plantacjach obok zwykłej publiczności, złożonej z dzieci i starszych emerytów, pojawiły się tłumy przejezdnych dążących przez Kraków do wód i za granicę. Ożywia to na chwilę miasto, ale ten ruch gorączkowy nie zastępuje zwykłego życia, które jest prawie wstrzymane w czasie lata. Weszło zresztą we zwyczaj (dzięki kolejom żelaznym zapewne) bawić w Krakowie tylko bardzo krótko i ograniczać się na zwiedzenie Wawelu, Uniwersytetu, kościoła Panny Maryi i dwóch trzech innych pomników wewnątrz miasta. Z wycieczek zamiejskich, które dawniej były głównym niemal punktem w programie każdego podróżnego, została tylko podróż do Wieliczki i kopca Kościuszki, a czasem na Bielany. Tak samą i mieszkańcy Krakowa zapominają coraz bardziej o cudownie pięknych okolicach swego miasta i oprócz kilku odpustów w Mogile, Tyńcu i Bielanych jedne tylko Krzeszowice zachowały u nich dawną swą

tradycją i oprócz niedzielnych wycieczek ściągają licznych gości na całe lato, między którymi znadują się zawsze prezes Akademii dr. Majer, prof. Dunajewski, dr. Estreicher i inni. A jednak odkąd Franciszek Wężyk swym poematem o okolicach Krakowa wraz z Ambrożym Grabowskim, Zyglińskim, Wasilewskim i Brodzińskim podnieśli ubrane legendami piękności Ojcowa, Pieskowej Skały, Grodziska, Zabierzowa, Lipcowa-Prądnika, Czerny, Mnikowa — wycieczki w okolice Krakowa powinny być stać się koniecznością, obowiązkiem. Obowiązek ten jednak, jak wiele innych, pozostaje niespełnionym; Krakowianin, zmuszony zostać w mieście, woli w niedzielę się dusić pyłem i gorącem w Rynku i małym Strzeleckim ogrodzie, albo też z narażeniem na grzywny i utratę swobody próbuje przedrzeć się do zamkniętego zwykle dla publiczności i strzeżonego z drakońską surowością ogrodu Botanicznego; podróżny zaś, przeglądając z pospiechem pamiątki i dzieła sztuki, jakimi ręka ludzka ozdobiła dawną stolicę Polski, nie pyta nawet i nie wie, że tuż obok Bóg zostawił najpiękniejsze może dzieła swój twórczej potęgi, jakie oprócz Tatrów kraj nasz ozdabiają.

III.

Kraków, 31 października.

Nazajutrz po jubileuszu. Skutki zjazdu krakowskiego. Teatr polski w Poznaniu. Pomnik Mickiewicza. Odnowienie Sukiennic. Krytyki i krytycy. Zarzut pomieszania stylów. Harmonia szczegółów z całością w architekturze klasycznej i naśladowanie jej w budownictwie nowoczesnym. Różnorodność motywów w architekturze średniowiecznej. Powolne powstawanie katedr ostrołukowych. Kościoły i kaplice na Wawelu. Tradycja przeszłości w odnowionych Sukiennicach i otaczających je gmachach. Muzeum narodowych artystów w Sukiennicach. Powszechność sztuki i wiedzy. Arcydzieła epoki klasycznej i czasów odrodzenia. Ogólno-ludzki ideał. Narodowy pierwiastek w formie zewnętrznej. Artystyczne przewodnictwo pojedynczych narodów. Grecja w starożytności. Włochy w XV wieku. Apostolstwo sztuki. Galerye włoskie. Stanowisko sztuki polskiej w naszych czasach. Niebezpieczeństwo zasklepienia się i ograniczenia artystycznej produkcji do wewnętrznych potrzeb. Dyskusye i spory o galerią w Sukiennicach. Galerya artystów polskich, czy też w Polsce się znajdujących? Prywatne polskie obrazów w Polsce. Galerya historyczna malarzy polskich. Pesymiści „Pochodnie“ w Akademii Umiejętności lub w Tow. P. S. P. „Pochodnie“ w Sukiennicach w otoczeniu wyboru dzieł sztuki, z całej Polski zebranych. Złączenie obydwóch projektów w jeden. Kraków stolicą artystyczną Polski. Obowiązki ogółu. Komitet nadzorczy. Uchwała artystów w sprawie wystawy peryodycznej w Krakowie i Lwowie. Poznań, jako trzeci punkt wystawy. Potrzeba obudzenia życia artystycznego w Wielkopolsce. Projekt narodowego muzeum na Wawelu. Zdanie o tem Czasu. Zachowanie właściwego charakteru historycznych pamiątek. Polemika o burzenie ruin Tynieckich.

„Le mauvais côté des grands jours est qu'ils ont un lendemain“ powiedział ktoś. I rzeczywiście chwile takie wznoszące się po nad powszedni poziom, chwile gorączkowego życia,

podnieconych wrażeń i gwałtownych uczuć mają zwykle jutro szare i mgliste. Ow rozdźwięk między światem urojonym, idealnym a rzeczywistością, między podniesionem na cwał do egzaltacyi uczuciem a chłodnem wprowadzeniem jego w życie zbyt jest rażący i silny, żeby na-
zajutrz po takich chwilach jasnych i pięknych nie wywołać nieraz ciężkiego, przygniatającego uczucia. Myśl wzbijająca się w górę dla tego, żeby tam się odżywić, wykąpać w źródłach żywej wody, nabrać nowych sił i ochoty do walki, wróciwszy do zwykłej kolei, znajduje często czekający na nią żal, niesmak, przesyty, znużenie, tysiące nut fałszywych, spieszy zagłuszyć i rozstroić poważną harmonią, nadającą taki urok tej wyjątkowej chwili i wrażenie jej gubi się w hałaśliwym odměcie codziennego życia.

Obchód jubileuszu Kraszewskiego może służyć za dowód, że jak każda inna reguła tak i ta, o której wspomnieliśmy, miewa wyjątki. Uroczystość, która rozmiarami i wspaniałością przeszła najsmielsze oczekiwania i przemieniła się w wielkie święto narodowe, zostawia po sobie bogaty plon pięknych myśli i czynów. Uczestnicy tej wielkiej biesiady duchowej, w której nasz naród, czcząc półwiekową zasługę jednego ze swoich synów, dał zarazem sobie samemu potężne świadectwo żywotności i siły, złożyli dowód, że słowa ich nie były czczym frazesem a cały obchód bezużyteczną manifestacją. W kilku naraz kierunkach powzięto inicjatywę przedsięwzięć pożytecznych i wielkie znaczenie mogących mieć dla kraju; podniesiono kilka myśli zacnych i wprowadzono je od razu w życie, nie szcędząc ofiar, wyrównywujących swym ogromem wielkości ducha i artystycznego geniuszu tych, którzy je składali. A co może najbardziej, ze wszystkiego pocieszające, po przejściu tych chwil patryotycznego uniesienia zamiast zwykłego

u nas stygnięcia i zubożenia, widzimy dalej prowadzone z energią i wytrwaniem dzieło zaczęte wśród uroczystości jubileuszowych i ziarno, zasiane tak niedawno, wydaje już owoce.

Składki na teatr polski w Poznaniu są jednym z rezultatów nie najdonioślejszych może, ale niewątpliwie najbardziej pożytecznych. Na tych kresach, na których stykają się dwie przeciwne i walczące z sobą cywilizacje, teatr powraca do wysokiego znaczenia, jakie miał w starożytności i zamiast być jak gdzieindziej zwykłym miejscem przepędzania czasu lub rozsańnikiem zepsucia, staje się jedną z najpotężniejszych dźwigni umysłowej kultury i szkołą nie tylko estetyczną, jaką być powinien, ale i narodową także. To téż utrzymanie poznańskiego teatru jest sprawą obchodzącą wszystkie dzielnice Polski i nie dziw, że ze wszystkich, a przynajmniej z tych, którym to uczynić wolno, pośpieszono poprzeć czynnie gorący i serdeczny wniosek posła Męcińskiego. Obok polskiego teatru w Poznaniu, sprawa pomnika dla Mickiewicza. Od lat kilku już sprawą tą zajmowała się młodzież akademicka krakowska, składając dochody z urządzanych w tym celu corocznie wieczorków na fundusz, z którego miał z czasem powstać pomnik naszego wieszca. Cokolwiek bądź możnaby zarzucić przeciw inicjatywie najmłodszej i najmniej doświadczonej części naszego społeczeństwa w sprawie tak doniosłej i należącej z samej natury rzeczy do umysłowej i społecznej starszyny, należy przyznać młodzieży krakowskiej, że z raz podjętego zadania wywiązywała się sumiennie i wytrwale, na nieść szczęście jednak w skutek małego poparcia ogółu i ciasnego zakresu działania rezultat kilkoletnich usiłowań był bardzo ograniczonym i suma zebrana przed jubileuszem nie przechodziła 3000 złr. Dopiero obchód jubileuszowy zmienił po-

stać rzeczy i zbliżyć sprawę pomnika do urzędywistnienia. Kraszewski, w którego ręce młodzież myśl swoją złożyła zajął się nią ze zwykłym swym młodzieńczym zapałem do wszystkiego co szlachetnie i piękne. Urządzony z jego poparciem bal i składki przyniosły tak znaczny fundusz 10,000 zł., że niedługo już można będzie wprowadzić w życie plan, który niedawno jeszcze zdawał się tak dalekim od wykonania. W rynku, tak pięknie i wspaniale wyglądającym po odnowieniu Sukiennic, zburzeniu odwachu i uprzątnięciu będących dawniej do koła parkanów, straganów i śmieci, stanie od strony ulicy Szewskiej wielki brązowy pomnik Mickiewicza, a równocześnie zapewne, jeśli okoliczności pozwolą, może i ciało jego przeniesione z obcej ziemi spocznie w narodowym panteonie na Skałce. Z czasem na trzech innych rogach Rynku mają podobno stanąć posągi najzasłużeńszych i najślawniejszych naszych mistrzów, tworząc w ten sposób godne i wspaniałością odpowiednie tło do wznoszących się w środku Sukiennic.

O tych tyle w ostatnich dwóch latach pisało i mówiono — tak wielu było krytyków i krytyk — że dziś ocena bezstronna i różniąca się od większości innych sądów — jest może spóźnioną, a z pewnością trudną. Przyjęte zostało przez wszystkich mówić o zrestaurowanym gmachu z politowaniem i lekceważącą wyższością. — I rzeczywiście restauracya nie jest bez zarzutu, tylko że istniejące w odbudowanych Sukiennicach błędy są całkiem inne niż te, które w nich dostrzegają. A przedewszystkiem ów najgłówniejszy a powszechny zarzut pomieszania stylów jest może najmniej ze wszystkich uzasadniony. W naszej epoce telegrafów i żelaznych kolei, domów i miast całych, wznoszących się nagle jakby na skinienie laski czarnoksiężki, nie jesteśmy w stanie zrozumieć gmachów i pomników, zоста-

wionych nam przez wieki ubiegłe, ani też odnaleźć pierwiastków, potrzebnych do odtworzenia ich na nowo w pierwotnej postaci. Nasza współczesna architektura, będąca karykaturą motywów greckich, przeniesionych przymocą pod ziemne niebo północy, przyzwyczaiła nasze oko do konwencjonalnej, monotonnej harmonii części składowych architektonicznej całości, harmonii, nie mającej nic wspólnego z tą, która nadawała tyle uroku i artystycznej doskonałości dziełom sztuki klasycznej. Nie umiemy zrozumieć tej bogatej różnorodności, tej pozornej dysharmonii, jaka odznacza sztukę średniowieczną. Gniewa nas, jeśli spotykamy obok siebie ślady różnych epok — niegodzące się ze sobą style, a zapominamy, że na budowę gmachów średniowiecznych składały się wieki całe, że każde pokolenie, dorzucając do nich swą cegiełkę, wyciskało z nią razem swe odrębne, charakterystyczne piętno. Ztąd w starych katedrach ostrołukowych widzimy zwykle otaczający je wianek kaplic, powstałych w różnych czasach i mających odpowiednią tym czasom architekturę. Ztąd w samym urządzeniu wewnętrznym tych kościołów, niemniej jak i w ich zewnętrznej ornamentacyi, spotykamy tyle szczegółów i ozdób odmiennych stylem od całości przybyłych stopniowo w ciągu wieków. Tak n. p. w katedrze na Wawelu wielka wieża jest dziełem XVIII w., ołtarz wielki pochodzi z czasów późniejszego odrodzenia, a w kaplicach widzimy reprezentowane wszystkie możliwe style i kierunki artystyczne, zaczawszy od wschodnich motywów XII w. w kaplicy Sto-Krzyżkiej, a kończąc na baroco i rococo.

Odnawiać budynek będący pozostałością nie jednego ale kilku pokoleń i wieków wedle jednej tylko normy, trzymając się niewolniczo stylu panującego w pewnej danej chwili i odrzucając wszystko co zakres ten przechodzi — równałoby

się powtarzaniu restauracji z czasów późnego odrodzenia, które zeszpeciły i zniszczyły tyle średniowiecznych pomników. Ztąd też nie możemy brać za złe p. Prylińskiemu tego, że odnawiając Sukiennice, starał się je zachować w pierwotnej postaci — zgodzilibyśmy się chętnie na zmianę lub usunięcie kilku szczegółów, zbyt wybitnie psujących ogólną harmonią budynku, wolelibyśmy aby w opracowaniu pojedynczych części trzymano się bardziej jednego artystycznego kierunku — ale całości przyznać musimy, że jest i pod względem historycznym zachowaną z niezmierną sumiennością i pod względem artystycznym niepospolitą rozmaitością szczegółów, bogactwem ornamentacyi i średniowiecznym swym kolorytem sprawia ona wrażenie głębokie i bardzo miłe. — Widzowi zdaje się w pierwszej chwili, że jest przeniesiony w dawno minione czasy — i najświetniejsze chwile naszej przeszłości stają mu żywo przed oczyma, zwłaszcza gdy spojrzawszy w koło siebie, zobaczy z jednej strony wieże Maryackiego kościoła, z drugiej mury Jagiellońskiego Collegium przy ulicy św. Anny, w głębi zaś pomiędzy dachami domów przy Wiślniej ulicy — grecki krzyż unickiego kościoła — jakby symbole nauki i wiary osłaniające skrzydłami swemi dawną stolicę. A cóż dopiero będzie, jeżeli najpiękniejsza choć zarazem najtrudniejsza do wykonania ze wszystkich, jakie podniesiono w czasie jubileuszu, jeżeli myśl narodowej galeryi sztuk pięknych w Sukiennicach przyjdzie do skutku? W takim razie w jednym tym gmachu złączyłoby się i zespoliło to wszystko, co mamy i mieć możemy najdroższego: tradycya świetnej przeszłości z nadzieją lepszej przyszłości. Sukiennice odtworzone w dawnym swym blasku — to jedna z kart przeszłości naszego narodu; Sukiennice, stające się wielkiem muzeum narodowego talentu i sławy — to najwymowniejsze

świadczenie duchowej jedności i nieosłabionego życia mimo rozdziału i upadku, najlepszy dowód istnienia naszego dziś i prawa obywatelstwa w przyszłości.

Czy jednak plan ten tak piękny, że jego wykonanie byłoby niewątpliwie jedną z wielkich zdobyczy duchowych naszego narodu — jest możliwy? Czy wprowadzenie jego w życie nie natrafi na niezwalczone przeszkody lub nie odstąpi od pierwotnej myśli założycieli? Zdecydować trudno. Sam ów charakter odrębny, wybitnie narodowy i po za zwykły zakres sztuki sięgający charakter, nadający projektowi narodowego muzeum czy galerii całe jego niepospolite znaczenie, może się stać zarazem jedną z najważniejszych przeszkód. Robić galerią czysto narodową, nawet przy istnieniu odrębnej a wybitnej szkole narodowej sztuki, oraz przy znacznej liczbie wytworzonych przez nią arcydzieł — nie jest wcale łatwo. Zarówno jak świat wiedzy tak i świat sztuki jest kosmopolityczny; jak pierwszego miarą jest mądrość, tak jego miarą piękno i do tej miary jedyną i jednakią winny się naginać wszystkie wieki i wszystkie społeczeństwa. Jeżeli o Wenerze Milońskiej albo o Apollinie Belwederskim mówimy, że są dziełami sztuki greckiej, a o sędzie ostatecznym lub Wieczerzy Pańskiej, że są owocem włoskiego odrodzenia — nie znaczy to wcale, żebyśmy mieli prawo robienia ich własnością pojedynczego narodu. Należą one do całej ludzkości, dla której też były tworzone. Grecką lub włoską może w nich być forma zewnętrzna, odzież, typ nawet — ale ogólnoludzkim jest ideał, ogólnoludzką jest uplastyczniająca go w dotykalnych kształtach potęga artystycznego geniuszu. Prawda, są chwile w dziejach świata, gdy cała suma rozwoju i twórczości w pewnych gałęziach wiedzy czy sztuki koncentruje się w jednym narodzie i od niego

dopiero przechodzi na inne. Świat sztuki klasycznej — to Grecya; odrodzenie w wieku XV — to Włochy; t \acute{e} m niemniej sztuka klasyczna istniała nie dla samej tylko Grecyi, a odrodzenie XV w. nie dla jednych tylko Włoch wydało swoich mistrzów i arcydzieła. Widzimy przecie \acute{z} Grecy \acute{a} w upadku i niewoli politycznej, zdobywaj \acute{a} c \acute{a} sobie artystyczne panowanie nad Rzymem a z nim nad ludzkością; niewolnicy greccy i wykształceni przez nich uczniowie roznoszą greck \acute{a} kulturę artystyczn \acute{a} wsz \acute{e} dzie, gdziekolwiek mógł or \acute{e} z rzymski dosięgn \acute{a} c. Gdy w kilkanaście wieków p $\acute{o$ źniej Włochy, politycznie rozdzielone i bezsilne, staj \acute{a} się ojczyzn \acute{a} nowego zwrotu w sztuce wracaj \acute{a} c \acute{e} j do dawnych swoich ideałów — zwrot ten pierwotnie w jednym punkcie skoncentrowany, daje się światu całemu uczu \acute{c} ; p $\acute{o$ łwysep Apeniński zmienia się w wielk \acute{a} szkołę sztuk pięknych, do któr \acute{e} j na naukę idzie cała Europa lub przynajmniej sprowadza z ni \acute{e} j sobie mistrzów i wzory. W t \acute{e} m apostołstwie leży całe zadanie sztuki i zarazem niezbędn \acute{y} warunek j \acute{e} j istnienia i rozwoju. Wyszedłszy z jednego społeczeństwa, ka \acute{z} dy j \acute{e} j kierunek rozszerza się, wzmacnia siłę żywotn \acute{a} i artystycznymi zdolnościami społeczeństw innych, jak rzeka przybieraj \acute{a} ca do swego koryta wciąż nowe strumienie. Zt \acute{a} d pierwiastek narodowy, w początkach zazwyczaj dość wybitny, powoli zacier \acute{a} się, słabnie i w końcu albo znika zupełnie, albo t \acute{e} ż staje się tylko szyldem zewnętrznym. Zt \acute{a} d t \acute{e} ż tak $\acute{z$ e galerye, nawet takie, które jak włoskie degli Uffizii, Pittich, Doria, Corsini, Sciarra i inne — zawieraj \acute{a} w sobie prawie wył \acute{a} cznie tylko włoskich artystów dzieła — nie mog \acute{a} być przecie nazwane narodowymi włoskimi galeryami, — bo cho \acute{c} w czasach odrodzenia wszystko co piękne by \acute{l} o włoskie, niebawem jednak to, co włoskie, stało się europejski \acute{e} m, stało się własnośc \acute{i} duchow \acute{a} całego cywilizowanego świata.

Sztuka polska przy wszystkich tak świetnych swoich owocach, zbyt jest jeszcze słabą, zbyt młodą i w zbyt niekorzystnych warunkach postawioną, żeby mogła mieć prawo a nawet nadzieję do zajęcia w dzisiejszych czasach takiego stanowiska i wywierania tak ogólnego wpływu, jak przed trzema wiekami Włochy. Jak naród, którego jest wyrazem duchowym, musi ona powolną i wytrwałą walką zdobywać sobie poczesne miejsce na szerszej widowni artystycznego świata, musi nieustannie światu temu się przypominać i praw służących sobie nieraz przebojem się domagać. Zasklepienie się wszelkie, skoncentrowanie artystycznej produkcji wewnątrz narodu, wyrzeczenie się niezbędnej choć może dla niejednego z artystów przykrój misji reprezentowania naszej sztuki nie tylko po zagranicznych czasowych wystawach, ale też po obcych galeriach i stałych artystycznych muzeach — byłoby nietylko niekorzystnym pod względem materialnym dla artystów, ale też bardzo niebezpiecznym i szkodliwym dla naszej sztuki. Wspomnienie o tém w chwili, gdy przychodzi do skutku tak doniosłe przedsięwzięcie, jak galeria artystów narodowych, godzi się tém bardziej, że urządzenie przyszłej tej galerii jest jeszcze dotąd przedmiotem najróżnorodniejszych dyskusyi, z których coś stanowczego chyba w przyszłości wyjdzie.

Z pomiędzy sprzecznych zdań, jakie się w tym przedmiocie krzyżują, dwa projekta występują na pierwszy plan najwybitniej — jednym jest zebranie w jedną całość wszystkich znakomych dzieł pędzla i dłuta, jakie się na ziemi polskiej znajdują, drugim, zbiór wyłącznie polskich i polskie temata traktujących artystów. W pierwszym razie zadanie byłoby o tyle ułatwione, że w różnych dzielnicach naszego kraju posiadamy dość liczne i piękne galerie prywa-

tne, żeby tylko wspomnieć o zbiorze książąt Czartoryskich, hr. Potockich (Wilanów, Łańcut i Barany), książąt Lubomirskich (Przeworsk, Usaków), książąt Sanguszków (Gumniska, Kraków i Podhorce), Tyszkiewiczów (Postawy, Wilno). Platera (Wiśniowiec, niestety podobno w części rozproszony po ostatniej licytacji), Zawiszów, Dzieduszyckich (Lwów), Lanckorońskich (Wiedeń) itd. itd. — Nie wymagając od właścicieli żadnych ofiar i poświęceń nad możność, łatwo przysłoby zapewne skłonić ich do udzielania kolejno na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu pewnej części najpiękniejszych płócien na ogólny pożytek i w ten sposób z dołączeniem tego, co celniejsze u nas, możnaby mieć nieustającą wystawę, ciągle się zmieniającą, piękną, stojącą na wysokościach sztuki i równy interes przedstawiającą dla obcych, jak dla nas.

Trudniejszym do wykonania, choć niewątpliwie bardziej odpowiadającym założeniu, byłby drugi środek. Robić galeryą polską, narodową, znaczyłoby zacząć od Lekszyckich, Czechowiczów, Sągiewiczów, Stachowiczów, dodając do nich może takich Baciarellich i Norblinów, którzy choć nie Polacy, w Polsce i dla Polski pracowali, a skończyć na Matejce, Siemiradzkim, Grottgerze, Rodakowskim, Brandcie, Kossaku, Gryglewskim. Zestawiając obok siebie pomniki sztuki polskiej w przeszłości, przedstawić zarazem jej terażniejszość, oczywiście w najświetniejszych, największym talentem nacechowanych objawach. Jakkolwiek ostatnią tę myśl niewątpliwie mieli wszyscy artyści, którzy za przykładem Siemiradzkiego ofiarowali swoje obrazy do Sukiennic na pożytek kraju, jakkolwiek znaczna część ogółu inteligencji myśl tę z nimi podziela, z wielu stron jednak dają się słyszeć poważne zarzuty. Naprzód idzie najważniejsza kwestya pieniężna. Bez funduszków i to znacznych, niepodobna tworzyć galeryi, która dla

samego nazwiska narodowej powinna składać się z najlepszych dzieł polskiej sztuki i zarówno ilością jak wartością płócien i rzeźb dorównywać, a przynajmniej zbliżać się do podobnych galerii za granicą. Chwilowy zapał, który od razu stworzył poważny związek galerii niezwyklej miary arcydziełem i kilkunastu obrazami najlepszych naszych artystów, nie może trwać zawsze, a gdyby nawet i tak się stało, gdyby każdy polski artysta teraz i później miał się zobowiązać do podarowania krajowej galerii jednego ze swych obrazów, to zawsze mielibyśmy tylko wystawę pojedynczych artystycznych okazów, z których rzadko możnaby było wyrobić sobie jasne wyobrażenie o talencie ich twórcy i o jego stanowisku w naszej sztuce. Nie mówiąc już o tém, że zredukowana do takich rozmiarów i zmuszona się utrzymywać tylko z jałmużny artystów galeria stałaby się czémś bardzo nieznaczném co do ilości zawartych w niej dzieł, ale téż zarazem ich wartość mogłaby się stać bardzo problematyczną. Obraz Siemiradzkiego byłby magnesem, przyciągającym niezliczoną ilość miernot, niemogących w inny sposób dać się poznać światu, jak w bliskości aureoli otaczającej dzieło mistrza i chyba ustanowienie takiego, jak na zwykłych wystawach sądu znawców, mających o przyjęciu lub odrzuceniu artystycznych darów orzekać, mogłoby ochronić P o c h o d n i e od sąsiedzowania z nieudanymi próbkami artystycznymi, narażając jednak powstającą galerią na niechęć w tych właśnie kołach, których poparcie byłoby najpotrzebniejszém....

W obec tych trudności niektórzy pesymiści posuwają się aż do odradzania w ogóle całego przedsięwzięcia, proponując natomiast, żeby podobnie jak miasto Lwów ofiarowało galerią Kunkla Zakładowi Ossolińskich, tak żeby Kraków oddał skarb, który nań spadł, ezy jure

depositario, czy sub auspicio, czy fidei-comissem Akademii Umiejętności lub Towarzystwu przyjaciół sztuk pięknych. W pierwszej wśród galeryi Miączyńskich i zbiorów K. Hoffmana oraz Siemianowskich królowałyby Pochodnie jak klejnot w koronie; w drugiem znalazłyby się obok galeryi Dąbskich, obrazów zakupowanych przez Towarzystwo z funduszu pomnikowego (Wanda Piotrowskiego, Litwania Grottgera itd.) i w obec nieustającej wystawy dzieł nowych, w obec rodzących się przyszłych znakomitości. Sympatyczniejszym a bardzo praktycznym jest inny, wręcz przeciwny projekt, znajdujący u wielu poparcie, a zasadzający się na tém, żeby z galeryi, będących do dyspozycji (jak z Dąbskich, Miączyńskich, Siemianowskich, Hoffmana itd.) zrobić wybór i połączywszy go z darami artystów i tém, co jeszcze może przybyć, zgrupować to wszystko około Siemiradzkiego w Sukiennicach. Inni idą jeszcze dalej i oprócz galeryi znajdujących się pod rozporządzeniem Towarzystwa sztuk pięknych i Akademii Umiejętności w Krakowie, chcą do Sukiennic pozyskać wybitniejsze obrazy z innych zbiorów, z Kunklowskiego w zakładzie Ossolińskich, z tego, co Rastawiecki i Mielżyński nagromadzili w muzeum poznańskim; przypominają galeryę Raczyńskich, zbiór hr. Augusta Cieszkowskiego i owe liczne galerye artystyczne, znajdujące się w naszym kraju, z których dziesięcina mogłaby stworzyć godne tło do Pochodni. Centralizując w ten sposób w Krakowie wybór dzieł sztuki, jakie kraj nasz posiada, chcą utworzenia z czasem wielkiej galeryi, coby jak drezdeńska miała najznacniejszą część (3000) średnich utworów, przedstawiających historyczny rozwój malarstwa, 50—60 znakomitych, zaś 5—10 arcydzieł. — całość zaś oddać pod opiekę Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, któreby obok tych stałych

zbiorów przesuwano swoje nieustające wystawy obrazów nowoczesnych. Podobnie zatem jak Paryż dla Francji, Berlin dla Prus, a Drezno dla środkowej Europy, Kraków ze swą galerią narodową stałby się stolicą artystyczną Polski, tak jak nią był dawniej bez uszczerbku dla ruchu artystycznego i dzieł sztuki w innych jej dzielnicach.

Wskazaliśmy już wyżej na niebezpieczeństwo urządzenia wyłącznie narodowej galerji, niebezpieczeństwo skryzalizowania w statu quo, oddzielenia od reszty świata i zrobienia dla niej sztuki naszej obojętną i nieznaną. Może najlepszym sposobem uniknięcia tego niebezpieczeństwa i nadania galerji bardziej kosmopolitycznej cechy, nie odbierając zarazem jej zasadniczego polskiego charakteru — byłoby zlanie w jedno dwóch przeciwnych projektów, dodając do wystawy polskich artystów stałą lub czasową wystawę obcych mistrzów, znajdujących się na polskiej ziemi. Rozmiar zadania powiększyłby się w ten sposób o wiele, ale zarazem uniknęłyby się niekorzystnych skutków, idących nieodzwornie za połowicznem rozwiązaniem téj kwestji w jednym czy drugim kierunku. Należałoby w takim razie wezwać cały naród do pomocy, do udziału przesyłaniem arcydzieł w Polsce będących na czasową wystawę, do gorącego współczucia, do podatku na zakupna, do zwiedzania wreszcie, aby się tak nie działo, jak było w roku zeszłym, gdy książę Władysław Czartoryski wystawił w Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie Fra Angelica, Leonarda da Vinci, Watteau, Netscherów, Carraccich etc., a nikt nie chodził oglądać tych arcydzieł. Nawet Czas dopiero wtedy uznał za stósowne doniesić o ich pojawieniu się, gdy się wystawa skończyła. Ta obojętność ogółu na rzeczy najwięcej zasługujące na uwagę i często z niezmier-

ną trudnością zgromadzone dla ogólnego pożytku, obojętność, która niestety tak smutnie daje się dostrzegać w stosunku publiczności krakowskiej do tutejszych muzeów i zbiorów, które odwiedzają wyłącznie prawie przyjezdni, mogłaby także odebrać racją bytu i podkopać istnienie galerii narodowych artystów. Rzeczy takie powstają prawda czasem ofiarnością i olbrzymią pracą jednostek, ale stać mogą jedynie współczuciem i nie tylko materalnym, ale zwłaszcza moralnym poparciem ogółu. To darmo — Siemiradzki nie może za nas kochać sztuki, interesować się jej rozwojem, pomagać jej postępowi. On zrobił swoje — i królewskim swym darem wielkiemu dziełu dał początek; za nim to samo zrobili inni nasi artyści — reszta do nas samych należy. Daninę ognia, serca, wszyscy do tego Znicza, do tego ogniska sztuki dać powinniśmy.

A teraz, jak ostatecznie sprawę tę rozstrzygnąć, jak uorganizować, jaki jej nadać kierunek, ramy i granice? Głos publiczny wymienia komitet, naradę, czy jak inaczej nazwać to chcemy, z prezesa Akademii, z p. burmistrza, z p. konserwatora zabytków sztuki w Galicyi, z rektora uniwersytetu, z prezesa Tow. Przyj. Szt. Pięk. z Siemiradzkiego, Matejki, Kossaka, Gersona, Lessera, Brandta, Rodakowskiego, Tepy, Maryana Sokołowskiego, Łuszczkiewicza, Z. Cieszkowskiego i Pawła Popiela.

Do sprawy galerii zbliża się bardzo rzecz druga — to jest uchwała artystów, zgromadzonych w Krakowie w czasie jubileuszu, którzy postanowili i podpisali (w imieniu wszystkich nazwiska swe położyli Łuszczkiewicz, Lipiński i Kossak) akt, oddany przez nich prezydentowi miasta a wyrażający potrzebę urządzania co pięć lat naprzemian we Lwowie i Krakowie wystawy obrazów, rzeźb, sztychów, projektów architektoni-

cznych i t. p. prac polskich artystów. Wystawa zostałaaby oddaną pod opiekę Wydziału krajowego, a najlepsze z wystawionych okazów wynagradzalnoby stósownemi odznaczeniami, medalami złotemi, srebrnemi — listami pochwalnemi, wreszcie ograniczona na pozór do prowincjonalnego zakresu wystawa nosiłaby miano galicyjskiej, chociaż z udziałem artystów całej Polski. W ten sposób obok stałej i niezmiennej galerii narodowej w Sukiennicach, obok nieustannej ale wciąż zmieniającej się wystawy nowych obrazów w Towarzystwie Sztuk Pięknych, mielibyśmy trzecią w regularnych odstępach powtarzającą się wystawę owoców kilkoletniej pracy artystycznej całego narodu, coś w guście wielkich wystaw tego rodzaju, urządzanych za granicą. Część znaczenia odbierałaby jej zapewne owa „galicyjskość“, ale ta ostatnia byłaby zawsze tylko kwestyą formy zewnętrznej, co się zaś tyczy miejsca, możeby z czasem się udało, wobec niemożności urządzenia wystawy w Warszawie jako trzecie miejsce dodać Poznań; — jeżeli bowiem w Wielkopolsce, ojczyźnie najznakomitszych polskich statystów, filozofów i przyrodników, nigdy się nie rodzili malarze i interesowanie się sztuką zawsze było mniejsze w tej dzielnicy polskiej, niż w innych, to właśnie dla tego należałoby może tam budzić w tym kierunku ruch i życie, wprowadzić sztukę do potrzeb codziennych i postawić ją na równi z innymi gałęziami wiedzy.

Jeżeli rozszerzyliśmy się tak nad projektami, powstałemi w czasie jubileuszu a niedalekiemi zapewne urzeczywistnienia, tém bardziej należałoby może choć słówkiem wspomnieć o takich, które mniej mając warunków powodzenia zasługują na wzmiankę, choćby dla tego, żeby w ten sposób ochronić je od zapomnienia i zaznaczyć krótkotrwały ich żywot. Do takich na-

leży projekt redaktora Dwutygodnika naukowego p. T. Ziemięckiego, — urządzenia w odrestaurowanym zamku królewskim na Wawelu wielkiego narodowego muzeum, w którémby pomieściły się obok siebie: galerya obrazów i rzeźb krajowych i obcych — oczywiście w owych największych rozmiarach, jak to wspominaliśmy wyżej — zbiór rysunków, akwarel i sztychów — muzeum sztuki średniowiecznej — muzeum Stwosza, t. j. komplet kopii dzieł tego mistrza,*) muzeum archeologiczne, etnograficzne, historyczne, numizmatyczne, sfragistyczne, pamiątkowe. Rok temu, jeśli się nie mylimy, p. Ziemięcki wydał już broszurę w tym samym przedmiocie, wówczas jednak jako miejsce dla przyszłego muzeum przeznaczał budynek przy wieży ratuszowej; obecnie idzie dalej i łącząc z sobą dwa niezmiernie doniosłe i trudne zadania, proponuje od razu odnowienie i zajęcie Wawelu, oraz utworzenie na nim muzeum. Myśl piękna i poetyczna, może nawet trochę zanadto poetyczna, niżby należało w piśmie poważném, któremu sama jego ściśle naukowa tendencya wkłada obowiązek rachowania się z rzeczywistością i mierzenia „zamiaru podług sił.“ Nie wspomina tu o materialnej stronie przedsięwzięcia, jakkolwiek trudno zamilczeć, że odrestaurowanie Wawelu, o którym z tak lekkim sercem wspomina redaktor Dwutygodnika, — kosztowałoby miliony; — nie mówimy o tém, że równie wielkie sumy trzeba by mieć do rozporządzenia, żeby stworzyć muzeum powszechne, zasługujące na nazwę narodowego, a odpowiednie wspinałością olbrzymim ramom

*) Tworzenie takiego działu byłoby w każdym razie zbyteczném, skoro wiemy z dzienników warszawskich, że znany tameczny wydawca Lewental nosi się już od dawna z myślą wydania albumu Wita Stwosza, zawierającego komplet kopii dzieł krakowskiego mistrza — i myśl ta niedługo zostanie urzeczywistnioną. (Przyp. aut.)

królewskiego zamku, który ma po dawnych jego panach odziedziczyć; nie pytamy autora, z kąd mógłby zebrać, nawet przy największych kapitałach, dostateczną ilość zabytków i okazów, żeby niemi olbrzymie gmachy zamkowe zapełnić, zwłaszcza, że najciekawsze i najcenniejsze rzeczy są własnością istniejących już muzeów i publicznych zbiorów, które na oddanie ich ani na zlanie się z przyszłym muzeum nie przystałyby oczywiście, zaś środki używane gdzieindziej z powodzeniem dla zmiany przekonania opornych — nie dałyby się w tym razie zastosować. Nie chodzi nam wreszcie o to nawet, że muzeum projektowane, musiałyby stać się tysko częścią koszar wojskowych, które w zupełności usunąć się nie dadzą — że w czasie pokoju otoczone bagnietami, hukiem bębnow i komendą niemiecką, podlegałyby miejscowej władzy wojskowej, gospodarującej w fortecy — pośrednio, a w czasie wojny przyszłyby bezpośrednio pod jej zarząd i mogłyby zostać każdej chwili wyrugowanem, jeśli nie gorzej. Wszystko to stałoby się niewątpliwie nieprzepartą przeszkodą w praktycznym wykonaniu projektu, nie jest jednak jeszcze zarzutem przeciw jego myśli przewodniej. Zarzut taki, największy i zasadniczy, zawarty jest w ocenie projektu p. Ziemięckiego przez *Czas* w num. 241: „Zamek na Wawelu może mieć jedno tylko przeznaczenie, zgodne z jego przeszłością. — Każde inne równałoby się detronizowaniu go z dziewięciowiekowej godności, a więc abdykacją narodu.“

Tak *Czas*, który w tych nie wielu słowach doskonale skreślił wszystko, co z polskiego stanowiska było można powiedzieć o projekcie muzeum na Wawelu. Inaczej sądzą niektóre inne pisma, chwytające z prędko przemijającym zapalem każdą nowość, każdy śmiały a pięknymi frazesami ubrany projekt, nie troszcząc się ani

o głębsze jego poznanie, ani o sposób urzeczywistnienia, ani o skutki.

Popierając wniosek redaktora Dwutygodnika, zapominają, że po dziesięciu latach istnienia artystycznych i archeologicznych zbiorów na Wawelu, zdawałoby się ludziom, że tak od wieków było, że tak być powinno, że Wawel przeznaczony na muzeum od stworzenia świata. Zamek królów przestałby może być niezagojoną raną, ostrzem, w ciało wpijającym się cierniem, ale zarazem przestałby do nas mówić i Jeremiaszowym głosem płakać za przeszłością, przestałby poruszać najdrażliwsze struny naszych uczuć, przestałby być tem, czem być dziś powinien... Wśród egzemplarzy czaszek krótko i długogłowych, gładzonych i niegładzonych kamieni, starych garnków i brązów, rozmów o stylach, ornamentach, monogramach, artystach i szkołach — cienie naszej wielkiej przeszłości, postacie napełniające niegdyś te gmachy — cały ów majestat lat ubiegłych, tak żywo dziś stojący w myśli każdemu zwiedzającemu Wawel mimo napełniających go dyssonansów, czy może właśnie dla tych dyssonansów — wszystko to usunęłoby się na drugi plan, zatarłoby się, znikło. Nie chcemy wcale zmniejszać znaczenia zbiorów ani je w niekorzystnym przedstawiać świetle — chcielibyśmy tylko zakreślić im stanowisko przeznaczeniu odpowiednie. Z pewnemi pamiątkami przeszłości dzieje się tak, jak z istotami żyjącemi, — potrzeba im stósownej atmosfery do życia. Jeśli nawet zwykły zabytek, żyjący tradycją i przywiązaniem w rękach rodziny lub instytucyi, staje się martwym, jak trup na anatomicznym stole, skoro mu w muzeum przypną numer, dolepią kartkę napisową, postawią w szeregu, wedle rangi na pułkach, — o ileż więcej dzieje się to z zabytkami, będą-

cemi relikwią całego narodu. Dla tych muzea byłyby cmentarzami.

Zamiar odzyskania zamku na Wawelu na rzecz miasta to sprawa nie tak łatwa jak się zdaje, gdy zamek jest fortecą...

Wyjednanie dla zamku godności rezydencji cesarza Ausryi... także sprawa z wielu względów trudna.

Piszą, że posąg Piusa IX w katedrze na Wawelu byłby prejudykatem... a tak łatwo myślał niektórzy o zmianie całej katedry na kaplicę pałacową zamkową, zostającą pod bliską opieką wielkiego ochmistrza dworu.

Te i podobne pomysły, to niby obosieczne noże.

Mają dobre strony swoje nawet — ale nigdy w zapale gorączkowym sprawy takie traktowane być nie powinny.

Powtarzające się u nas w pojedynczych odstępach, zwykle gorączkowe a rzadko wyrozumowane zajmowanie się sztuką, wywołało ostatnimi czasy oprócz broszury pana Ziemeckiego, dzwonienie na alarm po dziennikach z powodu rzekomego niszczenia ruin Tyńca. Nawoływanie to, dobrze w prawdzie świadczące o troskliwej opiece, jaką zabytki przeszłości znajdują w obywatelstwie i dziennikarstwie, jest jednak niepotrzebnem i pozbawionem podstawy. Wiemy z pewnego źródła, że zarząd ekonomiczny dóbr Tyńskich zburzył tylko stare mury wybudowanego w zeszłym wieku domku leśnego, od wielu lat sterczące jako ruiny. Ow mur inkryminowany jest daleko za murami warowni, obwodowemi dawnego terytorium benedyktyńskiego opactwa na Tyńcu. Wzięto się do rozebrania ruiner na folwarku, nie zaś w obrębie ruin klasztoru.

Wyjaśnienia publikowane przez p. konserwatora zabytków w 251 numerze C z a s u, uspokoiło płonne obawy, a zwróciło uwagę na konieczne zajęcie się na seryo restauracją kościoła tynieckiego i potrzebę zrestaurowania, właściwiej mówiąc, utrzymania ruin tamtejszego opactwa.



IV.

Jednym z bardzo pocieszających objawów w naszym dzisiejszym życiu narodowym jest rozszerzająca się i wzrastająca coraz bardziej cześć dla wielkich postaci z niedalekiej od nas jeszcze a tak bardzo od dzisiejszych pojęć i dążeń różnej epoki rozkwitu poezji romantycznej. Nie wspominając już o niedojrzałej pseudo-pozytywnej reakcji, pamiętamy, jak niedawno jeszcze wiele poważnych umysłów zasypywało te czasy mnóstwem surowych zarzutów, zwałało na nie odpowiedzialność za wszystkie nasze współczesne nieszczęścia i błędy, a największe ich arcydzieła zwało chorobliwym wytworem rozmarzonej wyobraźni. Dziś widzimy tę samą młodzież, która wówczas tak hałaśliwie wyrzekała się ideałów i tradycji ojczystych pod hasłem trzeźwego postępu — biorącą od lat kilku inicjatywę w urządzaniu dorocznych wieczorków ku uczczeniu pamięci Mickiewicza i z zebranych przy tém piędzdy, tworzącą fundament mającego się wznieść niedługo, da Bóg, pomnika naszego wieszca. Gdzie tylko w jakim wyższym zakładzie jest garstka młodzieży polskiej uczącej się, tam dzień 26 listopada obchodzony bywa uroczystie, jako piękne i wzniosłe święto narodowe. I w Wiedniu, dzięki inicjatywie akademickiego „Ogniska“, jedyne go tu obecnie polskiego stowarzyszenia, rocznica śmierci Mickiewicza obchodzoną była wielkim literacko-muzykalnym wieczorem w którym wzięło udział blisko tysiąc osób. Pię-

kna ta uroczystość jest jedyną chwilą w ciągu roku, w której Polacy przebywający w Wiedniu stale lub czasowo zbierają się razem i przepędzają kilka godzin, jakby w wielkiem kole rodzinném, wynosząc w myślach i sercach długie, pełne uroku wspomnienie. Wielka sala Bösendörfera, ozdobiona bardzo gustownie mnóstwem plant egzotycznych i marmurowym biustem poety, przepelnioną była publicznością, przeważnie polską, liczącą jednak bardzo wielu przedstawicieli innych narodowości, zwłaszcza pomiędzy płcią piękną. W pierwszych rzędach zajęła miejsca większa część naszych posłów, oraz reprezentanci znaczniejszych stowarzyszeń słowiańskich w Wiedniu. Jeden z członków Ogniska, p. Szczęsny Sikorski rozpoczął obchód, tłumacząc w kilku słowach jego cel i znaczenie, oraz witając swoich i obcych gości, którzy się na wezwanie Ogniska zgromadzili, żeby uczcić wspólnie pamięć największego wieszca Słowiańszczyzny. Następnie pan Jan Gnatowski miał odczyt „O powstaniu mesyanizmu w życiu i poetycznej twórczości Mickiewicza.“ Opierając się głównie na utworach i korespondencji poety, prelegent starał się wykazać genezę i składowe czynniki mesyanistycznego kierunku, którego źródło tkwiło jego zdaniem z jednej strony w przyrodzonem usposobieniu i mistycznym nastroju umysłu poety, z drugiej w warunkach, w jakich się znajdowała emigracya i w panujących w niej podówczas prądach duchowych. Część muzykalna była ze względu na niemieckich gości znacznie od literackiej obszerniejszą i bardzo urozmaiconą. Jakkolwiek stósownie do przyjętego przez Ognisko zwyczaju brały w niej udział tylko polskie siły artystyczne, niezbyt tu licznie reprezentowane, wykonanie wszystkich bez wyjątku utworów mogło wytrzymać porównanie z najświetniejszymi koncertami nawet w bardzo wyseko stojącym pod

muzykalnym względem Wiedniu. Zwłaszcza gra na fortepianie prof. Ambroza i skrzypce p. Kochanowskiego, bardzo młodego jeszcze, ale wysoce utalentowanego ucznia konserwatorium, wywołały nieskończone oklaski publiczności. Pośród kilku deklamacyami sympatycznie wyróżniał się „koncert nad koncertami“, wypowiedziany przez p. Kwiatkiewicza a odznaczający się uczuciem i naturalnością — pierwszą cechą prawdziwego artyzmu. Załowano powszechnie, że komitet urządzający wieczór nie zaprosił do wzięcia udziału doskonałego chóru słowiańskiego, który w swych koncertach nie zapomina nigdy o polskich pieśniach narodowych i podobno nawet sam się z pomocą ofiarowywał, zdaje się jednak, że jakieś poważne względy a zwłaszcza obawa fałszywego tłumaczenia — nie pozwoliły z ofiary korzystać. Wieczór rozpoczęty o 7, zakończył się o 10 przemową uproszonego w tym celu dr. Smolki, wiceprezesa parlamentu, który podziękowawszy w imieniu wszystkich gości panu Janowi Kremerowi, przewodniczącemu komitetu urządzającego obchód Mickiewicza, podniósł wzniosłe i poważne znaczenie tego obchodu i w kilku wymownych, pełnych serdecznego ciepła i głębokiej myśli słowach wskazał ideały, jakie społeczeństwu naszemu powinny przyświecać i łączyć nas z najpiękniejszymi postaciami naszej przeszłości. Zaraz po wieczorku nastąpiła w jednej z większych restauracyi składkowa wieczerza członków Ogniska, której przewodniczył hr. Wojciech Dzieduszycki, znany estetyk i literat, obecnie członek parlamentu, a przed 10 laty prezes Ogniska. Między zaproszonymi gośćmi znajdowali się przedstawiciele kilku słowiańskich towarzystw. Jeden z pierwszych toastów wzniesiono na cześć czcigodnego przyjaciela Mickiewicza — Antoniego Edwarda Odyńca, między następnymi wyróżniał się toast delegata ruskiego stowarzy-

szenia „Sicz“, który swą ukrainofilską tendencją zmusił jednego z Polaków do wniesienia w odpowiedzi zdrowia na cześć Unii. Milszym dla wszystkich był toast chorwackiego stowarzyszenia „Velebit“ na zjednoczenie składowych części każdego z dwóch plemion. Po wypowiedzeniu jego nastąpiła prawdziwa burza oklasków i owacy dla południowych Słowian, którzy swą zachodnią kulturą i wyznaniem do nas zbliżeni, są jeszcze i z tego względu dla nas sympatyczni, że sami jedni ze wszystkich plemion słowiańskich umieli się zawsze trzymać zdala od wrogich nam intryg politycznych i na syrenie głosu idące do nich z północy, pozostali niewzruszenie obojętni.

Jakkolwiek Mickiewiczowski wieczór stanowi najwybitniejszy objaw życia polskiego w Wiedniu, nie jest on przecie odosobnionym i jedynym życia tego objawem. Nie mówiąc o życiu towarzyskiem, skupiającem się głównie około członków delegacyi, mieszkających tu z rodzinami oraz pewnej liczby polskiej arystokracji, zajmującej stanowisko przy dworze — z imionami naszych rodaków spotkać się można co chwila w świecie artystycznym i literackim. W ostatnim wprowadzie od czasu upadku smutnej pamięci „Meteor“, skandalicznego pisemka, będącego niewolniczym naśladownictwem tutejszej zohydzonej, z brudów żyjącej t. z. „Winkel-Pressé“ — Polaków reprezentuje jeden tylko „Messenger de Vienne“, redagowany przez p. Bronisława Wołowskiego, z pomocą polskich sił przeważnie z Galicyi. Już dla samej dysharmonii, zachodzącej między zewnętrzną formą pisma przeznaczonego rzekomo dla Francuzów, mieszkających w Wiedniu, a polską jego treścią i kierunkiem tygodnik ten nie może odpowiedzieć swemu przeznaczeniu i mimo dość starannej redakcyi i nader urozmaiconej części literackiej, nie wiele

ma warunków dalszego istnienia. Stósowniejszym daleko dla reprezentowania polskich interesów w stolicy byłby wielki dziennik niemiecki, któryby, jak to robi pragska *Politik* dla Czechów, zaznajamiał szersze koła publiczności z naszymi potrzebami i dążnościami z jednéj strony, z ruchem umysłowym w Polsce z drugiéj. Od pewnego czasu zaczynają tu przebąkiwać o założeniu takiego dziennika, wymieniając jako przyszłych założycieli i kierowników dwóch wybitnych członków delegacyi, odznaczających się dalej od innych idącemi federalistycznymi skłonnościami.

Daleko korzystniéj od dość ciasnego literackiego zakresu przedstawia się działalność Polaków na polu sztuki. Zastęp artystów polskich kształczących się w Wiedniu nie jest znaczny, zajmuje jednak od dawna bardzo poważne stanowisko wśród artystów innych narodowości, odznacza się talentem, pracowitością i sympatycznym a zdrowym kierunkiem. Nie należąc wcale do wielbicieli wiedeńskiej szkoły i uznając najzupełniéj wszystkie błędy wprowadzonego do niej przez Makarta teatralno-dekoracyjnego kierunku i uganiania się za łatwemi efektami, musimy jéj przyznać jednak daleko korzystniejszy wpływ na artystów naszych od szkoły monachijskiej. Nie zaniedbując sumiennych studyów anatomicznych i badania natury, artyści polscy w Wiedniu nie wpadają w realistyczne ekscesy, cechujące znaczną część monachijskich utworów. Zamiast silenia się na oryginalność, prowadzącą często uczniów Pilotego do niesmacznej przesady i wpadającą w maniérę, spotykamy u nich prawdziwie artystyczny spokój, miarę, harmonią doskonałą pomysłu z wykonaniem i niepospolite wykończenie. Gruntowne studyum antyków i najpiękniejszych wzorów z Cinque-Cento przebija w idealnéj czystości linii, w piękności kształtów,

przypominających czasem niezrównany i niedający się już naśladować w całej jego doskonałości ołówek Kaulbacha.

Z dwóch tutejszych wystaw w Kunst-Vereinie spotykamy tylko dwa olejne szkice en grisaille zmarłego Maurycego Gottlieba z tematem zaczerpniętym z „Natana.“ Oryginalny, pełen sił żywotnych talent Gottlieba i jego gorąca fantazyja miały wdzięczne i bogate pole do zużytkowania we wschodniem tle, na jakim się rozwija akcyja dramatu Lessinga. Jeden z obrazków zupełnie wykończony i wyższy od następnego opracowaniem szczegółów i wrażeniem, jakie sprawia całość, przedstawia Saladyna i Się grających w szachy; drugi, w połowie ukończony, a w drugiej z lekka dopiero podmalowany, podpisany jest fałszywie „Wyratowaniem z ognia,“ zdaje się bowiem przedstawiać odwiedzinę Templaryusza w domu Natana. Obydwa mają niepospolitą wartość. Czuć w nich, że artysta przejął się tym światem, który chciał przedstawić, i że go poznał do głębi. Każda postać pojęta doskonale i wystudowana con amore, szczegóły odtworzone archeologiczną ścisłością, jaka zawsze cechowała Gottlieba, ogół ma tę harmonię i jednolitość, jakiej często brakuje najznakomitszym artystom współczesnym.

W Künstlerhausie żaden z artystów tutejszych nie ma obecnie wystawionych swych utworów. Przed miesiącem widzieliśmy tam dwa krajobrazy p. Sidorowicza, odznaczające się doskonałą perspektywą, delikatnością pędzla i wier-nem a pełnem wdzięku odtworzeniem natury. W ostatnich czasach nadesłano z Monachium kilka polskich płócien, nacechowanych zwykłemi zaletami i wadami panującego tam kierunku, sinym, efektowym kolorytem, drobiazgową obserwacyą natury i brakiem treści głębszej i wyż-

szego nastroju. Między niemi pierwsze miejsce należy niewątpliwie dwom obrazkom p. Kowalskiego, przedstawiającym, jak zwykle u tego artysty, sceny myśliwskie, chartów wietrzących w zaroślach zwierzynę i szczerwaczy w czerwonej liberyi. Kilka drzew, obnażonych z liści żółkłych i zwiędłych, rozsypanych po ziemi i okrytych szronem; przebijające się gdzie niedzie między czarnemi gałęziami szare, mgliste niebo; trochę mchu i suchego chrustu na ziemi — oto cała dekoracya obrazów, które mimo bardzo dobrego kolorytu i wielkiej staranności opracowania nie zrobiły na nas, wyznajemy, tak korzystnego wrażenia, jakiego oczekiwaliśmy po znanym talencie artysty. P. Kowalski umiał sobie zdobyć, — rzecz nader trudna dla Polaka — wysokie uznanie u Niemców, którzy go w swych krytykach stawiają na równi z Brandtem i kilkakrotnie już w większych swych ilustracyach reprodukowali jego utwory; jakkolwiek jednak uznanie to jest zaszczytnem dla artysty i miłym dla jego współrodaków, obawiamy się, żeby nie wpłynęło na nadanie p. Kowalskiemu obcego kierunku, na zastósowywanie się jego wyłącznie do panujących obecnie w Niemczech pojęć i dążności estetycznych, których przenoszenie na polski grunt, nie wiemy, czy byłoby dla nas z korzyścią. Niższe wartością i mniejsze rozmiarami dwa „Zaprzęgi krakowskie“ p. Szerera pociągają swym swojskim charakterem, werwą i życiem. Mimo miniaturowych rozmiarów konie na obydwóch tak dobrze wykończone, że je można prawie z Kossakowskimi porównać, ludzie mają tyle charakterystyki i wyrazu, że każdy z nich prawie mógłby dać typ do odrębnego obrazka. Mały obraz p. Chełmińskiego „Wózek drzewa“ ma wiele prawdy życiowej i poczucia natury, choć nie jest przytém wolny od realizmu, który w rodzajowych obrazach Monachijskiej szkoły

doprowadzony bywa zazwyczaj do rażącej przesady. Oprócz tych niewielu polskich płócien, znajdujących się w Kuenstlerhausie, ma tam przybyć w krótkce kilka utworów p. Tadeusza Rybkowskiego, Warszawianina, mieszkającego od lat kilku w Wiedniu i znanego ze swych doskonałych, artystycznie wykończonych akwareli oraz małych obrazków rodzajowych, naśladowujących bardzo dziś rozpowszechnione miniaturowe obrazki francuskie. Rodzaj ten wymaga niezmierniej delikatności pędzla i precyzi i zalety te trzeba przyznać p. Rybkowskiemu, który go pierwszy do sztuki polskiej wprowadził. Dwa jego miniaturowe obrazki rodzajowe, mające pójść na wystawę: „Targ na słomę“ i „Targ na garnki“ wywołały w tutejszych kołach artystycznych bardzo przychylnie oceny, niemniej jak ukończone już akwarele „Pod karczmą“ i „Wóz z mlekiem“, oraz kończące się akwarelowe widoki zamku w Krasiczynie, zamówione przez ks. Izę Sanguszkową i hr. Józefa Potockiego. Artysta sumienny, pracowity i prawdziwie utalentowany, p. Rybkowski ma przed sobą przyszłość — a chociaż dzisiejszy jego zakres jest dość ciasny, nie wątpimy, że się z czasem rozszerzy, zwłaszcza że sądząc po dwóch zaczętych cokolwiek większych płótnach, które oglądaliśmy w jego pracowni, nie zabraknie mu na to możliwości i talentu. Z innych artystów tutejszych, słyszeliśmy o kilku przygotowujących większe prace, między innymi o p. Krudowskim, pełnym niepospolitych zdolności artyście, o którego św. Cecylii wspominaliśmy swojego czasu jako o jednym z najpiękniejszych obrazów na krakowskiej wystawie, godnie mogącym współzawodniczyć z wielkimi religijnymi malowidłami włoskiego odrodzenia. P. Krudowski jest jednym z nielicznych współczesnych artystów pojmujących ducha religijnej sztuki, przejętych jęj

wyższym, idealnym nastrojem i naśladowujących Perugina, Andrea del Sarto i Fra Bartolomea nie tracąc samodzielności i nie posuwając naśladownictwa jak Overbecko-Fischerowska szkoła, aż do kopiowania błędów rysunkowych. P. Trembecki, jeden z tutejszych młodych rzeźbiarzy, zyskał świeżo premią w konkursie na rzeźby zewnętrzne do nowego gmachu sejmowego we Lwowie. Rzeźby te mają wedle projektu składać się z czterech figur umieszczonych na dwóch plitach — Mieczysława i Kazimierza W. z jednej, Włodzimierza i Jarosława z drugiej strony, oraz z pewnej liczby figur alegorycznych i ornamentacyjnych. Drugi rzeźbiarz wiedeński, p. Błotnicki otrzymał nie dawno wielką nagrodę tutejszej Akademii sztuk pięknych za swoją „Switeziankę,” piękną rzeźbę, przedstawiającą znaną w poezyi postać a mającą później w odpowiednim opracowaniu stanąć na środku Halickiego placu we Lwowie. Ze Lwowa także przyszło do tego artysty zamówienie na pomnik Piusa IX, mający stanąć w katedrze unickiej św. Jura. Ze wszystkich modeli pomnika Piusa IX, których kilka mieliśmy sposobność widzieć w ostatnich czasach, projekt p. Błotnickiego zrobił na nas największe wrażenie. Przedstawił on nieśmiertelnego Papieża w siedzącej postawie, w stroju pontyfikalnym z tyarą na głowie i ręką podniesioną do błogosławieństwa. Wyraz twarzy raczej dobrotliwy, niż imponujący, ma jednak wiele naturalnego majestatu, podniesionego bardziej jeszcze powagą całej postawy. Jedna wada kompozycji polega, zdaniem naszym, na tém, że Papież pochylony jest cokolwiek naprzód, jakby chciał pierwszy ofiarować się z błogosławieństwem. Artysta chciał tém uwydatnić wielką miłość bliźnich i dobroć Piusa IX, który jednak z samego swego obowiązku, jako ojciec i najwyższy sędzia w Kościele, umiał karcieć błądzących,

a zwłaszcza błędzących ze złą wiarą i dla materyalnych widoków. Dla tego wyznajemy, że tego Piusa IX wolelibyśmy widzieć na Wawelu. Zresztą szczegóły, wykończenie przepyszne, bardzo wiele energii w traktowaniu przedmiotu, bardzo umiejętne udrapowanie sukni i kapy, brak może owego klasycznego spokoju, którego umłodogo artysty wymagać zresztą trudno; natomiast jednak wiele poczucia artystycznego, wielka naturalność układu i polot myśli pozwalający jak najlepiej wróżyć o dalszej twórczości artystycznej p. Błotnickiego.

O panu Wilhelmie Leopolskim i jego wielkim obrazie „Karolu V, odwiedzającym klasztor w Hiszpanii,” nad którym obecnie pracuje, pomówimy innym razem, skoro tylko praca artysty zbliży się do ukończenia.

V.

K r a k ó w, w styczniu.

Brak historii kultury polskiej. Rozdzielenie pojedynczych gałęzi wiedzy. Najnowszy kierunek historyczny. Historia literatury i Wiszniewski. Historia sztuki, prawa, nauk ścisłych. Zamierzone prace. Szereg odczytów o Odrodzeniu w Polsce. Odczyt profesora Morawskiego. Charakterystyka wieków i odrodzenia. Dante i Petrarca. S. Franciszek z Assyżu i jego wpływ na poezję, filozofię i sztukę. Dwa kierunki humanizmu. Jego ogniska we Włoszech i Niemczech. Jego wpływ. Odczyty profesora Szujskiego. Ruch umysłowy w Krakowie. Wydawnictwa Akademii. Sprawozdania komisji historii sztuki. Profesor Łuszczkiewicz i jego prace nad romańskimi zabytkami i nad religijnym malarstwem w Polsce. Opactwo Sulejowskie. Szczegóły historyczne. Plan budowy, jej charakter stylowy i ornamentacja. Ozdoby kapiteli. Zewnętrzna postać kościoła. Krużganek, Claustrum, kapitularz. Lwy Sulejowskie. Przezrocza. Polychromia. Kościół w Kościelcu pod Krakowem. Trzy granitowe kościoły wielkopolskie: w Kruszwicy, Kościelcu i Mogilnie. Kościół S. Jana w Poznaniu. Kolegiata Łęczyska. Jej założenie i dzieje. Jej dawniejszy plan i późniejsze przeróbki. Absydy, wieże, portal, ornamentacje. Bestiarye. Przedstawienia Trójcy o trzech głowach, opisane przez p. Marjana Sokolowskiego. Wpływ Zachodu na Ruś. Antropomorficzne uosobienie Trójcy w Hiszpanii, Włoszech i Francji. Wpływ pogański. Geometryczny symbol. Porównanie zabytków ruskich z zachodnimi. Ewangeliarz z XI w. opisany przez profesora Szujskiego. Rachunki z czynności artystycznych na dworze Zygmunto wskim i Zygmunto wską kaplicą przez p. Pawła Popiela. Kongres historyczno-archeologiczny na 400-ną rocznicę śmierci Długosza. Złożenie jego zwłok do sarkofagu na Skałce. Przeniesienie zwłok Mickiewicza. Składki na pomnik. Projekta co do jego umieszczenia. Zarzuty przeciw pomnikowi. Karol Libelt. Nowości literackie. Porównanie Pana Tadeusza

z Hermanem i Dorotą. Socjalizm i reakcja. Przekłady Platona przez p. Siedleckiego. Rękopiśmienne prace ś. p. Wróblewskiego (Koronowicza). Domowe sprawy p. Lisickiego. Ocena tej broszury, jej wartość i znaczenie. Kierunek p. Lisickiego w obec prawdy dziejowej i bezstronnej krytyki. Polemika. Ubiory w Polsce p. Eljasza. Pomnik Bolesława Wstydliwego u Franciszkanów. Rzeźby u Dominikanów. Szkice artystów nadesłane na wentę dobroczynną w Sukiennicach.

Nader dotkliwą luką w piśmiennictwie polskim jest brak zupełny historii naszej kultury. Jakkolwiek badaniu przeszłości we wszystkich jej kierunkach poświęcało się u nas i poświęca dotąd liczny zastęp pracowników, działalność ich jednak, ograniczona do pojedynczych gałęzi wiedzy, nie daje nigdy ogólnego obrazu umysłowego stanu społeczeństwa, a oddzielając ściśle jedną sztukę od drugiej, zaniedbuje często ich wzajemne na siebie wpływy, powodujące kolejny lub jednoczesny ich rozwój i upadek. Najmniej może zarzut ten dotyka historii, która w najnowszym swym kierunku łączy wypadki polityczne z prawno-państwowym rozwojem, stara się je tłómaczyć ekonomicznymi warunkami czasu, a wreszcie szukając w nich głównie filozofii dziejów, staje się historią kultury politycznej i społecznej. W historii literatury za to jeden tylko Wiszniewski próbował połączyć w jedną całość pojedyncze objawy umysłowego życia przeszłości, odtwarzając ją na tle literackich zabytków, będących w jego mniemaniu nie ostatecznym celem, lecz tylko pomocniczym środkiem do poznania duchowego rozwoju przeszłych pokoleń. U wszystkich innych działalność ogranicza się do bibliograficznych wyciągów, opatrzonych ogólnikowemi uwagami i zastępujących miejsce krytyki kompilacją, z lekceważeniem częstokroć zdumiewającém i ducha czasu, i równoległych zjawisk ekonomicznych lub politycznych i wreszcie ścisłego związku umysłowego życia w Polsce z tém, co na tém samém polu robiło się na zachodzie, wpływu obcych prą-

dów i dążności u nas niemniej jak i naszego wpływu na literaturę sąsiednich narodów. Byłoby bardzo do życzenia, żeby znakomity krytyk literacki, który dotychczas mniejszemi tylko artykułami obdarzał nasze piśmiennictwo, przyprowadził do skutku swój zamiar wydania historyi literatury polskiej; jeżeli bowiem od tego umysłu żywego, gorącego, poddającego się wrażeniom chwili i szukającego wciąż nowego pokarmu dla bogatej wyobraźni trudno wymagać odkryć naukowych i gruntownej pracy erudyta, to z drugiej strony jego wszechstronność i wysoki zmysł krytyczny pozwala oczekiwać dzieła oryginalnego, nie kalkowanego z innych i nie zamykającego się w ciasnych ramach literackiej, tylko krytyki. O historyi sztuki polskiej, filozofii, prawa i nauk ścisłych nie ma potrzeby wspominać: grunt to leżący odłogiem, dotknięty pobieżnie w kilku monografiach, oświetlających słabo oddzielne części odnośnych nauk, nie dając o całości słabego nawet wyobrażenia.

Chcąc zaradzić temu tak dotkliwemu brakowi, J. I. Kraszewski pracuje podobno od lat kilku nad historją kultury w Polsce; wolno wątpić jednak, czy w obec mnóstwa lżejszych prac, jakie mu czas zajmują, sędziwy jubilat będzie w stanie wywiązać się z zadania, wymagającego wielu lat specjalnych studyów i niezupełnie może odpowiedniego rodzajowi jego talentu. Panu Marjanowi Sokołowskiemu pozostała także znaczna ilość niezużytkowanych w Lednicy materiałów do historyi kultury kraju naszego od najpierwotniejszych czasów aż do XV w., nie słyszymy jednak, żeby młody uczony myślał je teraz przynajmniej zużytkować.

W obec tak słabej nadziei, żeby w bliższym czasie przynajmniej marzenie Michała Wiszniewskiego mogło być urzeczywistnione, nadzwyczaj ważnym i pocieszającym objawem jest rozpoczęty przez grono profesorów Jagiellońskiego uniwersy-

tetu na dochód akademickiego towarzystwa bratniej pomocy szereg odczytów, mających wspólny tytuł: *Odrodzenie w Polsce*. Rozdzieliwszy pomiędzy sobą literaturę, prawo, sztukę, nauki ścisłe i poezją, prelegenci postanowili dać wspólny obraz naszej kultury w wieku XVI, w tych czasach Zygmuntońskich, tak ciekawych i ważnych dla nas, a tak mało znanych mimo pozornej sławy, jakiej używają.

Profesorowi Morawskiemu przypadło w udziale dać na wstępie ogólnoeuropejskie tło, na jakim później się rozwinęło polskie odrodzenie, wykazać czynniki, jakie się złożyły na wytworzenie tej wielkiej epoki, oraz jej charakterystyczne znamiona na Zachodzie. Następnie prelegent zaznaczył różnicę między wiekami średnimi a odrodzeniem. Pierwsze, nie będąc epoką ciemności, dają jednak umysłowemu rozwojowi ludzkości kierunek jednostronny, zastępują wybujałą fantazją młodzieńczych ludów starożytną naukę i z potępieniem ciała i zmysłów, ze zwróceniem się wyłącznym ku nadziemskim celom wyradzają lekceważenie formy i fizycznego piękna. Tę, jako długo zapomnianą spuściznę po dawnym przedchrześcijańskim świecie, podniosła epoka następna, której pierwszym zwiastunem był Dante, a po nim Petrarca. Pierwszy stojąc na rozdrożu dwóch epok tak bardzo od siebie różnych, łączy religijne pojęcia jednej z budzącymi się przecuciami drugiej — kultem piękna, poszanowaniem dla klasycznej przeszłości, jakkolwiek legendowo i fantastycznie pojętej, wreszcie wprowadzeniem do literatury w miejsce łaciny — gwary ludowej, a z nią mieszanego wiekom średnim indywidualizmu. Drugi gorącym zamiłowaniem starożytności i klasycznych autorów, zwłaszcza Cycerona, toruje drogę późniejszym humanistom, a głębokim poczuciem natury przygotowuje rehabilitacją przyrodzonych uczuć zewnętrznego piękna. Wysunięcie naprzód tych dwóch postaci, jako głównych czyn-

ników humanistycznego zwrotu w pojęciach ludzkości, jest i nader trafnym, i odnośnie do Danta, dosyć nowym: nie wiem tylko, czy słusznie prelegent uważa Petrarę za pierwszego wskrzesiciela poczucia i ukochania natury w czasach chrześcijańskich. Jeżeli z trzech nowych pierwiastków, jakie epoka odrodzenia z sobą przyniosła — kultu piękna, rozmiłowania się w przedchrześcijańskim klasycyzmie i poczucia natury — pierwsze dwa niezawodnie najpierw i najwyżej podnieśli kolejno Dante i Petraka, to trzeci znajduje się wiele lat przed ostatnim w poezji S. Franciszka z Assyżu. W przeciwieństwie do snrowej ascezy i ściśle rozumowej spekulacji filozoficznej dominikańskich tomistów, S. Franciszek przejęty jest cały łagodnym mistycyzmem, przelewającym miłość dla Stwórcy na stworzenie. Słońce nazywa bratem, księżyc siostrą, śpiew słowika rozrzewnia go do łez, natura cała staje się przedmiotem jego ukochania i zachwytu. Nastrój ten, nie licujący wcale z dotychczasowymi pojęciami, sprowadził w filozofii po subtelnym Duncie Skocie Bakona a po nim charakterystyczny zwrot na nową całkiem drogę w Wilh. Okamie, w sztuce zaś dał impuls całej szkole Umbryjskiej i nie mówiąc o Franeii, Pinturiccio i florenckim Fra Bartolomeo, wytworzył Perugina i przez niego wpłynął na pierwszą manierę Rafaela.

Nie pospolity ten wpływ franciszkańskiego patryarchy, tak pięknie opisany przez sympatycznego biografę Danta, — Ozanama, — wymagał ze strony prelegenta obszerniejszej wzmianki i niedostateczne jego uwzględnienie podpadło wielu słuchaczom. Nie wiem także, czy zupełnie słusznie p. Morawski widzi w Duncie pierwszego poetę wieków średnich, piszącego ludowem narzeczem, jak gdyby w Nibelungach, Romansie Róży lub Cyklu Rolandowym, lub też i północnych fableaux, poezya ludowa wszystkich narodów środkowej Europy nie znalazła przed Dantem swego pię-

knego wyrazu, jak gdyby truwerowie i minnesängerowie nie uderzali w najdźwięczniejsze struny uczucia i poetycznego natchnienia, któremu późniejsi poeci nie zawsze umieli dorównać. Dając następnie obraz rozwoju sztuki i humanistycznej wiedzy, skupiającej się we Włoszech przy dworach książąt mecenasów, w Niemczech na daleko mniejszą skalę w kilku bogatszych miastach, p. Morawski odsłania dwa główne ogniska odrodzenia — Florencję naprzód, a następnie Rzym, dołączył zamiast Mediolanu lub Neapolu z czasów Joanny czy Roberta — nieznaną z żadnego własnego talentu ani szkoły Ferrarę Estów. Z dwóch kierunków humanizmu, jeden ujemny, zrywający więzy moralne i religijne, znajduje swój wyraz w Machiawelu a po części może w Erazmie z Rotterdamu; drugi godzący klasycyzm z chrystyanizmem, osiąga niezwykłego rozwoju pod opieką Medyceuszów i papieża od Mikołaja V zacząwszy, i — rzecz przez prelegenta nie podniesiona a nader ważna — podczas gdy pierwszy oprócz kilku epistolarnych traktatów i retorycznych turniejów pozostaje całkiem prawie nieprodukcyjnym i mija nieledwie bez śladu, drugi stwarza największe dzieła myśli ludzkiej i artystycznego natchnienia, stwarza szereg ludzi tak genialnych i tak wszechstronnych, że trudno ich dziś już zrozumieć, nie mówiąc o tem, żeby im dorównać. Szczupłe ramy jednogodzinnego odczytu nie pozwoliły prelegentowi zatrzymać się dłużej nad temi wielkimi postaciami, stanowiącemi najpiękniejszy kwiat odrodzenia, tym jednak z lekka tylko naszkicowanym sylwetkom p. Morawski umiał nadać tyle życia i tyle estetycznego czaru, w obrazie epoki roztoczył tak niepospolite bogactwo i rozmaitość barw, tak harmonijnie połączył i ugrupował niezliczone szczegóły, z jakich się odczyt składał, że ten ostatni wyrównał całkiem Romansowi Petroniuszowi, będącemu obok Profilu Nerona najciekawszym, najbo-

gatszym w treść i najpiękniejszym z odczytów zeszlórocznych, dla seryi obecnej zaś stał się wspaniałym wstępem i dobrze wróżącą zapowiedzią. Panu Szujkiemu, który miał w kilku prelekeyach skreślić wpływ odrodzenia na stan polityczny, społeczny i religijny Polski XVI wieku choroba pozwoliła wygłosić tylko pierwszą; drugą czytał z notatek prelegenta p. Tarnowski, resztę, jeśli stan jego zdrowia pozwoli, p. Szujski przygotowuje i wypowie przy końcu seryi odczytów. Do tej chwili wstrzymać się musimy z rozbiorem prelekcyi tych, ściśle między sobą się wiążących, zaznaczając tylko, że pierwsza zwróciła na siebie uwagę niedorównaną głębookością sądów i podniosłością uczuć, nie mniej jak wysoce religijnym nastrojem w ocenie sztuki odrodzenia i potępieniu zawartych w niej antychrześcijańskich pierwiastków; druga odznaczała się bogactwem materyałów, który na nieszczęście nie mógł być uporządkowany i ułożony w piękną całość.

Oprócz odczytów, stanowiących rzeczywiście jedną z największych przyjemności tej zimy, ruch umysłowy ogranicza się wyłącznie prawie do Akademii. Skarżono się już nieraz na obojętność naszej publiczności dla instytucyi tak użytecznej i ważnej, a tak mało z otaczającym ją światem związanej, nieledwie zapomnianej przez ogół. Obojętność ta, nie dająca się uniewinnić, ani wytłómaczyć, skoro chodzi o działalność i prace akademii na polach dla nie wielu specjalistów dostępnych, staje się całkiem niezrozumiałą wobec wydawnictw i sprawozdań komisji przeznaczonych na to, żeby z niemi zaznajamiać ogół.

Mamy przed sobą w tej chwili pełne interesu sprawozdania komisji historii sztuki w 4 zeszytach, z których ostatni świeżo opuścił prasę. Główną część treści zajmują artystyczne monografie romańskich kościołów, owoc dłuższej pracy

i kilku naukowych podróży prezesa komisji, prof. Łuszczkiewicza, który świeżo deskonala i wyczerpującą, mimo szczupłych ram, historią religijnego malarstwa w Polsce, umieszczoną w warszawskiej Encyklopedyi kościelnej, položyl wielką zasługę dla historii naszej sztuki, a jak słyszeliśmy przygotowuje obecnie podobną historią rzeźby i architektury. Monografie zamieszczone w sprawozdaniach rozpoczynają się opisem opactwa Sulejowskiego, założonego w r. 1174 lub 76 przez Kaźmirza Sprawiedliwego dla Cystersów i bogato uposażonego przez fundatora, przez jego następców, którzy otaczali klasztor swą szczególną opieką, wreszcie przez biskupów krakowskich a zwłaszcza Kadłubka. Podobnie jak w innych klasztorach polskich owego czasu zakonnicy byli cudzoziemcy; tylko podczas gdy klasztory ówczesne w Łędzie, Łęknie, Lubiązu, Oliwie zajęte były przez Niemców, Kaźmirz, bojąc się zapewne germanizacyjnego wpływu, jaki wywierały, wolał do swęj fundacyi sprowadzić zakonników francuzkich z Morymondu, ponieważ francuzcy mnisi w Jędrzejowie, nieprzyjmujący Polaków do swego grona, w zbyt małej byli liczbie, żeby się na dwa opactwa rozdzielać. Dziś ruiny opactwa, rozsypujące się w gruzy, słabe tylko dać mogą wyobrażenie o świetnej przeszłości, którą z niesłychaną pracą i ścisłością archeologiczną odtworzył w swym opisie i należących do niego 10 tablicach uczony badacz. Zabudowania klasztorne otoczone oprócz bramy wjazdowej pięciu basztami mieściły obok kościoła i mieszkań zakonników liczne zabudowania gospodarskie, dom gości z ich kaplicą, dom szkólny i osobno stojący, od reszty zabudowań oddalony pałac opata. Podobnie jak inne kościoły Cystersów z XII i XIII w., jak Jędrzejów, Mogiła, Wąchock, Koprzywnica, kościół Sulejowskiego opactwa ma formę krzyżową bez wież, z niskimi bocznymi nawami, dochodzącemi do

transseptu i tylną ścianą bez absydy. Zbudowany z szydłowieckiego piaskowca, przedstawia pięknie przeprowadzoną zasadę sklepionej bazyliki romańskiej z ostatniej epoki, przeradzającej się w ostrołuk, który jest już częściowo zastosowany przy ogólnych formach romańskich nie z estetycznych względów, ale dla konstrukcyjnych potrzeb. Ztąd łuki w sklepieniu ostre, zostają półkolistymi u arkad. Dwarzędę filarów, na atyckich barach opartych i zakończonych u góry pięknymi arkadami, oddziela główną nawę od bocznych. Ornamentacja ich poważna, nie zbyt akcentowana wyłącznie roślinna i wykluczająca wszelkie żyjące postacie, jakkolwiek wogóle stylowa jeszcze i konwencyjna, naśladuje już florę miejscową, zdradzając obok tego pewne geometryczne dążności w naśladowaniu koszykarskich ozdób. Rzeźba na powierzchni kapiteli jest albo płaską plecionką, utworzoną z powiązanych kół, albo z dwóch rzędów liści lancetowatych naprzemian idących, wygiętych lub prostych, przechodzących w okrągłe, złóbkowane albo w palmy; w górze spotykamy francuzkie lilie. Okna nie wielkie, stosownie do stylu budowy, u góry zaokrąglone, zostały z czasem zastąpione większemi; oprócz tych, które były w nawie głównej i małych w bocznych nawach, każda facyata miała wielkie okno okrągłe, z którego później wyrąbano rozetę. Zewnętrzna budowa kościoła dochowana doskonale w pierwotnym swym charakterze, mimo wielkiej prostoty odznacza się niepospolitą pięknnością i harmonią; otaczają ją szkarpy, pochodzące z późniejszej epoki ostrołukowej, do której należy także szczytowe zakończenie głównej facyaty. Bogaty portal ostatniej zdaje się również być dorobiony później, ile że kościoły klasztorne, nie będąc w początkach dla świeckich, oprócz sług i domowników opactwa, dostępne, miały jedno tylko małe wejście z boku. Drugi portal boczny, przed kilku laty zamurowany, łączył główny

krużganek klasztoru z kościołem; trzeci, stanowiący zwykłą u Cystersów komunikacją z dormitarzem, odnaleźć się powinien, zdaniem p. Łuszczkiewicza, przy usunięciu rumowisk i ołtarza z południowego ramienia kościoła. Pomędzy szczegółami ozdób ciekawe są i niezwykle wyciosane z drzewa lwy, w liczbie sześciu leżące u podnóżka stał nawy głównej.

Właściwe *Claustrum* przytyka do ściany południowej kościoła, opasując w koło środkowy krużganek. Ostatni, mimo późniejszych dodatków i ruiny, zachował sam jeden charakterystyczne cechy XIII w., które w reszcie gmachów w XVII w. zostały zniszczone. Osobno wznosi się kapitularz, gmach wspaniały, piętrowy, z dolną salą kwadratową, wspartą na jednej środkowej kolumnie, o fазie atyckiej, krótkim trzonie i bogatym kapitelu koszykowego kształtu, otoczonym liśćmi akantu. Pomędzy wspartemi na filarach, zamurowanemi arkadami kapitularza znajdują się małe, nieoszlone, trzema kolumnenkami rozdzielona przezrocza (okienka bez szkiele), przez które zgromadzeni na naradę ojcowie mogli widzieć czekających na zewnątrz braci lub w danym razie zasięgnąć ich zdania. Na ścianach zostały słabe ślady polychromicznego malowania czerwoną i czarną farbą, którą zapewne przy uważnem badaniu dałoby się i w innych częściach opactwa, zwłaszcza zaś na krużgankach odszukać.

Do tej samej mniej więcej epoki co opactwo sulejowskie, należy kościół parafialny w Kościelcu pod Krakowem, noszący na sobie charakter iwonowskich budowli w połączeniu z powinowactwem do kościołów Cystersów. Ornamentacya wyłącznie roślinna, równie jak w Sulejowie, zaczyna naśladować naturę, z szczegółów architektonicznych ciekawe są triforye i portal.

Wcześniejsze zdają się być trzy granitowe kościoły wielkopolskie — w Kruświcy, Kościelcu

i Mogilnie. Pierwszy prawdopodobnie fundacyi Mieczysława II, który wiele kościołów fundował i nawet obce wyposażał (jak św. Michała w Bambergu, gdzie za jego pieniądze wzniesiono 24 posągi świętych). Mimo niezbyt właściwej restauracyi 1860 r. w gotyckim stylu, budowa zakończona pięciu półkolistymi absydami robi wspaniałe wrażenie romańskiej bazyliki. Z kilku wejść do kościoła, jedno tylko od strony południowej tworzy romański portal — inne są tylko framugami. Na jednej ze sztuk granitu u podstawy dawniej wieży południowej zachował się znak, przedstawiający dwie prostokątne S na krzyż splecione, jest to zapewne albo monogram architekta, albo jeden z owych tajemniczych znaków aryjskiego szczepu, które swastiką zwie archeologia. Kościoły w Kościelcu pod Inowrocławiem i Mogilnie odnoszą się zapewne do XII w. Pierwszy tylko absydą przypomina styl romański, drugi ma typ bazyliki, nie krzyżowej jednak formy, kończy się zaś również absydą. Do tych trzech zbliża się jeszcze kościółek św. Jana Jerozolimskiego w Poznaniu, odnoszący się do początku XIII w., z romańskimi oknami, śladami dawniej absydy, portalem ozdobionym dwoma kolumneczkami i skromną facyatą o jednym oknie, obwarowaną szkarpami, które też przystawiono przy przebudowaniu gotyckiego sklepienia w XVI w.

Najciekawszą jednak ze wszystkich jest dawna kolegiata Łęczycka, będąca dziś parafialnym kościołem we wsi Tumie.

Zwyczajem w wiekach średnich rozpowszechnionym, wznosi się ona wśród książęcego zamku, istniejącego opodal od miasta, podobnie jak katedry w Krakowie, Poznaniu, Gnieźnie i Płocku, niemniej jak ruskie i moskiewskie sobory wśród Kremlów (Moskwa, Nowogród, Smoleńsk i Kijów). Istnienie zamku zapisuje Gallus pod rokiem 1107; w roku 1136 bulla Inocencjusza II osadza

tam zakonników, którzy później zdają się ustępować miejsca kolegiacie, istniejącej tu aż do r. 1819.

Kościół poświęcony w r. 1161 w obecności Kaźmirza Sprawiedliwego, Henryka Sandomierskiego i Bolesława Kędzierzawego, kilkakrotnie przez Litwinów w czasie ich najazdów palony i łupiony (najgorzej w r. 1293 i 1304), pali się znów w r. 1473, poczem restaurowany w końcu wieku, ozdabiany kilkakrotnie dodatkami baroko, ostatecznie w r. 1785 oszpecony restauracją Biskupa Sołtyka, Scholastyka Łęczyckiego, którego kosztem podniesiono wieże, dano trzcinowy sufit i nowe ołtarze — obecnie parafialny po skasowaniu kapituły bullą Piusa VII, grozi zniszczeniem i upadkiem. Z 21 synodów, jakie się w nim odbyły, najpierwszy — i najznakomistszy był ów z r. 1180, w którym Biskupi stanęli w obec ogólnego nieładu, na czele narodu i szeregiem ustaw określili jego wzajemny z książętami stosunek, ostatni nosi datę 1547 r. Plan kościoła niezwyčajny i skomplikowany, różni się od podobnych gmachów tego czasu i wieku mimo ogólnej formy bazylikowej. Podłużną budowę kończą od strony wielkiego ołtarza trzy absydy, dwie inne tworzą ramiona krzyża poprzecznego, szósta wreszcie największa zamyka frontową ścianę, mając po obu stronach wyniosłe wieże. Ostatnia ta absyda, będąca razem emporą, tworzyła zapewne lożę książęcą i komunikowała się z sąsiednim zamkiem, podczas gdy wejście do kościoła było z boku, zaś w czasach późniejszych służyła za kapitułarz. Podobnie jak w Sulejowie kościół pierwotnie był tylko dla duchownych dostępny, zdaje się, że od XV w. dopiero otwarto go dla świeckich i odpowiednio przerobiono, wydłużając część kapłańską, dodając kaplice boczne i zakrystye. Dwoma rzędami filarów dzieli się kościół na trzy nawy: dwie boczne, niższe mają ślady piętra nad sobą, które jednak

nie tworzyło empor (tj. górnych na kościół wychodzących galeryi czy kapliczek), ale pozbawione z kościołem komunikacji zdawały się służyć za ochronę przeciw pociskom w razie oblężenia zamku lub za dormitorya w czasie synodów dla tych, których klasztor nie mógł pomieścić. Wieże 5-piętrowe 4-rościenne z dorobionemi za ks. Sołtyka szczytami, poprzecinane są strzelnicami i przezroczami, które na 4 piętrze rozdzielone są jedną kolumną, na 5 dwoma. W końcu naw bocznych wznoszą się baszty; z boku zaś wspinały portal, w którego bogatej, choć mocno uszkodzonej ornamentacyi spotykamy po raz pierwszy bestiarye, to jest rzeźby zwierzęce. Tworzą go dwie pary kolumn, z których skrajne mają w kapitelach jakieś klasyczne reminiscencye w mniejszych ozdobach i korynckich liściach akantu, na których się wspiera romański *abakus*; wewnętrzne zaś mają zamiast kapitelu z jednej strony ptaka z rozpostartemi skrzydłami, z drugiej dwie spinające się kozy o jednej głowie. W górze nad wejściem podwójnym pasem w półkole idą bogate roślinne i zwierzęce ozdoby, które jednak wskutek zniszczenia w części tylko i niewyraźnie dają się rozpoznać.

P. Maryan Sokołowski w opisie dwóch obrazów Trójcy o trzech twarzach dał nader ciekawy przyczynek do dziejów łacińskiego wpływu na ruską cerkiew i ruską sztukę. Oba obrazki, pochodzące z unickich cerkiewek w Przemyskiem, przedstawiają jedną ludzką postać o trzech twarzach na jednej głowie, na jednym z nich ozdobionej arcybiskupią mitrą i okrągłym nimbem, na drugim kwadratowym nimbem. Nimb ten dla swęj rzadkości ciekawy jest symbolem ziemi i życia w średniowiecznych pojęciach, podobnie jak pierwszy oznacza niebo i wieczność. Umieszczając swój promienisty kwadrat nad głową Trójcy, podobnie jak w swęj *Dyspucie* Rafael nad głową Boga

Ojca, artysta wiejski chciał obrazowo wyrazić myśl Boga żywego. Ręce postaci w obu obrazach trzymają na wstęgach zawieszone i wstęgami między sobą połączone cztery tarcze, ze słowiańskimi imionami dwóch pierwszych osób Trójcy św. na narożnych górnych, trzeciej osoby na dolnej i imieniem Boga na środkowej. To symboliczne przedstawienie Trójcy św. z uwydatnieniem katolickiego *fili o que* nie jest jedynym dowodem zachodniego wpływu, który obrazki wytworzył. Kościół wschodni ze swymi abstrakcyjnymi w ciasnych i niewzruszonych ramach zamkniętymi formami, nie znosi takiego uplastyczniania dogmatu i oprócz jednego fresku w kaplicy św. Grzegorza na górze *Athos*, oraz kilku obrazów, zabranych z rozkolniczych zborów do moskiewskiego muzeum, wizerunki Trójcy o 3 twarzach w sztuce wschodniej nie spotykają się nigdy i uważane są za heretyckie. Na zachodzie za to spotyka je się często, jako uosobienie antropomorficzne lub geometryczny symbol. Po ustaniu obawy politeistycznej reakcyi i wyrodzonej nawróceniami północnymi konieczności zrozumiałego, materialnego przedstawiania dogmatu barbarzyńskim ludom, widzimy te przedstawienia absolutnej jedności w potrójnej ludzkiej postaci z początku w trzech oddzielnych obok siebie stojących postaciach, później w ich stopniowym i luźnym łączeniu w jedno w miniaturach hiszpańskich i włoskich; czasem w dwóch głowach oddzielnych Ojca i Syna, za któremi domyślać się można trzeciej Ducha św., — w miniaturze kroniki Izydora z Sewilli z XIII wieku; później wreszcie w trzech stale już z sobą zrosniętych głowach na włoskich rysunkach XIV i XV w. Częściej daleko niż na południu spotykamy te przedstawienia w sztuce monumentalnej we Francyi. Zdaje się, jakby duch pogański w czasach największego oddalenia od klasycznych tradycyi, chciał je na nowo jak senne widziadła przesuwać przed oczami kamieniarzy,

malarzy i rzeźbiarzy, zmieniając dwutwarzowego Janusa na Bożką Trójcę chrześcijańską, która często staje się jak pogański pierwowzór, połączeniem przeszłości i przyszłości, z dodatkiem nieznanéj dawniej terażniejszości w środku. W przeciwieństwie do Boga, najwyższego dobra, spotykamy często przeciwną trójcę szatańską, przedstawiającą ujemną tych samych władz ostateczność. Nad reminiscencyami pogańskimi jednak góruje kierunek chrześcijański, który artystyczne kreacje zmienia stopniowo w ściśle religijny, mistyczny symbol, wyrażający się ostatecznie w trzech odpowiadających 3 osobom kołach złączonych między sobą prostymi liniami w trójkąt w środku którego mniejsze kółko z napisem Deus oddzielnymi liniami w kształcie V łączy się z trzema innymi kołami. Jakkolwiek z czasem przez Kościół potępione (bullę Urbana VIII w r. 1628) symboliczne te przedstawienia rozeszły się szeroko po świecie, zostały swe ślady w południowych prowincjach Anglii i w zeszłym wieku jeszcze były czczone w Niemczech. Na Ruś przeszły one jako narzędzie zachodniej propagandy, a przynajmniej jako owoc zachodniego wpływu ze zmianami odpowiadającymi wschodniemu obrządkowi i zastąpieniem arcybiskupią mitrą tyary papieżkiej, korony cesarskiej lub królewskiej, jakimi wieńczono głowę Trójcy św. we Włoszech, Niemczech i Francji.

O Ewangeliarzu z XI w., jednym z najszacowniejszych zabytków, będących w posiadaniu kapituły krakowskiej, podał krótką, ale wyczerpującą wiadomość prof. Szujski. Ewangeliarz ten, pochodzący z dawnego opactwa św. Emmerana w Ratysbonie, pisany italicem, używanym w X i XI w., ozdobiony jest na wstępie postacią cesarza siedzącego na krzyżowém krześle z trójgranną koroną na głowie wśród kolorowych firanek; na następnych 150 stronach doskonale zachowanego rękopisu mieszczą się postacie świętych, królów,

opatów, malowane żywemi barwami, między niemi zaś, wśród ozdobnych ram i romańskich kolumn z kapitelami z głów lwich i muszli pismo piękne, wyraźne, ze złotemi na zieloném inicyałami. Każdą ewangelią rozpoczyna postać odnośnego ewangelisty. Miniatury mają zostać wydane z objaśnieniami pp. Woltmana i Riegera przez centralną komisją hist. sztuki w Wiedniu, w której sprawozdaniach prof. Szujski poprzednio już zamieścił wzmiankę o Ewangeliarzu. (Tom III, zeszyt 3 1877 r.)

Pamiętając jak niezmierną zasługę dla historyi przyniosły swojego czasu Rachunki dworu Jadwigi i Jagiełły, wydane przez Al. Przeździeckiego, musimy z prawdziwą wdzięcznością przyjąć przytoczone z odpowiednim komentarzem przez p. Pawła Popiela wyjątki z Rachunków Seweryna Bonera, odnoszących się do czynności artystycznych, wykonywanych na dworze Zygmunta I w r. 1524 i 25. Czasy to największej świetności i blasku, mimo zaczynającego się już rozkładu, osłabienia rządu z anarchii szlacheckiej, mającej doprowadzić do wojny kokoszěj. Wówczas to Bartłomiej Berecci z Florencyi ze swemi siedmiu włoskiemi pomocnikami pracował nad tą przedziwną kaplicą Zygmuntofską, będącą najpiękniejszym dziełem odrodzenia z tej strony Alp, wówczas Jan Beheim odlewał dzwon Zygmuntofski i artystyczne zdobione działa; Kraków, jako stolica i cały kraj zaczynały się zapełniać pomnikami sztuki, w których roznoszeniu i zdobieniu panująca dynastia przodowała i dawała innym przykład. O robotach tych ciągle u Bonera spotykamy wzmianki: tak o przepysznym renesansowym baldachimie z marmuru i o żelaznej kracie, dorobionym przez Kaspra ślusarza do wcześniejszego sarkofagu Władysława Jagiełły, noszącego jeszcze przejściową, nieledwie średniowieczną cechę; tak o nowém sercu do Zygmuntofskiego dzwonu odkutém przez Wita z Kleparza; o przelanym na nowo z rozkazu króla

krzyżu złotym kapituły krakowskiej, z sumiennem obrachowaniem ilości złota i kamieni. Znaczną także rubrykę stanowią podróże królewskie, zakupna materji na podarki dla panów i posłów, a nawet i książąt obcych; opłata polskich wysłańców za granicę za pośrednictwem ówczesnych Rotszylców — Fuggerów, których agent Hegel przebywał w Krakowie; koszta kurjerów, których mnóstwo krąży nieustannie, utrzymując polityczną korespondencyą z europejskimi dworami, a zarazem przywożąc na dworskie potrzeby wina, owoce i bakalje. albo też drogie sprawunki, jak n. p. 16 sztuk Adrasów, wynoszących razem na długość i szerokość 200 łokci flandryjskich, które to jednak cenne nabytki zapewne musiała król. Bona zabrać z sobą do Baru, bo ich później nigdzie nie odnaleziono w kraju.

Wielkie się podówczas odbywały roboty na zamku krakowskim — trudnił się niemi Marcin Sokołowski, pod którego kierunkiem odnawiano gmachy, złocono galki na wieżach i pokrywano zamek kolorowanemi dachówkami. Najwięcej jednak pracowano około zygmuntofskiej kaplicy. W roku 1525 widzimy już podniesione mury, odmalowany wzór do kraty, którą miał odlać ludwisarz królewski mistrz Serwacy z miedzi czerwonej z dodatkiem niezbędnej tylko ilości cyny, aby materya była wyborna, piękna jak spiż a pociągnięta brązowym kolorem. Pokrycie miedziane w kształcie dachówek przygotowywał już Bartłomiej, a szkło weneckie do okien i latarni były już gotowe. Bania dostarczona przez Szymona kotlarza, przykrywa kopułę. Sprowadzają marmury na wykucie stali królewskiej i dwunastu figur. Mistrz Bartłomiej ze swymi robotnikami odlewa, wedle lepionych przez siebie woskowych modeli, koronę, krzyż i anioła, mającego stanąć u szczytu. I tak zbliża się do ukończenia arcydzieła, któremu równego p. Paweł Popiel nie widzi nawet we

Włoszech. „Są tam, powiada, większe, nieskończone kosztowniejsze albo przechowujące arcydzieła, jak Pensoroso we Florencyi; malowania, jak Perugia w kaplicach S. Maria del Popolo w Rzymie; rzeźby jak św. Antoniego w Padwie; ale kaplicy pod względem harmonii linii, prostoty pomysłu, różnaitości a jednolitego smaku w ozdobach, nie znam drugiej. Kto wejdzie a rozpatrzy się okiem wprawném, nie wie, czy duża czy mała, tak są dziwne proporce — wyobraźnia może zwiększyć lub pomniejszyć do nieskończoności. Silne, wyniosłe, a ożywione roślinnemi i zwierzęcemi ozdobami ściany, których posągi i rzeźby kończą się wyniosłą a nad wszelki wyraz kształtną kopułą... Prawdziwy znawca upatrzy tu najczystszy i najświeższy renesans w swym kwiecie; już się on wydobył z reminiscencyi gotycko-romantycznych; ani śladu bizantyjskich wpływów, a szczęściem nie ma i tój trzeźwości którą Palladio wprowadził.“ Wyprowadza z tego, p. Popiel wniosek, że Bartłomiej Berecci był uczniem Bramantego i że kaplica powstała wyłącznie pod wpływem włoskim bez żadnej przymieszki niemieckiego współczesnego odrodzenia. Co do kraty, mimo jęj rysunku przybyłego ze Strygonium i wbrew zdaniu prof. Łuszczkiewicza, p. Popiel utrzymuje, że i ona wolną jest od niemieckich wpływów i tylko włoskiego odrodzenia nosi znamiona, jakkolwiek nie jest wiadomém, do jakiej narodowości należał odlewający ją mistrz Serwacy.

Akademia przygotowuje się obecnie do historyczno-archeologicznego kongresu, mającego się odbyć w 400tą rocznicę śmierci Długosza. Dla uniknięcia możliwych zajść i nieporozumień, zaproszeń osobnych nie będzie, — będą tylko rozesłane do ciał naukowych sąsiednich krajów ze strony uczonych krakowskich zawiadomienia o ob-

chodzie. W komisjach, na jakie się kongres rozdzieli, będą poruszane ważniejsze sporne kwestye z dziedziny historyi polskiej, archeologii i historyi sztuki: między innymi słyszeliśmy, że p. Jan Sadowski, znakomity autor „Dróg handlowych dawniej Słowiańszczyzny“, przygotowuje referat o wnioskach etnograficznych, jakie wyprowadzać można z zabytków sztuki przedchrześcijańskiej w Słowiańszczyźnie co do powinowactwa plemion zamieszkujących ją dawniej i teraz; profesor Łuszczkiewicz wyjaśni, o ile szkarpy mogą być uważane za właściwość wiślano-baltyckiego stylu; dr. Sokołowski wzięł na siebie rozwiązanie kilku zagadnień z zakresu historyi sztuki.

Przed uroczystością naukową odbędzie się kościelna — nabożeństwo na Skałce i złożenie zwłok Długosza do nowego sarkofagu w dolnym kościele, mającym się stać z czasem, jak już dawniej o tém wspominałem, panteonem naszych znakomitości narodowych.

Czy najznakomitszego i największego zwłoki w nim spoczną? Kwestya ta, którą ze wszystkich pism polskich pierwsi podnieśliście, jest obecnie tutaj na porządku dziennym, a jeśli jej urzeczywistnienie nie może być ani prędkiem ani nawet pewnem, to przynajmniej można mieć nadzieję, że z czasem trudności zostaną przewyciężone i oprócz pomnika Mickiewicza, Kraków mieć będzie także jego trumnę. Zapewne, że na jedno i drugie trzeba będzie lata całe czekać: po gorączkowej ofiarności pierwszych chwil uniesienia i zapału, składki na pomnik płyną bardzo skąpo; że zaś na brązową statwę potrzeba około 60,000 zlr., niektórzy niecierpliwci proponują wzniesienie pomnika z krajowego marmuru lub piaskowca, coby oczywiście ledwie trzecią część w. w. kwoty wyniosło i na co z małym dodatkiem zebrane fundusze wystarczyłyby. Czy jednak taka oszczędność i niecierpliwłość może być usprawiedliwioną, zwłaszcza

w tym wypadku? bardzo wątpię. Nie mówiąc już o pomnikach sztuki średniowiecznej, na które składały się wieki, ani o dziełach odrodzenia, będących często owocem długoletniej pracy największych artystów, ale w naszych nawet czasach dzieło sztuki powstać nie może za dotknięciem różeczki czarodziejskiej, choćby to była różeczka krakowskiego burmistrza, a przytém trwałość jego powinna być obrachowaną nie na jedno tylko pokolenie. Uwagi o braku pieniędzy, o głodzie na Ślązku i biedzie w Galicyi choć bardzo słuszne w zasadzie, mogą jednak co najwięcej opóźnić wypełnienie narodowego obowiązku, ale nie uwolnić od niego, równie jak nie uwalniają od obowiązków względem państwa i względem kraju. Dość dziwną także jest myśl podniesiona, jeśli się nie mylimy, w jednym z tygodniowych pisemek poznańskich, znanem z ekscentryczności swych poglądów, — użycia pieniędzy zebranych i zebrać się mających na tanie wydawanie dzieł*) i stypendya imienia Mickiewicza. Jakkolwiek ten utylitarny sposób zapatrywania się w innych pismach nie znalazł echa, zbyt często z nim spotkać się można u publiczności, żeby go wolno było pomijać milczeniem. Nie mówiąc o tém, co by wogóle stało się ze sztuką, gdyby zawsze tak myślano; nie mówiąc, że westchnienie na rzecz drugich, czy dobry uczynek na czyjąś intencją nie jest wcale wyrazem jasnym, widomym czci publicznej, jakim się przedstawia pomnik — ale zwykle sprowadzanie takich kwestyi na inne tory mija celu i ani w teoryi ani w praktyce nie przynosi korzyści. Pamiętajmy, że gdy w roku 1875 umarł Libelt, na całej ziemi polskiej, nawet w Warszawie (w Kłosach Nr. 536 i w innych pismach)

*) Nawiasem mówiąc tanie edycje Konrada, Działów, Pana Tadeusza (Gebethnera) już istnieją, o czem korespondent Warty zdaje się nie wiedzieć, a cena ogólnego paryżkiego wydania jest bardzo przystępną.

wołano o pomnik ze składek na uczczenie jego pamięci. Składki się zaczęły i poszły dobrze, tak że już roztrząsano projekta, jaki pomnik ma być i gdzie stanie — w Krakowie, Lwowie, Gnieźnie czy Poznaniu. Nagle jak bomba wpadła myśl podobna jak ta przeciw pomnikowi Mickiewicza i w Wielkopolsce, mimo przeciwnych głosów z innych dzielnic, postanowiono na stypendyum obrócić składki. Te się rozdwoiły a wreszcie znikły, tak że dziś godzi się zapytać ile zebrano? co się z tém stało?*) i czy przeznaczeniem tej sprawy jest utonąć w zapomnieniu, dla tego, że ją z właściwej drogi zepchnięto? Imię Libelta wiąże się z pomnikiem Mickiewicza tem ściślej, że myśl składek na pomnik pierwszy podniósł znakomity wielkopolski myśliciel na uczcie wydanej dla niego we Lwowie w r. 1869.

Żeby z pomnikiem skończyć, zaznaczamy niedawno powstałą a przez bardzo poważne i wpływowe osoby popieraną myśl postawienia go nie w Rynku naprzeciw Szewskiej ulicy, jak dotychczas było w zasadzie postanowione, ale na osobnym placu, któryby nosił nazwisko poety. Proponują plac Szczepański, nie wielką uliczką złączony z Rynkiem, a przeciwną stroną wychodzący na plantacye. Po usunięciu z niego targu i zrobieniu w środku skweru, stanowiłby on w istocie odpowiednie ramy do pomnika, niż Rynek. Z tym ostatnim wiążą się tak wielkie historyczne wspomnienia, że nawet postać największego poety mogłaby w obec nich zmaleć i nie mieć odpowiedniego sobie pierwszorzędnego znaczenia. Między Sukiennicami a Maryackim kościołem, dawnym ratuszem i Krzysztoforami mógłby stać spokojnie jeden tylko Kazimirz Wielki — tego jednego nie przygniotłoby bogactwo wspomnień i pamiątek

*) Sprawę tę wyjaśniono na ostatniem walnem zebraniu Tow. Pom. Naukowej. Zob. sprawozdanie w Kurjerze z dnia 19 bież. miesiąca.

dokoła. Mickiewiczowi należy się plac osobny, w którymby królował bez podziału, i z tego względu projekt zdaje mi się całkiem być usprawiedliwionym. Z drugiej strony przemawia za nim i to, że w obec niemożności nadania mu rozmiarów odpowiednich wielkości Rynku, pomnik będzie niewątpliwie daleko lepsze i korzystniejsze robił wrażenie wśród mniejszego placu.

Nowości literackich nie wiele. Z obowiązku kronikarskiego zaznaczamy porównanie Pana Tadeusza z Hermanem i Dorotą, przez p. Pechnika, podobno kandydata na docenta niemieckiej literatury, której wykład ma wkrótce zostać przerwany przez ks. dr. Bratranka, ustępującego po 30-letniej świetnej i pełnej zasług działalności. Hr. Stanisław Mieroszewski wydał broszurę większych rozmiarów: „O socyalizmie i reakcyi,“ odznaczającą się zwykłymi cechami jego pióra, ogólną tendencją zdrową i poważną, w połączeniu z ekscentrycznemi wyskokami w szczegółach, z lekkim, dyletanckim traktowaniem przedmiotu i dość częstym naginaniem faktów i zjawisk historycznych do pewnych z góry zakreślonych założeń. Do przekładów wielkich mistrzów starożytnych, w które literatura nasza niezbyt obfituje, przybyły świeżo w dwóch książkach Platona *Gorgias*, *Laches*, *Apolo* *logia* i *Kryton*, spolszczone przez p. Stanisława Siedleckiego. Nie mieliśmy sposobności dotąd się z przekładami temi zapoznać, w każdym razie jednak cieszą nas one, jak każdy nowy objaw życia na pięknej a tak dziś u nas lekceważonej niwie klasycznych studyów, i mamy nadzieję, że w ich tłumaczu pp. Węclewski i Bronikowski znajdą zdolnego naśladowcę. Po śp. Wróblewskim (Koronowiczu) pozostałe w rękopiśmie dokończenie jego „Słowa dziejów polskich.“ przywiezione tu przez rodzinę, dotąd oczekuje nakładcy.

Po liście otwartym margr. Zygmunta Wielopolskiego do prof. Tarnowskiego ukazała się zna-

cznie obszerniejsza, na książkę zakrawająca odpowiedź samego autora na recenzją biografii margrabiego Aleksandra, zamieszczoną w Przeglądzie Polskim. Odpowiedź, pod tytułem: *Domowe sprawy*, napisana ze zwykłą u p. Lisickiego łatwością stylu i żywym, barwnym nastrojem, stara się punkt za punktem odeprzeć zarzuty p. Tarnowskiego, streszczając w ogólnych rysach wszystkie sporne kwestye 4 tomów dzieła, zaczawszy od ostatniego — „Przyczyny powstania z 1830 roku“ — i przechodząc dalej działalność margrabiego w szeregu rozdziałów o stosunku emigracyi do kraju i do margrabiego, o Towarzystwie rólniczém i kwestyi włościańskiej, o stosunkach kościelnych i sprawie nuncyatury. Te same zalety i wady, jakie się spotyka w biografii, powtarzają się w odpowiedzi na jej recenzją. Sąd poważny, trzeźwy, na dokumentach i sumienném badaniu oparty; krytyka historyczna, przypominająca anatomiczną sekcją; wstręt do rewolucyi, wyrażający dziwnego rodzaju legitymizm, na żadnej prawej ani nawet prawnej zasadzie nie oparty i doprowadzający fatalnie do zaprzeczenia prawa do bytu i odrębności politycznej własnemu narodowi. Pan Lisicki wychodzi z tej samej zasady, którą podniosła tak wysoko krakowska szkoła historyczna i której też trzymał się zawsze jego recenzent; tylko podczas gdy pan Szujski i jego naśladowcy odkrywają i potępiają winy i błędy przeszłości dla tego tylko, żeby od nich przyszłość ochronić i na zdrowych i trwałych wznieść ją podstawach — p. Lisicki szuka w niej materiału do utworzenia aktu oskarżenia. Gdy ks. Kalinka w swoim wstępie do *Dziejów Stanisława Augusta* zrywa świetną aureolę, otaczającą dotąd jedną z najpoetyczniejszych kart naszej historyi, gdy autorowie *Teki Stańczyka* nazywają samobójstwem rozpaczliwe wysiłki w walce o wolność — lekarstwo jest gorzkie i bolesne, ale odbierając nam niepotrzebne złudzenia i marne

nadzieje, zostawia nietkniętą wiarę i miłość dla tego, że ją mieli sami lekarze. U p. Lisickiego lekarstwo podobne jest bardzo do trucizny, a jakkolwiek zarzuty jego są najczęściej słuszne, to z drugiej strony podnoszenie stałe i uniewinianie z zamiarem tych, którzy byli największymi sprawcami naszych nieszczęść, robienie z władz rosyjskich niewinnie cierpiącej ofiary, odbiera wszystkiemu, co z pod pióra p. Lisickiego wychodzi, cechę bezstronności. Przechodząc z ogólnego kierunku broszury (wspólnego z biografią) do szczegółów, zarzucić trzeba przedewszystkiém p. Lisickiemu ton, dla tak poważnego autora niewłaściwie polemiczny, zjadliwie ostry, nie cofający się nawet przed osobistą napaścią w przeciwieństwie do umiarkowania i powagi, cechującej pióro jego recenzenta. Ustępy takie jak ów, że „kiedy już nikt do mów p. Tarnowskiego zaglądać nie będzie, to do mojej książki jeszcze zajrzy każdy, co o tej epoce i o margrabim oświecić się zechce,“ a zajrzy, „bo w niej sama prawda“ (str. 7., nie dodadzą z pewnością argumentu przeciw p. Tarnowskiemu, i gdyby nawet były słuszne, dowodziłyby zawsze wielkiej niezręczności ze strony autora.

Nie wdając się zaś w kwestyą, czy zarzuty przeciw p. Tarnowskiemu są słuszne i czy książka p. Lisickiego jest rzeczywiście tak nieomylną i doskonałą, za jaką ją ma autor, żałować trzeba w każdym razie że, jeśli już obrona koniecznie była potrzebną, autor nie chciał jej do właściwych karbów ograniczyć i ściśle przedmiotowy kierunek jej nadać.

O „ubiorach w Polsce i u sąsiadów“ p. Eljasza pomówimy obszerniej później, jakkolwiek bowiem dzieło to wiele ma błędów i w części tylko zadaniu odpowiada, przedmiot sam zasługuje na to, żeby zwrócić na nie uwagę. Z innych objawów ruchu artystycznego zaznaczamy wprawienie w ścianę kościoła OO. Franciszkanów, po lewój

stronie W. ołtarza, grobowego kamienia Bolesława Wstydlwego. Pomnik robiony przez p. Stehlika, składa się z płaskorzeźby, przedstawiającej księcia i otoczonej do koła napisem (Illustris princeps Boleslaus dux Cracoviae et Sandomir. † Anno Dni MCCLXXIX, VIII D. Decem. obiit), a odznacza się staranném wykonaniem i dobrym smakiem. Jeszcze w roku 1861 prof. Łepkowski zaprojektował w Towarzystwie naukowém krakowskiém utworzenie komisji, mającej zbadać autentyczność zwłok i dawnego monumentu. W komisji tej czynnym był szczególnie Al. Przeździecki, który zaprzeczał ich autentyczności, ile że kamień grobowy zdaje się pochodzić z wieku XV, gdy data † Bolesława Wstydlwego przypada na rok 1280; zaś w grobie znaleziono zamiast jednego, trzy szkielety. Po Przeździeckim przewodnictwo w komisji objął książę Jerzy Lubomirski, który wraz z ówczesnym konserwatorem i prof. Łuszczkiewiczem kości znajdujące się w grobie w r. 1869 opieczętował. Po kilkakrotném nieudaném odżywianiu komitetu, sprawa została ostatecznie podjętą przez akademią za staraniem prof. Łepkowskiego (który na ten cel 300 złr. przywiózł z Wielkopolski), i wedle rysunku z pieczęci Matejki pomnik został nareście wykonany. U OO. Dominikanów oglądaliśmy rzeźby i posągi drewniane, przygotowujące się dla ozdoby w. ołtarza. Są one wyjątkowo robione przez świeckiego artystę, p. Wita Wisza, który z talentem naśladuje Stwosza i umie nadawać swoim rzeźbom siłę i surową powagę postaci maryackiego tryptyku.

Na przygotowującą się wentę w Sukiennicach, która, nawiasem mówiąc, znajduje trochę więcej reklamy, niż przystałoby dla uczynku miłosierdzia, nadesłali wszyscy prawie więksi artyści nasi małe szkice jako fanty. Siemiradzkiego nie wielki olejny obrazek, z lekka tylko narzucony, przedstawia grecką kobietę przy studni; Kossak dał ładną

głowę męzką, charakterystycznie przedstawioną na holenderski sposób; Matejko — Kościeleckiego i Betmana, spuszcających się na sznurze do palącego się szybu, dla ratowania górników: szkic uderzający siłą pędzla, energią wyrazu twarzy i żywością barw.

W przyszłym miesiącu ma tu nadejść Siemiradzkiego *Taniec wśród mieczów*, który w wiedeńskim kunstvercinie wzbudzał największy podziw i jednomyślnie przez krytyków uznany został za najpiękniejszy z wystawionych obrazów. Jakkolwiek jest to tylko rodzajowy obraz na klasycznym tle, charakteryzuje on jednak tak dobrze dzisiejszy kierunek artystyczny swego twórcy, a w głównej postaci tak świetne świadectwo daje jego talentowi i poczuciu piękna, że będziemy się starali poświęcić mu obszerniejszą ocenę w jednym z następnych listów, łącząc z tem przegląd ruchu artystycznego, jaki tu w ostatnich czasach żywiej niż dotąd się rozwinął.

VI.

(Zakończenie cyklu odczytów „O odrodzeniu.“ — Serium czteroletni, ks. Waleryana Kalinki. — Wydawnictwa Akademii. — Diversarum artium schedula, Terfila Mnicha. — Legenda o S. Jadwidze. — Naukowe poszukiwania w Haliczu. — Nowe książki. — Pius IX i jego wiek, ks. dr. Pelczara. — Prawda i błąd. — Nowe wydanie Naśladowania. — Bezimienne przezy (Iwar. Partya szachów.) — Smok siarczysty, Kornela Ujejskiego. — „Heimgebrachtes“, prof. Bratranka. — OO. Jezuiti we Lwowie, ks. Stanisława Załęskiego. — Kilka uwag nad książką ks. dr. Pelesza przez tegoż. — Broszury treści ekonomicznej: Rozkład stosunków społeczno - ekonomicznych, Nieurodzaj i głód w Galicyi w r. 1879—80, Przyczyny upadku materialnego ludu wiejskiego w Galicyi, Środki zaradzenia nędzy stanu włościańskiego w Galicyi, Pogadanki o powszednim chlebie.)

Niezależne od naszej woli okoliczności opóźniły list ten i wskutek tego uczyniły nam uiszczenie się z obietnicy szczegółowego sprawozdania z cyklu odczytów tutejszych niemożliwem. Zaznaczamy tylko, że jeśli pomysł tych ostatnich był bardzo szczęśliwym, to wykonanie przeszło wszelkie oczekiwania. Głębokość poglądów, piękność i bogactwo myśli, jasność wykładu łączyły się u wszystkich prawie prelegentów na to, żeby ich odczyty zrobić niezwykle pociągającymi, nie mówiąc o ich doniosłości naukowej, na którą już przy ocenie odczytu prof. Morawskiego położyliśmy nacisk. Na czele postawić trzeba dwa odczyty prof. Szujskiego, który wspaniałą charakterystyką odrodzenia w ogóle i jego cech, wpływów i skutków u nas stworzył

przepyszny obraz historyi kultury w. XVI w pierwszej jego połowie, a śmiałym wystąpieniem przeciwko pogańskiemu pierwiastkom humanitaryzmu i podniesieniem wysoko chrześcijańskiej wiedzy i chrześcijańskiej sztuki wznosił się po nad zwykłych historyzofów i oklepane sądy naszej epoki. Z prawdziwym talentem i w wykwintnej formie prof. Bobrzyński w trzech odczytach o literaturze politycznej XV i XVI w. wypowiedział znane już z jego książki historyzoficzne poglądy, a przeciwstawiając Długoszowi Ostroroga, na tym ostatnim skupia wszystkie promienie światła, uważając go za najpiękniejszy wyraz postępu i umysłowego rozwoju epoki dla tego, bo przedstawiał najwyższe spotęgowanie idei państwowej i monarchicznej. Młody botanik, prof. Rostański, uwzględniał może za nadto cokolwiek pleć piękną w dwóch wykładach o rozwoju nauk przyrodniczych starając się często, zbyt wyłącznie o poetyczny wdzięk i retoryczne kwiaty; pominiawszy jednak niezbyt szczęśliwe wycieczki żartobliwe przeciw średniowiecznej scholastyce, o której widocznie bardzo niejasne miał wyobrażenie, kładąc na karb S. Tomasza z Akwinu i jego uczniów dyalektyczne wybryki spóźnionych franciszkańskich naśladowców „subtelny doktor“ — odczyty jego miały, wiele pięknych ustępów, zwłaszcza gdy mówił o Koperniku; bardzo trafnym i szczęśliwym było podniesienie wpływu Platona na polskiego uczonego, w którego teoriach astronomicznych odbiła się wyraźnie platońska idea doskonałego piękna i harmonii wszech świata, mająca dla całej sztuki i literatury odrodzenia tak szerokie znaczenie. Najmniej powodzenia ze wszystkich miały odczyty o sztuce odrodzenia w Polsce p. Maryana Sokołowskiego, który się ograniczył wyłącznie tylko opisem Zygmuntofskiej kaplicy i odtworzonego w dawniej swej postaci zamku na Wawelu, pomijając całkiem milczeniem wszystkie inne pomniki i zabytki tej epoki i tego stylu,

których przeszło półtora sta na ziemi naszej się znajduje. Takie zamki jak np. w Krasieczynie, takie kościoły, jak S. Piotra w Krakowie i N. Panny w Jarosławiu, takie kaplice jak Montelupich na Maryackiej wieży i S. Kazimierza w Wilnie, zasługiwały przecież, aby o nich choć słowo wspomnieć. Nie uwzględnił też prelegent ani czasów, poprzedzających odrodzenie, gdy Kraków miał silne i pracowite cechy malarskie i mularskie, a w murach jego kwitnął talent Stwosza; zapomniał wspomnieć o artystach współcześnie z Bartłomiejem Berecci z Włoch do Polski przybyłych, którzy jak Palladiusz i Bernardone, Poderini i Jan Maria Padovano zostawili piękne pomniki swej sztuki na ziemi naszej. Ignorując zupełnie mniej może wykwintny, ale niewątpliwie więcej od włoskiego rozpowszechniony wpływ niemiecki na naszą sztukę zaniedbał nawet o tak potężnej postaci, jak Hans ~~Sweß~~ von Kumbach, uczeń i przyjaciel Dürera, podziwiany przez każdego znawcę w kościele S. Floryana i NP. Maryi. Błędy te i opuszczenia zbyt ważne, żeby je wolno było wybaczyć, zredukowały odczyty p. Sokołowskiego do rzędu zwykłej dyletanckiej i powierzchownej próby. Świetnie za to wypadły trzy odczyty o poetach XVI wieku. Prof. Tarnowski mówił o swym ulubionym i najbardziej może wystudowanym przedmiocie, a jeżeli towarzysze jego zajmowali się poważną, naukową stroną polskiego odrodzenia, wymowny prelegent oświetlił jakby ogniem sztucznym jego strony lżejsze, bardziej dla ogółu rzucające się w oczy, a znana jego umiejętność w wywoływaniu efektów i działaniu na słuchaczy zręcznymi zwrotami oratorskimi i wykwintną dyalektyką, nadały jak zwykle niepospolity urok jego odczytom i zrobiły je pięknym zakończeniem wspaniałego cyklu, rozpoczętego przez p. Morawskiego.

Chcąc zdawać sprawę z najnowszych utworów literackich, jakie w ostatnich czasach pojawiły się

u nas, trudno nie wspomnieć choć słówka o książce księdza Kalinki, jakkolwiek niewątpliwie poświęćcie jej oddzielną obszerniejszą ocenę. Nie pamiętamy od dawna takiego zajęcia się poważnem dziełem, tak gorączkowego oczekiwania jego wyjścia z druku, takiego mnóstwa zdań o niem i sądów. Nigdy też może historyk nie dotykał drażliwszego i bardziej bolesnego przedmiotu i nigdy pewno nie uczynił tego z większą bezwzględnością i nie cofającą się przed niczem odwagą ani też z równem przywiązaniem do narodu, którego wady i grzechy nielitościwie musiał chłostać. Ks. Kalinka jest najpiękniejszym i najdoskonalszym wyrazem nowego kierunku historycznego, umie on połączyć prawdziwe i głębokie uczucie z sądem bezstronnym, spokojnym i niewzruszenie sprawiedliwym. Serce jego nie jest nigdy chłodnem, gdy mówi o losach swego kraju, ale umysł nigdy nie przestaje być trzeźwym a sumienność historyka nie pozwala mu poświęcać prawdy nawet najdroższym uczuciom i najświetniejszym wierzeniom. Gdy zdiera bezlitośnie idealne osłony, w jakie tak chętnie stroiliśmy naszą przeszłość, gdy strąca z piedestału postacie, które przywykliśmy uważać za bohaterów i niedościgłe wzory doskonałości, musimy czuć do niego żal mimowolny i nieprzewyciężony, przechodzi on jednak prędko, bo ten sam lekarz, co sondując ranę odżywił i boleśnie drasnął, podaje zaraz skuteczną radę i pomoc. Książkę jego czyta się z krwawiącym się sercem, jak akt oskarżenia przeciw drogom i bliskim; skończywszy, patrzy się na nią z wdzięcznością, jak na uzdrawiający lek. W obec wielu szkodliwych złudzeń i wielu wad, przejętych z przeszłości, a dotychczas niezmiernie silnych w naszym społeczeństwie, historia czteroletniego sejmu jest nie tylko niezmiernie ważnym i użytecznym obrazem przeszłości, ale też i nauką dla terażniejszości. Współczesne pokolenia powinny zastanowić się

nad nią i czerpać w niej wskazówki czego im potrzeba się nauczyć a o czem zapomnieć, a jeżeli z czasem wczorajsze i dzisiejsze grzechy staną się niepowrotnie minioném wspomnieniem, zasługa tego niewątpliwie spadnie w części przynajmniej na tych, co jak ksiądz Kalinka i jego duchowi towarzysze pierwsi je śmiało wykazali, piętnując niemi nie tylko dzisiejsze pokolenia, ale i te, co je poprzedziły.

Po Prusach królewskich p. Godfryda Ossowskiego, po korespondencyi Hozyusza i Archiwum zagraniczném do dziejów Jana III, dra Kaźmirza Waliszewskiego, do których to publikacyi będziemy mieli sposobność wrócić w następnych listach, Akademia umiejętności przygotowuje obecnie do druku dwa niezmiernie ważne i pożyteczne wydawnictwa komisji historii sztuki. Jednym jest znany traktat o malarstwie i szklarstwie XIII wieku mnicha Teofila (*Diversarum artium schedula*), tłómaczony i opatrzony odpowiedniami objaśnieniami i komentarzami przez członka komisji dra Teofila Żebrowskiego. Drugą jest legenda o św. Jadwidze, jeden z najcenniejszych średnio-wiecznych rękopisów, który w wielkim mnóstwie miniatur i kolorowanych rycin, dołączonych do tekstu a ilustrujących życie i cuda świętej, daje nadzwyczaj cenne wskazówki archeologiczne i historyczne i stanowi bogaty materiał do dziejów ówczesnej literatury. Przed 20 laty rękopis ten wyszedł we Wrocławiu we wspaniałém wydaniu in 4to, opatrzony wyczerpującemi objaśnieniami i kolorowanemi tablicami; obecnie p. senator Strończyński wygotował w mniejszych rozmiarach edycyą z fotodrukami, jego kosztem robionemi pod kierunkiem Akademii, i z objaśnieniami, w których dowodzi, że rękopis jest dziełem Polaka i wszystkie stroje, z nieznacznym wyjątkiem, są takie, jakie wówczas w ziemiach polskich noszono.

Prof. Łuszczkiewicz ogłosi wkrótce w sprawozdaniach komisji historii sztuki, której przewodniczy, owoce swoich poszukiwań naukowych w jesieni r. z. robionych w Haliczu. Zrobił on tam nader ciekawe odkrycie w romańskim kościółku śś. Stanisława i Pantaleona, należącym do Franciszkanów i o pół mili od miasta odległym — dawniej cerkwi N. Panny, leżącej w środku dawnego Halicza, który powoli w bok się oddalił. Wedle przypuszczenia prof. Łuszczkiewicza jest to ta sama cerkiew, w której ks. Salomea wraz z Kolomanem broniła się od Tatarów: ciekawą zaś jest niezmiernie z tego względu, że jest to pierwszy i zapewne jedyny zabytek romański w kościelném budownictwie wschodniego obrządku.

Równocześnie prawie ze znakomitým dziełem księcia Biskupa z Lublany, dr. Pogaczara, któremu krytyka niemiecka najwyższe pochwały oddaje za umiejętne zużytkowanie bogatego a nie każdemu dostępnego materiału, jakim dostojny autor rozporządzał, pojawił się pierwszy tom podobnej książki ks. dr. Pelczara, profesora Jagiellońskiej wszechnicy, p. t. Pius IX i jego wiek. Tytuł cokolwiek może za pretensjonalny nieharmonizuje z treścią, zajmującą się bardziej człowiekiem niż Papieżem i królem, a mniej jeszcze ogólną charakterystyką epoki. W pierwszym tomie (drugi opuści prasę w jesieni) autor przebiega żywot Piusa IX od dziecinnych lat, ukazuje go nam kolejno jako ojca duchownego rzemieślniczéj, opuszczonej dziatwy w zakładzie Tata Giovanni, jako misjonarza, towarzyszącego delegatowi apostołskiemu Muziemu w podróży do Chili, jako prałata, Arcybiskupa Spoleto, Biskupa z Imola i Kardynała. Na wszystkich tych stanowiskach postać ks. Jana Mastai jaśnieje równym blaskiem cnót chrześcijańskich, czy to, gdy całe dochody a nawet serwisy i naczynia stołowe oddaje biednym, ograniczając się jednym tylko serem na obiad i wieczerzę; czy,

gdy pośredniczy między walczącymi, gdy ochrania prześladowanych przed zbytnią surowością prawa, dając im nieraz przytułek we własnym pałacu i równocześnie nakłaniając zbuntowanych do poddania się prawej władzy. Ciekawe szczegóły o konklawe są powtórzeniem jednego z odczytów, wygłoszonych w lutym 1878 r. przez autora z rzadkiem powodzeniem. Pierwsze lata panowania nowego Papieża, epoka popularności, reform i dobrowolnych z początku a następnie wymuszonych koncesyi, demonstracyi ulicznych, urządzanych przez rewolucyjne kluby i zmieniających się powoli w demagogiczny teroryzm, wręście smutnej komedyi parlamentaryzmu w konsulcie, w której jeden tylko człowiek miał odwagę wyznawać się zachowawcą i stronnikiem rządu, wszystkie te epizody wieczne powtarzające się bez zmian prawie walki, podziemnej konspiracyi z prawem władzą, przesuwały się przed naszymi oczyma w żywych i barwnych obrazach. Zabójstwo Rossiego, napad na kwirynał, ucieczka Papieża, pobyt w Gaecie i Portici, rządy tryumfującej rewolucyi i tryumwirat w Rzymie, wręście przybycie wojsk francuskich i powrót Piusa IX do wiecznego miasta zajmują ostatnią część tomu i zamykają pierwszy okres panowania Piusa IX, nazwany przez autora dość trafnie epoką wielkich zamiarów i wielkich zawodów.

Niema może postaci w historii, której życie dawałoby bogatszy materiał biograficzny, o którejby więcej krążyło opowieści i szczegółów. Nie mówiąc już o stanowisku wyjątkowym, jakie mu w oczach katolickiego świata nadawała jego godność, ale sam Pius IX jako człowiek miał w swęj naturze, bogato uposażonej od Boga, wszystkie czynniki, mogące wzbudzić u ogółu sympatya i popularność. Bliski zarówno mistycznej ekstazy św. Franciszka Serafickiego, jak łagodnej słodczy św. Franciszka Salezego, przytęm zaś pełen tęj żartobliwej dobrodusznosci, której tajemnicę posiadają Włosi, zostawił

w pamięci ludu obraz swój wyryty głęboko jak mozaika, złożona z mnóstwa harmonijnie łączących się kamyków. Cały ten obfity anegdotyczny i legendowy materiał zużytkowany został przez autora bodaj czy nie z uszczerbkiem nawet poważnej strony dzieła. Pełne ciekawych szczegółów i drobnostek, uwzględnia ono zbyt mało wielkie zagadnienia społeczne, polityczne i religijne, które wstrząsały łodzią Piotrową za sterownictwa Piusa IX, nie daje klucza do rozwiązania spornych kwestyi, nie sięga głębiej po nad powierzchowne zdanie sprawy z zewnętrznej strony wypadków, nie starając się ich rozjaśnić bezstronną krytyką. Mimo tych wad i usterek, książka dr. Pelczara czyta się z przyjemnością, zwłaszcza, że ją odznacza bogactwo barw, styl łatwy i piękny i staranność o utrzymanie interesu u czytelników. Jakkolwiek też literatura nasza posiada już gruntowną i wyczerpującą biografią Piusa IX, wydaną przed trzema laty w Poznaniu, książka ks. dr. Pelczara może być uważaną za dodatnie i pożyteczne zjawisko na literackim polu.

Z innych książek religijnej treści wymienić trzeba Nauki katechizmowe ks. dr. Krukowskiego, zawierające w sposób przystępny i jasny wyłożone dogmata wiary. Pan Adam Morawski, autor dziełka „Po za krajem“, zawierającego wspomnienia z czasów pobytu jego u żuawów papieżkich, wydał obecnie Naśladowanie Chrystusa w znanym przekładzie ks. Aleksandra Jełowickiego, zastosowane dla osób świeckich, t. j. z opuszczeniem ustępów przeznaczonych dla zakonników. Jakkolwiek wolelibyśmy widzieć duchownego, podejmującego się trudnego dzieła obcinania nieporównanej księgi Gersona, w każdym razie jednak samo już jej wydanie jest rzeczywiście przysługą dla społeczeństwa naszego. Mniej szczęśliwy zdaje się nam pomysł tegoż samego autora streszczenia w jednej z licznych autorów kompilowanej książce

p. t. „Prawda i błąd“, głównych punktów polemicznych przeciw Kościołowi, wraz z jego sui generis apologią. Gdyby same tylko dobre chęci i myśl poczciwa mogły stanowić wartość dzieła, książka p. Morawskiego miałaby ją niewątpliwie; na nieszczęście jednak nie od dziś datuje się przysłowie o niebezpiecznych przyjaciółach i drugie o niepowołanych adwokatach, — są rzeczy, których bez gruntownej znajomości przedmiotu i wytrawnej pewności zdania dotykać niebezpiecznie; między nimi zaś niewątpliwie stoi na czele apologia dogmatów wiary, które zresztą tyłu już miały znakomitych obrońców, zastosowujących się do wszystkich pojęć i wszystkich epok, że nowe dzieło na tém polu powinno było przynieść bardzo bogaty zasób myśli i wiedzy, żeby pojawienie swe i użyteczność usprawiedliwić. Z samej natury rzeczy książka p. Morawskiego warunków tych wypełnić nie mogła i dla tego pojawienia jej nie uważamy za stosowne, żalując, że zdolności pisarskie autora nie zwróciły się w inną stronę, bardziej odpowiednią rodzajowi jego talentu i kierunkowi umysłu.

Księgarnia dr. Wł. Miłkowskiego, zasłużona wydawnictwem mnóstwa dzieł i broszurek treści religijnej, między którymi w ostatnich czasach odróżniają się korzystnie miniaturowe nabożeństwa do patronów polskich, przystępuje do wydawnictwa dzieła prawdziwej wartości artystycznej i historycznej. Na wzór wspaniałego wydawnictwa „*Colonia sacra*“ ma to być p. t. „*Cracovia sacra*“ szczegółowy opis kościołów, pomników, sztuki, religijnych tradycji i legend odnoszących się do nich, wreszcie zwyczajów kościelnych i nabożeństw od wieków tu odbywanych. Książka ta wyjdzie ma w dwóch edycjach; jedna przeznaczona dla ludu, druga ozdobna, opatrzona rysunkami i chromolitografiami na wzór podobnych wydawnictw za granicą, będzie prawdziwem dziełem sztuki, tém

pożyteczniejszém, że od czasu Ambrożego Grabowskiego sami tylko OO. Jezuita dawali rysunki i krótkie opisy kościołów krakowskich w swoich „Intencyach“ miesięcznych, które nawiasem mówiąc są dziś jedném z najbardziej rozpowszechnionych wydawnictw na świecie, liczą bowiem dziewięćdziesiąt kilka tysięcy prenumeratorów.

Wspominaliśmy już swojego czasu o bezimiennym tomiku poezyi, wyszłym tu niedawno, a pozwalającym się domyślać kobiecego pióra ogólnym nastrojem zawartych w nim utworów, miękkością i delikatnością uczucia, formą wdzięczną łagodnym, trochę sentymentalnym smutkiem. Jest to zjawisko bardzo wdzięczne, a w naszych czasach zbyt rzadkie, żeby nie warto było zwrócić na nie uwagi. Talent początkujący, niedość jeszcze wyrobiony i niezbyt silny, nie mający wytkniętego celu i stałego kierunku, robi przecie wrażenie mile dla tego właśnie, że młody, że świeży i szczerzy. Oryginalności nie wiele, naśladownictwo poetycznych utworów pierwszej połowy bieżącego stulecia nieukrywane wcale; trochę deklamacyi i silenia się na piękne frazesy, ale obok tego dużo prawdziwego uczucia, dużo nie nowych może, ale trafnych myśli, chwilami zaś rzeczywiście wyższy polot duszy. Połowę książki zajmuje poemat p. t. „Iwar,“ osnuty na tle dziejów szwedzkiego króla Eryka uwięzionego w Grypszholmie po złożeniu z tronu przez brata jego Jana. Wraz z drugim mniejszym poemacikiem o ostatniej z Koniecpolskich oba te utwory przy braku treści i głębszej myśli przewodniej, przy technice niezupełnie wyrobionej mają formę udatną i wiele pięknych ustępów, podnoszących wrażenie całości i pokrywających jęj usterki. Wyraźniej jeszcze dodatnie strony talentu autorki występują w tłumaczonej z włoskiego komedyi „Partya szachów,“ będącej jedném z tych malutkich arcydziełek poezyi, które pomiędzy nowszymi pisarzami jeden tylko Fr. Coppee umie czasem stwarzać.

W kilkunastu mniejszych wierszach, zamykających zbiorek, spotkać można prawdziwe perełki poetyczne i w nich najbardziej samodzielnie talent autorki występuje na jaw, zwłaszcza w najudatniejszej może ze wszystkich „Odpowiedź na list z Kairu“.

Daleko mniej szczęśliwym jest najnowszy utwór poetyczny tak dawniej sympatycznego Kornela Ujejskiego. Przez wzgląd na zasługi i piękną przeszłość talentu autora Biblijnych poezyi, nie chcemy wdawać się w ocenę tego Smoka, który choć przeznaczony na zniszczenie krakusowego grodu a przynajmniej panujących w nim opinii politycznych, pożarł w istocie tylko sławę znakomitego poety. Smutny to widok, gdy polityka naprowadza na śmieszne manowce umysły, które z całego swego stroju powinny od niej jak najbardziej stronić; przykład Lamartina i Wiktora Hugo powinien być pod tym względem Ujejskiego oświecić. Na nieszczęście zaślepiony szkodliwymi wpływami, jakie na niego działają obecnie, poeta zapomniał całkiem i o zadaniu poezyi, i o jej warunkach niezbędnych i o pierwiastkach dramatycznej techniki, a rezultatem chwilowego umiesienia i zapomnienia było dzieło takie, że pominięcie go milczeniem stanowi największą dla niego usługę.

Do wiadomości ze świata literatury pięknej dodać potrzeba chociażby krótką wzmiankę o wspomnianych już przez Was przekładach prof. Bratranka p. t. *H e i m g e b r a c h t e s*. Książka ta wydana jako rękopis a zawierająca tłumaczenia Polowego Mohorta i Śmierć królewicza Władysława prof. Szujskiego, może być uważaną za prawdziwy wzór dobrego tłumaczenia, umiającego oddać wszystkie piękności oryginału. Znakomity znawca i profesor literatury niemieckiej na krakowskiej wszechnicy, dr. Bratranek należy do tych rzeczywiście wyższych umysłów, które nie wcielając się do obcych

społeczeństw, umieją jednak je sądzić bezstronnie, umieją odczuwać piękno wszędzie, gdziekolwiek się znajduje i oddawać mu należną słusność. Raz już przyswoił on literaturze niemieckiej p. t. *Zwei Polen in Weimar* ustęp odnoszący się do stósunków z Goethem Mickiewicza i Odyńca, wyjęty ze sławnych listów z *Podróż*y ostatniego, obecnie podjął się zadania tém trudniejszego, im ściślej obydwie tłumaczone utwory wiążą się z Polską i przeniknięte są wyłącznie polskim duchem. Trudność ta zwłaszcza wybitną była w *Mohorcie*, który co prawda do pewnego stopnia charakter swój w tłumaczeniu stracił i z szlacheckiej gawędy stał się liryczno-epicznym poematem, niemniej jednak wszystkie jego piękniejsze ustępy zostały w tłumaczeniu niezmiennie, a strona techniczna, konstrukcyjna, o którą Pol tak mało dbał w swych utworach, zyskała bardzo wiele pod piórem dr. Bratranka. Poemat stał się bardziej miękim, bardziej uczuciowym, nabrał większej ogłady i w formie i w ogólnym nastroju; postać *Mohorta* stała się cokolwiek podobną do jakiegoś wyidealizowanego rycerza wieków średnich, przez to jednak i utwór sam i jego bohater stali się dla niemieckiej publiczności zrozumialszemi, bliższemi jej pojęć i upodobań. Równie szczęśliwie wyszedł w swęj niemieckiej szacie dramat prof. Szujskiego, jakkolwiek wyznajemy, że wolelibyśmy gdyby tłumacz wybrał każdy inny utwór sceniczny uczonego historyka, niż tę smutną kartę, żywcem z dziejów naszego upadku wyciętą i będącą od początku do końca gorącym aktem oskarżenia przeciw naszym błędom i winom, które w całej swej nagości występują w dramacie. W obudwu utworach forma wykwiłtna, wykończenie prawdziwie artystyczne i niezmierna delikatność w oddaniu najlżejszych odcieni uczucia zdradzają estetyka, starającego się każdemu swemu dziełu nadać cechy prawdziwego dzieła sztuki. Książka jego

jest niewątpliwie cennym nabytkiem dla literatury niemieckiej a rzeczywistą przysługą wyświadczoną naszej i żalować tylko potrzeba, że autor nie chciał jęj dać poznać szerszej publiczności, ograniczając do małego kółka wybranych.

Z innego całkiem zakresu są dwie świeżo wyszłe z pod prasy książki znakomitego historyka: *Kasaty Jezuitów i utrzymania ich na Białej Rusi*. Jedna z nich, owoc pracowitych poszukiwań i studyów w bibliotekach wiedeńskich i krakowskich, stanowi jakby jeden rozdział wielkiego dzieła, nad którym ks. Załęski pracuje od wielu lat, chcąc dla Jezuitów polskich zrobić to samo, co Cretineau-Joly dla ogółu Towarzystwa Jezusowego. Jak wszystkie dzieła uczonego zakonnika, *Historya OO. Jezuitów we Lwowie* łączy powagę i gruntowność sumiennego dzieła naukowego z niezwykle powabną, lekką, pociągającą formą. Książd Załęski ma dziwny a bardzo rzadki talent robienia najbardziej suchego przedmiotu ciekawym, urozmaicania go mnóstwem szczegółów, nadania mu uroku i życia. Jak umiejętny artysta bogactwem barw, grą światel i cieniów wywołuje efekta bardzo szczęśliwe i przykuwa do siebie czytelnika. Dzieje zgromadzenia Jezusowego we Lwowie podobne są do dziejów jego w innych miejscowościach. Te same trudności, niechęci i obawy przy osiedlaniu się, ta sama niezmordowana praca w konfesyjonale, na ambonie swego własnego i siedmiu innych kościołów w mieście, w więzieniach, szpitalach i wojsku; to samo wreszcie działanie pedagogiczne w szkołach mających od pięciuset do tysiąca blisko uczniów przed samą kasatą, przetwarzających się na krótko w Akademią, którą jednak intrygi wszechnicy krakowskiej i Pijarów przyprawiły o prędki upadek. Bardzo ciekawe są szczegóły o szkolnictwie ówczesném, o tumultach i wybrykach studenckich, o dysputach, dyalogach i teatralnych przedstawieniach: malują

one wybornie charakter i pojęcia epoki i stanowią dla historyka bardzo cenny materiał. Ciekawszymi jeszcze są wiadomości o pracach misyjnych, wychodzących z lwowskiego kolegium. Wysunięte ku południowo-wschodniej granicy Rzeczypospolitej, stanowiło ono najdogodniejszy punkt dla przygotowywania i wysyłania misjonarzy na północ i wschód. Raz pomagając Teatynom, którym wówczas Propaganda powierzyła misye w Armenii, Georgii, Arabii i Persyi, drugi raz działając na swoją własną rękę, idą do Georgii, do Konstantynopola, gdzie udzielają pociech religijnych i wykupują z niewoli polskich jeńców, do Krymu, gdzie ich nieraz czeka męczeństwo. W Mołdawii mają wraz z Franciszkanami parę stacyi, kaplic i szkólek w Jassach, Kutnarze i Orleszcie, w Persyi dwie wyłącznie polskie rezydencye w Gandzie i Erywanie. Kilka z tych postaci misjonarzy autor oświetla wyraźniej i bardzo pięknie: takimi są OO. Molechowski, Szornel, Tomasz Załęski i inni, oddający siły i życie na pomoc bliźnich w nieustannych wędrówkach misyjnych po wszystkich zakątkach Wschodu. W obec ogromu misyonarskich prac zakonu, działalność lwowskich zakonników stanowi oczywiście małą tylko część, — trudno jednak nie przyznać, że jest ona jedną z najsympatyczniejszych dla nas przynajmniej i opisanie jej stanowi jeden z najciekawszych rozdziałów książki ks. Załęskiego.

Drugą niemniej interesującą książką ks. Załęskiego jest przedrukowane z Przeglądu lwowskiego: „Kilka uwag o dziele ks. dr. Pełesza“ (Geschichte der Union der ruthenischen Kirche von den ältesten Zeiten bis auf die Gegenwart. Erster Band. Wien 1878). Książka dr. Pełesza, odznaczająca się rzadką u ruskich historyków przedmiotowością i rzeczywiście katolickim duchem, w barwnym i żywym streszczeniu recenzenta traci swą suchość i ciężkość i staje się bardzo ciekawym obrazem dziejów pokrewnego nam

obrzędki i plemienia. Właściwie służy ona tylko za punkt wyjścia ks. Załęskiemu, który na jej podstawie rozwija rezultaty własnych badań historycznych. Podzieliwszy pracę swoją na trzy części, w pierwszej daje nam autor smutną historią cerkwi ruskiej i wyrodzonej z niej cerkwi rosyjskiej, niewolniczo uległej władzy książęcej, osłabionej symonią, intrygami, ciemnotą i demoralizacją. W drugiej przedstawia nam dzieje cerkwi ruskiej pod rządami Polski, dźwigającej się w górę od czasów Unii, nie będącej jednak w stanie wyrównać łacińskiemu Kościołowi ani oświatą, ani wpływem, ani stanowiskiem pomimo przywilejów króla Władysława z 1443 r. W trzeciej wreszcie odpiera przekonywającymi dowodami zarzuty ucisku i prześladowania, czynione przez Rusinów Polakom, twierdząc na podstawie faktów, że upośledzone stanowisko ruskiej cerkwi wy pływało z jej wewnętrznego rozstroju, którego konsekwencją było łacynizowanie się Rusi. Wszystkie trzy części równie ciekawe i ważne nietylko dla historyka z profesyi, ale dla każdego, kto przeszłość kraju i Kościoła kocha. Z niecierpliwością oczekujemy pojawienia się drugiego tomu dzieła ks. Pelesza, mającego się zajmować historią cerkwi ruskiej od unii Brzeskiej aż do naszych czasów, w nadziei, że historyk polski da nam znowu do niego komentarz krytyczny i ze stanowiska naszego obrzędki i narodowości oświecili jego dodatnie i ujemne strony.

Jakkolwiek kwestye ekonomiczne nie wchodzą do naszego zakresu, nie możemy się wstrzymać od zwrócenia uwagi na cały szereg broszur, wyszłych jednocześnie prawie tu i we Lwowie a zajmujących się z różnych punktów widzenia kwestyą zubożenia kraju i anormalnych wiejskich stósunków Galicyi, oraz sposobami zaradzenia coraz bardziej szerzącemu się złemu. Najmniejszej wagi jest Rozkład stósunków społeczno-ekonomicznych p. Zarubina ze Lwowa, bro-

szurka, obracająca się w ciasnym kółku znanych rekryminacyi przeciw złemu gospodarstwu, nadmiernym wydatkom i żydowskim wpływom, a jako środki zaradcze proponuje także niezbyt nowe ogólniki — podniesienie gospodarstw większych i mniejszych, zmniejszenie wydatków, osuszenie łąk i bagien, przymusowe ubezpieczenie, spichrze gminne i wiele innych rzeczy bardzo pięknych i pożytecznych, ale nie dających się w roku ani w dwóch latach uskutecznić. Znacznie lepszą i wytraniejszą jest hr. Rogiera Łubieńskiego: *Nieurodzaj i głód w Galicyi w r. 1879—80*; broszura ta, której jeden z dzienników tutejszych poświęcił obszernie sprawozdanie, ma rzeczywiste zalety; czuć w niej umysł trzeźwy, praktyczny, przejęty do głębi swym przedmiotem i oceniający go jasno. Autor słusznie bardzo stawia za główną przyczynę materialnego upadku Galicyi to, że ta ostatnia ma jedną tylko produkcją, od której powodzenia los i utrzymanie całego kraju w ciągu roku zależy. Brak zupełny innych gałęzi przemysłu krajowego, oprócz rolnictwa, jest rzeczywiście największą plagą Galicyi; w ścisłym z nią związku idą inne, jak brak obrotowego kapitału, niewykształcenie ekonomiczne i niezaradność wszystkich warstw społecznych, brak komunikacyi i ułatwień dla rozwoju przemysłu. Między środkami zaradczeni na czele stawia autor uzyskanie obrotowego kapitału, obok tego zaś zużytkowanie tych gałęzi przemysłu krajowego i korzystanie z tych odłogiem leżących sił produkcyjnych, jakie tak obficie w kraju się znajdują i bez użytku marnieją. W cokolwiek odmiennym zakresie obracają się dwie broszury ks. Gołdy: *O przyczynach upadku materialnego ludu wiejskiego i Środkach zaradzenia nędzy stanu włościańskiego w Galicyi*. W pierwszej kładzie on główny nacisk na niedostateczne wykształcenie ludu, niedostatki ustawy gminnej i szkolnej, rozdrabnianie gruntów,

pieniactwo i egzekucye rządowe, a obok tego wskazuje żydowstwo jako główny czynnik moralnego i fizycznego upadku włościan. Między środkami zaradczymi na pierwszym miejscu stawia reformę szkół wiejskich. Te ostatnie są w istocie tak niewłaściwie urządzone, że w dzisiejszym swym stanie równą prawie ilość szkody jak pożytku przynoszą ludowi. Program nierozsądnie obszerny, bo obejmujący całych 12 (czasem 14) przedmiotów i dla nauczyciela i dla uczniów robi naukę nieznośnym ciężarem; niedostateczne uwzględnienie przedmiotów dla ludzi najważniejszych (np. rolnictwa) pozbawia go praktycznych korzyści z nauki, albo też jej rzeczywiście dobrego wpływu moralnego (zwłaszcza dzięki usunięciu na drugi plan religii); przymus szkolny zaś dla ludności biednej sprowadza jak najdotkliwsze szkody i ciężary, obarczając ją grzywnami lub karząc więzieniem. Dla ułatwienia kredytu autor zachęca do założenia licznych kas zaliczkowych i banku hipotecznego dla włościan. Wreszcie wzywa do działania na rząd, aby ulżył smutnej doli włościan, zaprowadzając w 12 punktach wyliczone reformy, między którymi główniejsze są: zniesienie podatku gruntowego i domowego, ograniczenie parcelacyi gruntów, zmniejszenie opłat od przenoszenia własności, zniesienie loteryi, opieka nad małym przemysłem, wreszcie przyłączenie do gminy wiejskiej oświeconych żywołów, dworu i plebanii, i nadanie tak rozszerzonej szerokiej praw autonomicznych.

Jak widzimy, broszurki ks. Gołdy stoją na innym gruncie, niż broszura p. Łubieńskiego, którą w jednych rzeczach uzupełniają, w innych rozszerzają i objaśniają. Wszystkie trzy równie pożyteczne i zacne, jakkolwiek ks. Gołdzie przyznać trzeba znaczną wyższość nad p. Łubieńskim i w znajomości ludzi i w zbadaniu jego wad i potrzeb i we wszechstronném obmyśleniu środków zaradczych i w podaniu ich jasno i wyraźnie. Podczas

gdy p. Łubieński wyłącznie tylko w kole finansowych kwestyi się obraca, ks. Gołda sięga głębiej i słusznie bardzo w ustawodawstwie i w szkołach widzi jedną z największych przyczyn złego. Prace jego, noszące na sobie piętno pewnego pokrewieństwa duchowego z niektórymi rozdziałami Żydów p. Merunowicza, nie tracą mimo to samodzielności i rzeczywistych, gruntownych zalet, a w czasach tak smutnych i ciężkich, jak nasze, gdy o ratunek udajemy się na wszystkie strony, powinny znajdować się w ręku każdego.

Wszystkie przytoczone przez nas broszurki, choć lud mają na myśli, przeznaczone są dla klas wyższych. Ostatnia, o której wspomnieć chcemy: Pogadanki o powszednim chlebie p. Alfreda Szczepańskiego, odznacza się od nich t \dot{e} m, że tylko dla ludu jest pisana. W sposób jasny, przystępny i przekonujący, w formie pogadanek i opowiadań porusza w niej autor wszystkie prawie kwestye, z jakimi spotykaliśmy się u p. Łubieńskiego i ks. Gołdy, przedstawiając gminę, która szeregiem reform i ulepszeń zmienia się powoli w rodzaj idealnie doskonałej Utopii. Pan Szczepański ma prawdziwe zalety ludowego pisarza, a jakkolwiekby nie zawsze z jego kierunkiem moglibyśmy się zgodzić, sądzimy, że potrafiłyby się stać rzeczywiście użytecznym w pracy około oświaty i podniesienia ludu, w którym książeczki takie, jak Pogadanki o chlebie, byle jasną a zdrową myślą przeniknięte, potrafią łatwo rozbudzić lepsze uczucia, otworzyć oczy na wiele bezwiednych błędów, wywołać zamilowanie rzeczy pięknych i pocziwych, do których serce polskiego wieśniaka zawsze lgnie łatwo i w stanie jest je zrozumieć.

VII.

Kraków, w kwietniu,

Kaplica Batorego i jej odnowienie. Restauracye i roboty na Wawelu. Otwarcie dolnej hali w Sukiennicach. Wystawa Szkiców i Matejko. Wystawa cechów krakowskich. Wystawa zabytków z czasów Jana III. Odczyty prof. Szujskiego: „Odrodzenie i reformacya w Polsce.“ Nowe książki; „Teorya wpływów w fenickich“ p. Ziemięckiego i „Rzym“ ks. dr. Smoczyńskiego.

Rok temu blisko, jak donosiliśmy o robotach, prowadzonych przez p. konserwatora Łepkowskiego na Wawelu celem odrestaurowania kaplicy króla Batorego oraz oczyszczenia z pod grubej warstwy wapna ściennych malowideł w środkowej nawie katedry. Pierwsza część trudnego zadania ukończoną została przed samymi świętami wielkanocnymi. W dzień 3 marca ks. Biskup Dunajewski przeniósł uroczyste Przenajśw. Sakrament do wspaniale i kosztownie odnowionej kaplicy, która po trzech latach robót stała się jedną z najpiękniejszych, — po Jagiellońskiej kaplicy niewątpliwie najpiękniejszą ozdobą katedry.

Jak wszystkie prawie pomniki naszej sztuki, kaplica Batorego przechodziła bardzo różne koleje. Zbudowana w stylu ostrołukowym i przeznaczona pierwotnie dla księży mansyonarzy katedralnych (z kąd też nosiła miano mansyonarskiej) była zarazem grobową kaplicą dla trzeciej żony Jagiełły, Elżbiety Pileckiej, która jak za życia nie cieszyła się ogólną miłością, tak i po śmierci została oddzieloną od reszty królewskiej rodziny i w przeciwnym końcu kościoła spoczęła, jak jej małżonek, którego grób mieści się między trzecim a czwartym

filarem po lewej stronie kościoła. Obok niej we dwa wieki prawie później spoczął inny przybysz z krwi obcej, któremu wielkie zasługi dla rządzonego przezeń kraju i geniusz polityczny nie otworzyły drzwi cudownej kaplicy ostatnich Jagiellonów. Podczas gdy jego żona „ostatni liść z Jagiellońskiego drzewa“ układała się do wiecznego snu u stóp stali królewskiej między ołtarzem a grobowcem ojca i brata trumną, Stefana Batorego umieszczono między Tarnowskim a tą królową, nie mającą krwi królewskiej w żyłach. Nad trumną tą Anna Jagiellonka wzniosła wspinały grobowiec z białego kamienia, przeplatane różowym marmurem, daleki od wspaniałości pomników jagiellońskich, ale noszący na sobie piętno wykwintnego smaku epoki i niepospolitego talentu rzeźbiarza Santi-Gueci. Stefan Batory spoczywa na nim w pośrodku w ten sam sposób, jak obaj Zygmunci, z głową wspartą na rękę, z nogą na pół zgiętą, jakby miał zbudzić się i powstać za chwilę. Odrodzenie lubi w ten sposób przedstawiać śmierć, widziało w niej sen przelotny i spokojny i wieńcami z róż ubierało grobowce. W przeciwieństwie do wieków średnich, przedstawiających śmierć w całym jej strasznym majestacie, grzebiących grzeszników bezimiennie pod stopami pobożnych, lub wykuwających nieruchome, surowe i sztywne postacie na kamiennych sarkofagach, podobne do umarłych na katafalku — odrodzenie stara się uchylić wszelki smutek nawet w obec grobu, stara się śmierci samej nadać ów łagodny, spokojny uśmiech, owo skończone doskonałe piękno, które od dawnych Greków przejęły Włochy Rafaela i Ariosta. Odbicie tego pogodnego uśmiechu z tak nieporównaną pięknnością rozlanego w architektonicznych liniach i ornamentacji kaplicy Zygmuntów, opromienia pomnik Batorego i zwłaszcza we wdzięcznych ozdobach górnej arkady wywołuje wrażenie bardzo estetyczne.

Odpowiednio do pomnika zmieniła Anna Jagiellonka ostrołukowy charakter kaplicy na renesansowy, ozdobiła ją marmurowym chórkim i stallą królewską z białego i różowego marmuru. Zatarły się starannie pierwotne cechy architektoniczne, kolorowe okna ustąpiły miejsca białym; nie długo zaś potem zmiana stała się jeszcze zupełniejszą, gdy ksiądz kanonik Wojciech Serebryski w r. 1649 z gruntu ją odrestaurował, wyłożył czarnym marmurem na wzór współczesnej kaplicy Wazów i srebrnym tabernaculum i mosiężną kratą ozdobił. W ciągu wieków ściany kaplicy okryły się nagrobkami i tablicami pamiątkowymi, jak dwa epigrafy o pożarach 15 września 1702 i 16 grudnia 1703, monument miany za grobowiec kronikarza Wapowskiego, pomniki księdza Wojciecha Serebryskiego, księdza Jana Zbąskiego, Katarzyny Zebrzydowskiej, Gabryela Tarnowskiego, księdza Biskupa Pawła Dąbskiego i innych, wszystkie z XVI lub XVII wieku i stósownie do tego w stylu renesansowym lub rococo wykute z czarnego marmuru, z mosiężnych blach lub z bronzów. Gdy do tego dodamy ławki z czarnego marmuru i ozdoby nagromadzone w czasach zepsutego już smaku, gdy kaplica Najśw. Sakramentu służyła za oratorium królewskie, — będziemy mieli wyobrażenie o niezmiernych trudnościach, jakie nastęrczała restauracya kaplicy złożonej z tak różnolitych i różnobarwnych pierwiastków.

Otrzymawszy w r. 1877 zasiłek od sejmu krajowego i powiększywszy go hojnemi ofiarami uzyskanemi od domu Potockich, zawsze przodującego w wypełnianiu obywatelskich obowiązków, — konserwator rozpoczął od wzmocnienia ścian i fundamentów kaplicy, następnie zaś powierzył dr. Zebrawskiemu, budowniczemu kapituły krakowskiej, kierownictwo odnowienia pomnika Batorege i stalli królewskiej, którą to robotę pracownia kamieniarska Hochstimma w Krakowie szczęśliwie wykonała.

Ułożeniem posadzki i oczyszczeniem ścian kaplicy kierował zasłużony ksiądz kanonik Polkowski, nie przestający gorliwie i umiejętnie krzątać się około zabytków w katedrze. Franciszek Matzke podług rysunków T. Prylińskiego malował sklepienie, zasiane złotymi gwiazdami na ciemno-szafirowém tle i przecięte złoconemi żyłami z pasami i wnękami już to ponsowemi, już seledynowemi. Zworniki zamknięte herbami korony Litwy, Jagiellonów (trzy kolumny), Batorego (Wilcze zęby), Elżbiety Pileckiej (Leliwa), poprzedniego restauratora kaplicy ks. Serebryskiego (Roch), oraz datą ostatniej restauracji 1880.

Najpiękniejszą jednak i najwspanialszą ozdobą kaplicy stały się przepyszne witraże, za staraniem konserwatora ofiarowane przez hr. Augustową Potocką. W obec dysharmonii materiału, stylów i kolorów, panujących obok siebie w kaplicy, niezbędnem było złagodzenie i zlanie tych kłójących się pierwiastków za pomocą ciemnych witrażów, odpowiadających zresztą doskonale ostrołukowemu charakterowi, jaki starano się w części przynajmniej powrócić kaplicy. Ze strony prof. Łepkowskiego było to dowodem wysokiego zmysłu estetycznego, że zamiast gwałtownie naginać pozostawione przez różne epoki pamiątki do przymuszonej harmonii, zamiast je niszczyć lub zmieniać, zostawił im ich charakterystyczne cechy, łącząc je w harmonijną całość niepewnem i różnobarwnem światłem witrażów. Wykonane w fabryce Weiningera w Wiedniu*) podług kartonów p. Ludwika Łepkowskiego przedstawiają jeden S. Stefana, drugi S. Annę, trzeci N. Pannę Częstochowską, otoczoną trzema aniołami, których szaty (biała, czerwona i zielona) zdają się symbolizować wiarę, miłość i nadzieję.

*) Z tejże fabryki pochodzi okno kolorowe, przedstawiające Śgo Leonarda podług kartonu Matejki w krypcie grobów królewskich.

Witraże te przepyszne, wykonane z niezmierném bogactwem i harmonijnym doborem barw, nadają kaplicy niezmiernie poważne a zarazem czarujące wrażenie. Cała kaplica restaurowana z wysokiém znanstwem, konsekwencyą i umiejętnością, jest obok grobów pięknym pomnikiem, jaki sobie na długie lata wznosił p. Łepkowski wraz z tymi, którzy mu w tój zacnej i bezinteresownej pracy pomagali. Ile lat potrzeba będzie na to, aby cała katedra odnowioną została tak świetnie, jak teraz oratorium Batorego, a przed nią królewskie groby, oratorya Jagiellonów, Zygmuntów i Wazów, prywatne kaplice Potockich, Wąsowiczów i Lipskich. Ile lat potrzeba, gdy każdy pomnik dla odnowienia tyle potrzebuje studyów, pieniędzy, umiejętniej pracy? Na pytanie to trudno odpowiedzieć; wolno jednak pocieszać się przeświadczeniem, że choć wolno, odnawianie i ozdobienie kościoła wciąż postępuje naprzód dzięki prof. Łepkowskiemu, który zaledwie ukończył ostatnią swą pracę, zamierza już przystąpić do restauracyi kaplicy Jana Olbrachta, zaś o kaplicy Batorego zgromadził w planach, widokach, przekrojach, akwarelach i fotografiach niezmiernie bogaty materiał artystyczny, który czeka tylko na drugiego dr. Baranieckiego, żeby świat nasz poznał jeden z najcenniejszych klejnotów wawelskiej świątyni. Innych prac na Wawelu nie przestaje się prowadzić. Kosztem ks. Wład. Czartoryskiego restauruje się wspaniale jedna z kaplic. Ks. kanonik Polkowski oczyszcza i w wielkim formacie fotografuje wspaniale gobeliny katedralne; równocześnie zaś za jego staraniem sporządzają się kopie z miniatur XV i XVI w. znajdujących się w mszałach i ewangeliarzach katedralnych, do którego to bardzo ważnego i pięknego przedsięwzięcia będziemy jeszcze mieli sposobność wrócić. Restauracya jesiennych malowideł wreszcie, prowadzona staraniem prof. Łepkowskiego, wznowiona będzie wkrótce. Mówiąc o tym tak

różnostronnym ruchu artystycznym na Wawelu, nie możemy pominąć drobnego wypadku, który mimo swęj błahości, świadczy korzystnie o ogólnym interesie i uczuciu, jakie wzbudza w naszém społeczeństwie każdy kamyk na zamku i w katedrze. Kiedy niedawno władza wojskowa potrzebując zapewne jednéj izby na więzienie, kazała zamurować do połowy dwa okna dolne w części zamku od strony ulicy Kanoniczėj, podniesiono o to i wśród publiczności i w prasie hałas powszechny, który zniewolił konserwatora i znawców do sprawdzenia rzeczy na miejscu. Obawy okazały się płonnemi — gmachy zamkowe bowiem ani uszkodzone, ani oszpecone nie są; zawsze jednak dobrze jest, że to co się dzieje na Wawelu, nie jest dla społeczeństwa naszego obojętne.

W tych dniach otwartą została dolna halla Sukiennic, w której ukończono ustawianie ozdobnych drewnianych kramów, w części już zajętych przez przekupki z rynku. Na nieszczęście utilitarne względy wpłynęły na zbytne pomnożenie liczby kramów i zastawienie niemi takich nawet miejsc, które według planu powinny były pozostać odkrytymi. Linie architektoniczne wspianalego gmachu przestały być widocznymi, ozdobne gzymsy i narożniki stracone zostały dla oka, co więcej, przyparcie drewnianych klatek, opatrzonych z boku oknami, do wielkich krat, zamykających hallę, zepsuło i rysunek tych ostatnich i cały efekt wnętrza. Odpowiedzialność za te bardzo niefortunne rozporządzenia spada całkowicie na radę miasta, p. Pryliński bowiem do ostatniej chwili opierał się temu, podobnie jak i zastąpieniu numerami godeł i znaków, jakie podług pierwotnego planu zgodnie ze średniowieczną tradycją ozdabiać miały zamiast szyldów front każdego kramiku.

Na górném piętrze Sukiennic cały szereg wystaw urządzi się i przygotowuje. Wspominaliśmy już o najpierwszej, od świat otwartej, na dochód

pożytecznej instytucji tutejszej, internatu ubogich uczniów seminaryum nauczycielskiego. Jakkolwiek są to szkice, dorywczo nakreślone przez artystów na prośbę dam zajmujących się urządzeniem wystawy, niektóre z tych obrazków mają wiele interesu a nawet i wartości artystycznej. Do najlepszych należy Greczynka u studni Siemiradzkiego, pociągająca czarownym efektem światła przedzierającego się przez leśną gęstwinę i odbijającego na dalekich szczytach gór; We sełe żydowskie w XVI wieku, wdzięczny szkic prof. Łuszczkiewicza, krajobraz Benedykto-wicza i Kozak czy Lisowczyk Brandta. Co do wielkiego, niedokończonego płótna Matejki, Rok 1863, jest to raczej alegoryczne zestawienie wszystkich okropności moskiewskich rządów na Litwie, niż odbicie pojedynczego faktu. W oddzielnych postaciach przebija genialna siła mistrzowskiego pędzla; niektóre z nich, jak kapucyn po prawej stronie, kowal w głębi i kobieta wyrwająca się z rąk żołdaków są przepyszne; inne są płaskie i trywialne (Murawiew i stojący obok niego oficer), a klęcząca w środku kobieta w żałobie ma tak wymuszoną i pozującą na efekt pozę, że ogólne wrażenie obrazu wielce na tém cierpi. Przytém profanacja mszy przez kozaków, pijących w ornacie wódkę z mszalnego kielicha, jest szczególnie prawdziwym może, ale zbyt wstrętnym, żeby go wolno było do obrazu wprowadzać. Ogólny ton obrazu poważny, w ciemnych barwach trzymany, należy do najszcześniejszych między płótnami Matejki; doskonale ugrupowanie figur — i rzecz u wielkiego artysty rzadka, powietrze i drugi plan obszerny, stanowią zaletę płótna, którego wady pochodzą głównie z tego powodu, że w niem uczucie patryotyczne i chęci wiernego odtworzenia wszystkich ran Murawiewowskiego despotyzmu przemogły nad warunkami estetycznymi i artyzmem.

Równocześnie z jubileuszowym obchodem Długoszowej rocznicy projektuje się wystawa insygniów i kosztownych zabytków, znajdujących się od wieków w posiadaniu cechów krakowskich. Pomysł to zdaje się tém bardziej szczęśliwy, że zabytki te bardzo mało są znane, rozproszone, a zasługujące na uwagę i historyczną artystyczną swą wartością. Większe znaczenie będzie miała wystawa pamiątek po królu Janie III i historycznych zabytków z jego czasów, urządzać się mająca staraniem komitetu pod przewodnictwem ks. Zuzanny Czartoryskiej. Nie wspominaliśmy o projekcie tym dotychczas, obawiając się że w obec niemożliwości wystawienia największych i najcenniejszych zabytków, znajdujących się w Wilanowie i Żółkwi, przedsięwzięcie nie będzie w stanie dostatecznie odpowiedzieć celowi i w końcu przemieni się, stósownie do słusznych uwag wielu naukowych powag, na wystawę zabytków z XVII i XVIII wieku. Dzięki niespodziewanie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało się plan pierwotny utrzymać. Niezwykle cenne pamiątki po królu Janie III, znajdujące się w muzeach, zbrojowniach i Ambraskich zbiorach Wiednia zostały przyobiecane na czas wystawy komitetowi. Zbrojownia w Podhorecach, zbiory ks. Władysława Czartoryskiego przy Floryańskiej bramie, zbiory w Kórniku (o ile do tego czasu będą mogły zostać poruszone) mają dostarczyć również znajdujących się w nich zabytków. Wreszcie — rzecz może najciekawsza, przewodnicząca komitetu spodziewa się, że będzie mogła zebrać rozproszone części składowe owego pomnika Jana III, wykonanego przez francuskiego rzeźbiarza Vanneau, o którym to pomniku niedawno szeroko rozwodziła się *Gazette des beaux arts* a za nią pan Maryan Sokołowski. Jakkolwiek ten ostatni niewątpliwie przesadził znacznie wartość artysty i jego dzieła, odnoszącego się bądź co bądź do czasów wielce zepsutego smaku i nie odznaczającego się żadną

wyższością nad estetyczne pojęcia epoki, niemniej przecie jest to w każdym razie rzecz zasługująca na uwagę i będąca w stanie ściągnąć na wystawę nie tylko swoich ale i obcych. Jeżeli też wszystkie te nadzieje i projekta nie zawiodą, wystawie można rokować powodzenie.

Trzy odczyty p. Szujskiego O odrodzeniu i reformacyi w Polsce, zamknęły cykl tegorocznych wykładów publicznych. Każdy kto zna wielkiego historyka nie tylko z kart jego książek i wie jak niepospolitą siłę ma jego żywe słowo, jak nieprzebrane zasoby myśli i uczuć w niem się kryją — ten zrozumie wyjątkowy interes i znaczenie tych odczytów dla tutejszego wykształconego świata. Jeden z tych ludzi, którzy stojąc wysoko po nad społeczeństwem, całe światy niedostrzeżone przez innych, ogarniają swém spojrzeniem jedném, i dla tego samego że tak wielcy, muszą z konieczności lekceważyć panujące u ogółu uprzedzenia i przesady, p. Szujski w każdej epoce dziejowej, której myśl jego dotyka, umie znaleźć nową jakąś stronę, umieją szeregiem nowych poglądów oświecić i zarówno postacie jak wypadki dawno minionej przeszłości w całej ich, nieznannej przed nim prawdzie odtworzyć. Nikt nie potrafi potężniej od niego wstrząsnąć słuchaczy i dłuższego śladu zostawić w pamięci, nikt też z równą miłością ale i równie bezwzględnie nie odkrywa nam i grzechów przeszłości, wskazując je jako naukę i przestrożę dla teraźniejszości i przyszłości.

Sąd o reformacyi u człowieka takiej miary jak pan Szujski nie mógł być podobny do oklepanych ogólników, jakie większa część nowoczesnych historyków powtarza na cześć ciasnego, sekciarskiego prądu, inaugurowanego przez Lutra i Kalwina. Reakcja pierwotna myśli religijnej przeciw pogańskiemu pierwiastkom odrodzenia, reformacya, jest równocześnie jej zboczeniem, które niszczy ideę powszechności chrześcijańskiej i pozbawia ludzkość

najpiękniejszego łączącego ją dotąd ogniwa, nie dając jej natomiast żadnej korzyści, nie przyczyniając się w niczem do jej postępu i rozwoju. Niezależnie od niej powstały wielkie owoce myśli ludzkiej, dochodzącej do szczytu swego rozwoju w rozkwicie odrodzenia. Szeregiem areydzień znaczny swe ślady największa z epok, jakie przechodziła ludzkość: reakcyja przeciw niej, reforma Lutera, śladem swym zostawia tylko waśnie i wojny, krew i zbrodnie, próżną szermierkę słów i gorszą od niej walkę orężną.

W Polsce reformacyja trafia na trzy rodzaje ludzi stojących u steru i zarówno dla jej rozwoju korzystnych. Z jednej strony idą najbliżsi doradcy korony, ludzie, którzy po Ostrorogu podjęli myśl polityki monarchicznej na nowych podstawach opartej i nie pozbawionej związku z zasadami Machiawela. Idea państwowa, na sposób nowoczesny pojęta, występuje u nich do walki z upadającymi pojęciami wieków średnich; w jej imię zakreślają oni wspaniałą i szeroki zakres dla polskiej polityki i wpływu, chcą wzmocnić władzę monarszą, rozszerzyć na Ruś polityczną przewagę Polski, związać ją ze Wschodem. Ci ludzie — to Kallimach i jego szkoła. Polityka ich, otwierająca niewątpliwie szerokie widnokreśli dla Polski, bogata w pomysły i plany, nie ma jednak dostatecznej dojrzałości i rozwagi, sieje wiatry a zbiera burze.

Obok nich i wbrew im podnosi Łaski ideę polityki czysto narodowej, wewnątrz kraju koncentrującej się, dalekiej od niebezpiecznych sojuszków, bądź to z Moskwą, bądź z Austryją. Myśl wewnętrzznego skoncentrowania sił żywotnych kraju budzi w nim dążenie do oderwania Polski z pod obcej zależności w rzeczach religijnych, do utworzenia polskiego patryarchatu. W ten sposób, podczas gdy włoskie stronnictwo ideę religijną lekceważy i poświęca idei monarchicznej, narodowy

kierunek Łaskiego robi to samo na korzyść idei autonomicznej.

Trzeci kierunek wreszcie, kierunek czysto humanitarny z tak wówczas wybitnie przeważającym epikureistycznym odcieniem reprezentują Krzycki, Szydłowiecki, Tomicki. Ludzie, będący jednym z ujemnych wytworów epoki odrodzenia, rozsypani wówczas wszędzie, we wszystkich warstwach społecznych i krajach, wykształceni, wytworni, pozbawieni wszelkich zasad i moralnej podstawy, gotowi są służyć każdemu i zmieniać z dnia na dzień obozy i barwę, jeśli to ich interesowi odpowiada. Popierają oni kolejno hołd pruski z 1525 r. i krwawą represją gdańską z 1526 r., a swym indyferentyzmem i sceptycznym lekceważeniem wiary przygotowują grunt dla wittenbergskich nowinek.

Tych gniazdem głównym jest dwór królowej Bony, jakkolwiek bardziej jeszcze od sekciarstwa niemieckiego przeważają na nim daleko idące prądy włoskiego protestantyzmu i antytrynitaryzmu, którego centrem jest Lismanin, spowiednik królowej. W okolo tej wybitnej i wpływowej postaci grupuje się cały szereg utalentowanych i energicznych przedstawicieli reformy, jak Przyłuski, Modrzewski, Trzeciecki, lub w związku z nią zostających ludzi takich, jak Rey i Orzechowski. Przyłuskiego postać, najmniej ze wszystkich sympatyczna, stanowi jakby przejście od humanizmu i sceptycznego niedowiarstwa polskich epikurejczyków XVI. w. i autonomicznych marzeń Łaskiego do właściwej reformacji. W Modrzewskim koncentrują się wszystkie tej ostatniej strony dodatnie i jasne: umysł wzniosły, prawy i niepospolicie jasno oceniający polityczne i społeczne stosunki swego kraju, nie mógł posunąć się w religijnym obłędzie do ostateczności innych sekciarzy. Inaczej Rey. Uosobienie wad i śmieszności polskiego szlachezca, geniusz samorodny, do wszystkiego zdolny, a nie

oprócz jedzenia i picia nie umiejący dobrze zrobić, jest on reprezentantem tego potężnego czynnika, który w pierwszej chwili tak szeroko i powszechnie reformę u nas rozniósł. O całą przepaść od niego wyższy wykształceniem i polotem umysłu, ale zbliżony pojęciami i temperamentem Orzechowski jest tą samą wcieloną niekonsekwencyą, która, zaczawszy od teokratycznej przesady w obronie praw Kościoła, kończy nawoływaniem jeśli nie do herezyi, to przynajmniej do schizmy.

Wśród takiego społeczeństwa i takich jego głównych żywiołów nie dziw, że reformacja od razu rozszerzyła się jak pożar, obejmując połowę Rzeczypospolitej a na drugą połowę wywierając wpływ przeważny. Duchowieństwo niższe pozbawione znaczenia, wyższe osamotnione w senacie a w części nowym prądom przychylnie, nie było w stanie złemu zaradzić. Król otoczony różnowiedcami z jednej, stronnikami narodowego kościoła na angielski sposób z drugiej strony, wstrzymywał z trudnością prąd ogólny i nie przestając zajmować pojednawczego i rozjemczego stanowiska między Kościołem a dysydentami, ochraniał jednak pierwszy powagą swego majestatu i przyjęciem bezwarunkowem uchwał soboru trydenckiego zapewnił mu w końcu zwycięstwo zupełne.

W pięknych barwach nakreślił uczony prelegent postać i dzieje ostatniego z Jagiellonów, postać źle zrozumianą i źle ocenioną, złamaną przedwcześnie burzami życia i nawet w ostatnich jego chwilach w opuszczonej, beznadziejnej starości, wzbudzającą raczej współczucie, niż potępienie. Panowanie jego, to czasy przełomu i walki, czasy największego zachwiania podstaw religijnych w społeczeństwie, ale też i ich wzmocnienia wewnętrznem skupieniem sił i organiczną pracą. Reakcyja katolicka w początkach reprezentowana jedynie przez kilku biskupów i to takich jak Zebrzydowski, ogarnia w drugiej połowie panowania większą część

izby poselskiej i senatu a za Batorego odnosi zwycięstwo na całej linii. Idea jedności wiary łączy się z ideą jednolitości i potęgi państwa w potężnym umyśle króla Stefana, a jeśli w wykonaniu drugiej przeszkadza mu śmierć przedwczesna, pierwsza pozostaje już niezachwianą aż do końca naszych dziejów. Jeden z tych ludzi, których sama Opatrzność zsyła raz jeden na wieki całe, żeby zmienić kolęj wypadków dziejowych i losy narodów na nowe tory skierować, król Stefan, przedstawia najpiękniejszą stronę czasów odrodzenia i łączy jej wielkie myśli polityczne, jej polot duchowy i wykształcenie z wiarą i tradycją przeszłości. Ujemne pierwiastki odrodzenia, duch przecucia, lekceważenie wielkich prawd i praw rządzących wszechświatem ustępują w tej pięknej postaci miejsca harmonijnemu połączeniu tego wszystkiego, co umysł ludzki w ciągu wieków wywalczył i rozpoznał z owym światłem z góry, bez którego największe zdobycze rozumu i najpiękniejsze arcydzieła sztuki pozostaną zawsze słabe i marne.

Nie próbujemy streszczać odczytów ani rozszerzać się nad ich pięknościami; staraliśmy się uchwycić kilka myśli, jakie w nich zamknął prelegent. nie kusząc się o oddanie ogólnego wrażenia i o obszerny rozbiór. Dodamy to tylko, że wedle ogólnego zdania odczyty o reformacji przewyższały wszystkie te, jakie dotąd pan Szujski wygłosił, a kto słyszał Profil historyczny Nerona i Wizerunek Zygmunta Augusta, ten oceni doniosłość podobnego sądu.

Krótką wzmianką o dwóch nowościach literackich kończymy list nasz. Jedną z nich jest Teoria wpływów kultury fenickiej p. Ziemięckiego, redaktora wychodzącego tu Dwutygodnika naukowego. Rzecz to całkiem specjalna, oparta na uczonych dziełach Moversa o Fenicyi, Lenormant i Maspero o Wschodzie i jego

pierwotnych mieszkańcach, Rougemont o wiekach brązu i Semitach na Zachodzie i Nillsoua o pierwotnych mieszkańcach Skandynawii. Autor szeregiem dowodzeń naukowych stara się przekonać, że wpływy Fenicyan na Europę a nawet na Amerykę są tylko jednym z naukowych przesądów, bałamucących dotychczas znaczną część uczonych badaczy przeszłości. Naród materyalistyczny, kupiecki, raczej wyzyskujący, niż przemysłowy, nie zostawił trwałych pomników swego istnienia i działalność jego ograniczana w materyalnym zakresie przeszła dla kultury świata bezowocnie. Ciekawymi faktami potwierdza to dowodzenie p. Ziemięcki, którego dzieło, jakkolwiek napisane cokolwiek jednostronnie i nie przeznaczone dla szerszej publiczności, zasługuje jednak na uwagę i bogactwem naukowego materiału i zupełną u nas nowością przedmiotu.

Drugą książką jest nowa, znacznie powiększona edycja „R z y m u“ ks. dr. Smoczyńskiego, proboszcza w Tenczynku. Od dawna już dawała się czuć gwałtowna potrzeba polskiego przewodnika po wiecznym mieście, uwzględniającego głównie potrzeby, pojęcia i uczucia licznych polskich pielgrzymów, zwiedzających corocznie stolicę chrześcijańskiego świata. Przewodnik ks. dr. Smoczyńskiego odpowiada zadaniu temu najzupełniej. Podzielony bardzo dobrze na działy odrębne przewodnik zawiera oprócz ogólnego rzutu oka na Rzym dawniejszy i dzisiejszy, treściwy a wyczerpujący opis pamiątek i pomników pogańskich z czasów rzeczypospolitej i cesarstwa, obok nich zaś gmachy nowoczesne, galerie, muzea, zbiory sztuki i arcydzieła dawnych i nowych mistrzów ocenione są zwięźle, ale trafnie i jasno, a często z gruntownym znawstwem, żeby tylko wspomnieć bardzo słuszną ocenę sądu ostatecznego Michała Anioła. Pomniki religijne, kościoły, kaplice i katakumby zajmują oczywiście główne miejsce w książce napisanej

przez kapłana dla użytku pielgrzymów: znajdzie tu każdy wszystko, co mu może być użytecznem — stronę religijną obok artystycznej i naukowej. Dokładny spis treści, wskazówka dla zwiedzających Rzym co do rozkładu ich czasu w ciągu dni dziesięciu, tabliczka historyczna i kilka ustępów z Dante'go dla objaśnienia obrazów Dantejskiej galeryi, uzupełniają książkę, napisaną stylem jasnym, przystępnym i przeznaczoną na to, żeby w mniejszych rozmiarach stać się dla nas tém, czém [redacted] jest dla Francuzów a Albert Kühn dla Niemców.



INSTYTUT
BADAŃ LITERWYKONH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

F
6274